

Józef Ignacy Kraszewski

Bracia Zmartwychwstańcy Tom 1



calibre 0.9.27

Józef Ignacy Kraszewski

Bracia Zmartwychwstańcy

Powieść z XI wieku.

Tom pierwszy

Rozdział 1.

Starym był ród Jaksów u Polan nad Odrą i Wartą a szerokimi tu władał

posiadłościami. Mówiono o nich, prawili oni sami o sobie, że niegdy z między Serbów wyszedłszy, gdzie kneziami byli, osiedli tu od rodzinnych chroniąc się waśni; drudzy ich do Leszków i Pepełków krwi liczyli. To pewna, że do najmożniejszych należeli władyków, a choć się rozrodzili, ziemi stało dla wszystkich i skarbcza, ubogim żaden nie był. Z dostojniejszymi też rody wielu węzłami połączeni byli, żon sobie wysoko zawsze szukając, czasem i w krajach sąsiednich. Ludzie byli wszyscy rycerskiego rzemiosła, a u siebie doma tak panowali własną wolą, jak kneziowie polańscy w Poznaniu i Gnieźnie, tylko że im poczty na obronę kraju stawić musieli.

Gdy Mieszko chrzest przyjmował święty, Jaksowie też nie ociągając się wiarą nową się odrodzili; a mówiono nawet, że niżeli została ogłoszona Polanom, oni ją już w niektórych domach swych potajemnie wyznawali, acz nie wszyscy.

W Gnieźnie do chrztu Mieczysławowego dwu braci stawało, Chroberz i

Zbilut, a ci imiona nowe Janka i Andruszki przyjęli.

Oba starzy już wojacy byli, acz krzepko swe lata nosili na barkach

niezgiętych; oba też po dwu synów następców mieli, którzy w ich ślady chodzić obiecywali. Młodzież to była gorąca i butna, do wojny i wycieczek stworzona, tęskniąca za wyprawami, nierada spoczywać w domu.

Od dzieci ich do tego noszono.

Stary Jaksza, którego Andruszką na chrzcie nazwano, chłopców miał

dorosłych, wiekiem od siebie o rok się tylko różniących; ci już z królem Bolesławem Wielkim i do Czech, i na Ruś chodzili z pocztami, a sprawiali się jak nie można lepiej. Przy ojcu siedzieli rzadko, ten zaś zaniemógłszy ciężko, sam już królowi służyć nie miał siły, kochali się z sobą jak bracia, trzymali razem nieodstępnie, tak że ich pojedynczo niemal spotkać było trudno. Starszy z nich po ojcu imię Andruszki wziął, drugi się zwał Jurgą. Posiadłość mając niedaleko granic, kędy częste bywały napaści, musieli się Jaksowie trzymać czujno a obronnie.

Właśnie Bolesław był na Rusi z nimi, gdy stary ojciec, który się już i o kiju ruszyć nie mógł, życie zakończył.

Pamiętał on jeszcze Ziemomysła czasy, na pół i po troszę poganin był, choć później się już nawróciwszy, wedle nowej wiary i obyczaju żyć się starał.

Opowiadano potajemnie, że na łożu śmiertelnym służbie swej polecił, aby po chrześcijańskim

pogrzebie nocą z ziemi ciało wydobywszy starym obyczajem na stosie spalili. I tak się też podobno stało, a duchowieństwo, dowiedziawszy się, choć sarkało, przez palce patrzeć na to było zmuszone.

Gdy synowie potem oba z owego sławnego grodu Kijowa powrócili, w

którym się pono wszyscy, nie wyjmując pana, nad miarę zabawiali wesoło, znaleźli dworzec pusty, służbę tylko wierną, stojącą na straży dobra pańskiego, a w skarbcu ogromne stopy dostatków niemal królewskich. Ojcowskiego oka i powagi zabrakło, młoda krew w nich wojacza zawrzała i wkrótce bardzo jakoś, że Bolesław na nową wojnę nie wzywał, poczęli życia swobodnie zażywać nie żałując sobie niczego.

Starszy Andruszka pomiędzy innymi z Rusi łupami Greczynkę niewolnicę z sobą przywiózł, niewiastę dziwnej urody, lecz nad podziw też płochą i niepomiarkowaną, która zbyt wesołe życie lubiła. Stary więc dworzec, niegdyś spokojny, gędźbą się rozlegał i śpiewami, sprawiano uczyty ciągłe i gości się nie przebierało.

Oba bracia ludzie byli samopas żyć lubiący, rozpuszczeni jak wojacy, nawykli życie stawić bez wahania, ale też używać go bez miary.

Duchowni bliżej mieszkający upominali ich wprawdzie o to, ale słowa ich niewiele skutkowały. Jurga i Andruszka ujmowali ich sobie zapisując łąki i lasy kościołom, aby im pokój dano; bo ziemi więcej mieli, niż im było potrzeba.

Król Bolesław Wielki, choć mu może donoszono o młodych Jaksach, dla

swojego rycerstwa dosyć był pobłażającym, sam też podczas wiodąc takie życie wojacze przebaczał sobie i drugim wiele, byle na zawołanie poczet stał cały a dobrze zbrojny.

Jurga i Andruszka jeździli niekiedy na dwór pański z pokłonem, król ich po ojcowsku przyjmował, poił, karmił, o wyprawach mawiał z nimi, zawsze obdarzonych odsyłał, a o rozwiązłe życie strofować zaniechał.

Jurga w Poznaniu bywając najrzał u boku królowej będącą piękną Teodorę, córkę Sieciecha ochmistrza królewskiego, i myślał słać jej drużby. Oboje się sobie podobali i jakby stworzeni byli dla siebie. Nie wiedzieć czemu to odkładał z dnia na dzień, aż twarde przyszły czasy.

Na starym grodzie, gdzie oba bracia dzielić się nie chcąc ojcowizną siedzieli, dziwy się dzieć miały, swawola straszna. Nie bardzo się chciało Jurdze żonę tu wprowadzać, Andruszka też nierad się był od brata odłączyć.

I szło dalej po staremu. Łowy sprawiano ogromne, uczyty książęce, ubogich obdarzano bez miary nie czyniąc w nich wyborów, z sąsiadami na przemiany to się wicherzono, to godzono i zapijano.

Przyszło do tego wreszcie, że na owo życie szalone poczęło braknąć, ze skarbcza powynoszono i rozdrapano, co było, posiadłości dużo rozdano i rozprzedano. Bieda była za pasem, a upamiętanie przyjść nie chciało. Obaj nasi rycerze rachowali pono na nową jakąś wojnę i łupy, które by ich zasiłiły i majątności pozakładane wykupić dopomogły.

Wszystkiego pono złego przyczyną był Szwab, przybłąda, co się tam na dwór wcisnąwszy nowe wprowadzał zwyczaje, jakie według niego na zachodzie Europy rycerstwo i panów odznaczać miały. Sam on korzystał z braci, drugim ich łupić dozwalał, pochlebiał, płaszczył się, a na wsze ich bezprawia wyciągał.

Szwabowi imię było Gwidon. Niegdy za Ottonów dużo się pono po świecie włóczył, plół o swych bojach z Saracenami we Włoszech, o podróży do Bizancjum i o różnych niestworzonych przygodach na cesarskim dworze. A że Jaksom wmawiał, iż równych im dzielnością rycerzy na całym nie spotkał świecie, dobrze mu się działo.

Ano z nimi było źle. Choć niby sługa pokorny, on z Greczynką Antonią trzęśli dworem i panami swoimi wiodąc ich do zguby. Ani się opatrzyli Jaksowie, jak ona nadeszła. W skarbcu nie było już nic, jeno półki próżne i skrzynie otwarte.

Ludzie dawać nie chcieli, z ubogich osadników drzeć nie było łatwo.

Śpiewano jeszcze i spijano we dworze, ale i pieśni nie były tak głośne jak niegdyś, i napojem się trzeba było obchodzić domowym. Stare miody wyschły do kropli, nowych nie stało z czego sycić, a i piwo warzono coraz gorsze. W starym dworcu znikły wspaniałości dawne, rozchwyтали je po trosze mniemani przyjaciele, a teraz ich już widać nie było.

Żył jeszcze stryj Janko; choć nieco opodal mieszkał, słyszał, co się u bratanków działo; raz czy dwa strofował mocno i groził, potem synom u stryjecznych bywać zakazał, potem już, jakby się cale nie znali, zerwało się wszystko.

Człek to był stary, ociężały, więcej nad to począć nie mógł, a do króla skarżyć się nie chciał. Serce mu się ścisnęło, że ojcowizna szła tak marnie, że ziemię nawet rozszarpywano, krwi mu swej żal było, a sił do powstrzymania nie miał.

Gdy wreszcie ciężkie bardzo nadeszły czasy, pomyśleli o tym Jaksowie, by u stryja pomocy szukać i zasiłku, a ten rozgniewany, że go dawniej nie słuchano, ani przyjąć, ani mówić, ani wspomóc, ni znać nie chciał i drzwi im swe zamknął.

Tymczasem spodziewanej wyprawy, na której się wszelkie opierały nadzieje, jakoś wcale słychać nie było. Król Bolesław, szeroko zawładnąwszy ziemiami słowiańskimi, od Dunaju do Bałtyku panując, nowych wojen ani potrzebował, ani żądał. Henryk II, cesarz, w pokoju z nim rzekomym był, drudzy też obawiali się wypróbowanej Szczerbca siły.

Na dworze w Jaksowym Borze coraz puściej być zaczynało, ludzie uciekali od podupadłych.

Właśnie zima się była w końcu listopada na dobre ustaliła, śniegi nawet upadły i trzymały się już, najlepszy czas do łowów nadchodził. W nich dwaj bracia jedyny ratunek znajdowali i pociechę. Dniami i tygodniami siedzieli w puszczech i lasach, ano kiedyś przecież do domu zajrzeć trzeba było, aby w cieplej izbie od począć.

Dnia tego, gdy się nasze rozpoczyna opowiadanie, Jurga i Andruszka z nieodstępnym Szwabem i ludźmi do łowów właśnie się na dworzec przywlekli, oba chmurni, bo myślistwo się też nie wiodło, spocząć jakiś czas doma zamierzali.

Rozpalono więc ogień w wielkiej izbie i służba się krzątała. Gwidon był do koni zszedł, nikogo w izbie, oprócz dwóch braci.

Niegdyś oni wesołymi być umieli, wszystko w nich dobrą myśl budziło, przygody co najtrudniejsze do przebycia witali ochoczo. Teraz oba milczeli posepnie, patrząc na ognisko, to z ukosa na siebie.

Nie odzywał się żaden, bo powiedzieć dobrego nic nie mógł, złego nie chciał. Trwało to dosyć długo, gdy się młodszy Jurga odezwał z cicha:

— Co tobie, Andruszku?

— Chciałem spytać, co tobie, Jurgo? — odparł drugi. — Jeszczem cię ja takim nie widział.

— A ja ciebie, bracie.

— Bieda u nas...

— Bieda...

— Wojny by nam trzeba...

— Król ociężał, już mu się na nią nie chce i nie zbiera. Lepiej mu w Poznaniu siedzieć, rycerzy przyjmować i zastawiać stoły.

— Bieda.

Westchnęli oba. Szwab, który przed chwilą do izby powróciwszy u progu stał i słuchał, odezwał się, gdy zamilkli Jaksowie.

— Na biedę sobie u nas ludzie radzić umieją, gdy głupi pokój trwa nadto długo...

Spojrzano na niego.

— Trudno rycerstwu dać mieczom w pochwach rdzewieć. Nie ma

nieprzyjaciela, trzeba polować na podróżnych.

Andruszka głową potrząsał silnie.

— U nas tego zwyczaju nie ma — rzekł żywo — gość u nas wszelki bywał

zawsze bezpieczny.

— Swój. to pewnie - mówił Szwab niezmiészany — a obcy po co się mają po gościńcach włóczyć ze

skarby wielkimi. Co mają za prawo w cudzej ziemi handlować? ... U nas jeśli po dobrej woli podróżny okupu nie da, idzie do lochu albo i głową nałożyć musi. Na czyjej ziemi kupiec zdechł, do tego skóra jego należy.

Bracia posepnie milczeli, Niemiec mówił dalej zwolna, po cichu, oczyma na nich rzucając kosymi, jak gdyby badał, co z nich te słowa uczynią.

— Tu by się teraz dobrze obłowić można na tych, co do Poznania, do Gniezna z Grecji i Rusi przeciągają. Spotykałem wozy i konie juczne, na które aż ochota brała. No, ludzie to niby orężni, i żelaza by się dobyło przecie, co dawno świata nie widziało, i krwi innej, nad wilczą, nie kosztowało.

— U nas bo tego zwyczaju nie bywało! — powtórzył Jurga kwaśno.

— No, a jam słyszał — ciągnął Niemiec uparty — że greckim kupcom

niejeden raz Domaradowie w lasach swoich drogę zastępowali. Obłowili się mało wiele, przecie im za to nikt marnego nie powiedział słowa, co wzięli, to wzięli.

Andruszka niechętnie coś zamruczał.

— Ludzie też prości, co mieczów nie mają, ledwie pałki nasiekiwane, a i ci zastąpiwszy gościniec nieraz z tych włóczęgów ściągali daninę. Takie to polowanie jak inne, tylko skórka lepsza.

Jurga się rozśmiał, oczy mu błysły.

— Lepsze to łowy niż na jelenie — rzekł żartując — bo te złotych rogów nie mają, a kupcy trzosa wożą nabite.

— Ho! Ho! — wtrącił coraz się ośmielając Szwab, niejeden z nich przy sobie więcej ma srebra i złota, niżeli król posłał Prusakom na wykup ciała świętego Adalberta. Wożą go w sztabach, w bryłach, w pieniądzech i różnych

kosztownościach. Jest się u nich czym pożywić.

Andruszka słuchał w ogień ciągle patrząc, namarszczony i nie rady.

— Milczałbyś! — zawołał w końcu — na co ludziom darmo robić oskomę.

Mieliśmy i my złota i srebra dosyć powróciwszy z wojny, a teraz go i prószyny nie znajdzie, chyba na rękojeści u mieczyka.

— Hej! hej! — westchnął Jurga. Gdzie się to wszystko podziało.

— Żli ludzie rozchwyтали, a dobrzy rozdarowali — rzekł Szwab. — I od tych, co po pijanemu rwali, siłą, mocą odebrać nie byłoby grzechu. Zresztą, od biedy, kościołowi by się też z tego coś dało.

Jurga wstał i wzdychając ciężko, chodzić zaczął po izbie. Piękna

Sieciechówna przyszła mu na myśl, nie było jej teraz gdzie przy prowadzić i czym obdarzyć.

— Mnie już tak dokuczyło to głupie ubóstwo i ta pustka nasza, że gdyby mi się jaki Grek nawinał, nie ręczyłbym za siebie. Andruszka, jako dobry brat, widząc mnie przy robocie, takżeby samego nie zostawił, hę?

— Plugawa rzecz. lepiej wojny czekać — rzekł starszy.

— Choćby się i nie chciało, toć musimy — dodał Jurga, — Grecy jak

zwierzyna po lasach się nie włóczą. Łacniej tura niż Greka dostać.

Szwab się śmiać począł z kąta.

— Właśnie bym ja — odezwał się — mówił panom o czymś podobnym,

gdybym już co napytanego i napatrzonego nie miał.

Oba Jaksowie zerwali się nagle i przyskoczyli doń. Myśliwska i wojacza żyłka w nich zagrała podrażniona głupią mową. Może im nie tyle o zdobycz szło, co o samo polowanie.

— Mówże! — krzyknął Jurga rękę mu kładąc na ramieniu, — wiesz co?

Gadaj!

Szwab, który był krępy, niepozorny, wyglądał z dala jak prosty parobek i zwykle twarz miał jakąś bezmyślną, gdy się czymś rozpalił, zmieniał nagle oblicze.

Małe oczki mu się iskrzyły jak u kota, usta śmiały, a włos, na wpół siwy, wpół

rudy, najeżony jak szczecina, zdawał się podnosić gdyby sierść na stworzeniu podrażnionym. Potarł brodę rozczochną i zębami, jak miał zwyczaj, kłapnął.

— Wiem to na pewno — odezwał się — że przez nasze lasy kupcy będą

ciągnęli z Kijowa przed Bożym Narodzeniem. To ich zwyczaj, spodziewają się już nasi. Jechał przodem na zwiady posłany wypatrywać gościniec i po nich pono powrócił. Kupcy mają być znaczni, koni jucznych kilkanaście, a skarby wiozą wielkie.

— Toć pewnie z nimi bez pocztu i straży nie jadą — rzekł Andruszka.

— Niby to my nie znamy, co to ich straż i najemne pacholki na cudzych śmieciach. Zbierane lichy, kulawe i chrome, byle plecy do liku stały. Tyle tylko, że na okaz od pospolitego motłochu dadzą im siaką taką dzidkę...albo mieczyk zardzewiały. Na nich jakby prawdziwy rycerz chuchnął a dmuchnął, na ziemię polecą jak żołędzie, żaden palcem nie kiwnie.

Nie otrzymawszy odpowiedzi Gwido zmilczał trochę, oczyma rzucając po braciach, dawał truciźnie się rozgościć.

— Ech! — szepnął w końcu, gdyby mi jeno ludzi dano, ja bym sobie i sam z nimi dał radę.

— Zła to sprawa — wtrącił Jurga — daj pokój.

— Czym zła? co złego? — podchwycił Szwab. Niechby miłościwi panowie

pojechali dalej do nas, w niemiecką ziemię, zobaczyliby, że i największego rodu duki i komesy w to się wolnego czasu zabawiają. Ci obcy, co się włóczą, lada jaki gmin, wyzwoleńcy, niewolnicy, mieszczuchy, lada jaka drużyna. Na wilka czy na nich polować wszystko jedno. Nie wiadomo, w jakiego to Boga wierzy. At, i nikt się za to nie ujmie. Przepadło, ta przepadło!

Oba bracia wysłuchawszy nie odpowiedzieli ni słowa, Szwab zmiarkował, że nasienie zejdzie później, i trochę przycichł, jakby mu to było obojętne.

Podano wieczerzę niewykwintną, bo i adwent się już był rozpoczął, a mięsa nie wolno było używać. Kasza i ryba go zastępowały, nad piwo mdłe innego napoju nie stało. Skosztowawszy go Jurga otarł wąsy i splunął.

— Liche pomyje — rzekł — ani to w żołądku zagrzeje, ani w głowie nie zaszumi, lepszy miód stary i wino. A skąd je u licha brać?

Andruszka też, co lepszy napój lubił, usta wykrzywił. Szwab siedział w końcu stołu.

— Hę! hę, — ozwał się, — byłoby za co wina sprowadzić i miodu nasycić, żeby się dobre polowanie udało. Za złoto wszystkiego dostać.

Bracia pospuszczawszy głowy siedzieli jakby nie słysząc.

Pod koniec wieczerzy Andruszka wstając spytał jakby od nie chcenia.

— A kiedyż to ta złota zwierzyna ma ciągnąć?

Szwabowi aż się oczy zaśmiały, już swojego prawie pewien był. Chciało mu się bowiem obłowić raz jeszcze i z tej pustki uciekać, ale nie z gołymi rękami.

— Lada dzień — zawołał — lada godzina... Na nią by już trzeba być na przesmyku dobre sobie miejsce wybrawszy.

Jurga dodał:

— Zaczepić czy nie...alebym rad widzieć, jak to wygląda i jak się to wlecze?... Zresztą okup ściągnąć na własnej ziemi nie tak to straszna rzecz. Biorą miasta i król też opłatę z nich.

Gwido spiesznie mówić począł.

— Staniemy u mostu, miłościwy panie, u mostu na ruczaju, co się Gniłym nazywa. Most pański...Albo to dla nich mosty stawiano? Czy to nie kosztuje?

— Może ma słuszość — mruknął Andruszka — na swoim moście

przydybawszy upomnieć się o zapłatę nie grzech. Toć ziemia nasza.

— Dla jakiegoś tam lichego okupu na mrozie siedzieć nie warto — odezwał

się Jurga po namyśle — kto ich wie, kiedy nadjadą, a potem nas zbędą jaką lisią skórką albo kuną.

— Jeżeli zechcą zbyć psim swędem — zawołał prędko Szwab — toć na to

przecie sposób jest.

Zamiast dalszej rozmowy poczęła się już drobna słów wymiana, urywana i niesforna, ale Szwab widocznie zyskiwał coraz więcej na braciach; już mu się tak bardzo jak wprzód nie bronili.

Na niczym jednak skończyło się tego wieczora, bracia smętniejsi tylko niż zwykle spać poszli. Jurga myślał, jakby Andruszce życie osłodzić, Andruszka, jakby bratu do wesela dopomóc.

Nazajutrz długo zależeli na ranek, nie było się czego śpieszyć ni do czego wstawać.

Przyszedł Szwab nie mówiąc nic, tylko oczyma rzucił, wiedział, że go zaczepią sami. Jakoż z przełaju zaczęli o kupców rozpytywać i niemal przez dzień o niczym innym mowy nie było, tylko o nich.

Sprzeczano się, wahano, późnym wieczorem stanęło pojechać i zobaczyć, ot tak, co tam może być. Andruszka i Jurga nie chcieli brać ludzi, aby nikt o tym nie wiedział, tylko Szwaba za przewodnika. Mieli się uzbroić w kaftany podwójne, w hełmy skórzane twarde, dobry oręż i młoty, ale to tylko na wypadek. We dwu na dziesięciu pachołków licho uzbrojonych śmiało się rzucić mogli. Szwab jednak radził, pewnych dobrawszy kilku parobaczków, dla powagi z większą siłą wyciągnąć na zasadzkę.

Sprzeczano się długo i ograniczono na sześciu. Dwaj bracia ufali w swą siłę i męstwo. Nieraz konni całą trzodę piechoty gnali i w niewolę imali.

Trzeciego tedy dnia, od stóp do głów uzbrojeni, wyruszyli w las jakby na łowy. Gościniec, w którym kupcy ciągnąć musieli, był o dwie mile ode dworu. W

puszczy przechodził on parów, którego głębinię przepływał ruczaj, a na nim dla grzędawicy i topieliska most wystawiono, gdy raz wojsko tamtędy ciągnąć miało.

Miejsce u mostu było dogodne, bo z jednej strony świerki mogły ukryć ludzi w zasadzce, dopókiby się cała gromada w dół nie spuściła. Ucieczka pod górę była stąd niepodobieństwem, bo mróz ściał ją i śliską uczynił. Za świerkami łączki kawał nad ruczajem dość wygodnie obóz dozwalał rozłożyć. Gościńca tego kupcy, zimową zwłaszcza porą, wyminąć nie mogli, był jedyny do Poznania wiodący, odwieczny.

U mostu więc w rozdole pod noc przyciągnawszy, Jaksowie rozłożyli się poza świerkami.

Niejeden raz im w wyprawach rycerskich w daleko większym

niebezpieczeństwie i niewygodzie przychodziło koczować z małą też garstką na liczniejszego czatując nieprzyjaciela; nigdy jednak tak smutnie a nawet bojaźliwie się do dzieła nie brali.

Nierycerskie też to było dzieło.

Szwab tylko w swoim żywiole się zdał, śmiał się ciągle i biegał, spod nawistych gałęzi ku gościńcowi wzierając.

Podług jego rachuby kupcy o innej dnia porze jak ku wieczorowi przejeżdżać tędy nie mogli, gdyż nie opodal było kilka chat osady, którą zwano Kołodzieje, gdzie każda taka podróżnych gromadka przy szopach na noc stawać była nawykła.

Pierwszego jednak dnia nadzieja zawiodła, nie było nikogo na gościńcu, drugiego też czekano na próżno i Jaksowie już poczynali z pogańska przeklinać swą ciekawość a Szwaba namowy. Mróz dojmował i wiatr smagał.

Gwido dał się im wygniewać i nałajać, zapowiedzieli mu, że trzeciego dnia, choćby po nocy, do domu powrócą.

Aliści właśnie zmierzchać poczynało, gdy na gościńcu ukazali się jezdni i juczne konie stąpające powoli. W mgnieniu oka wszystko było w pogotowiu, ludzie się z barłogów pozrywali, a Andruszka zapaliwszy się, jakby istotnie zobaczył nieprzyjaciela, sam wnet począł rozporządzać i ustawiać.

Niczego się nie domyślając i nie obawiając orszaków zwolna i ostrożnie ku mostowi przybliżać się zaczął. Czekano, aż się cały z góry spuści.

Gdy pierwsze konie juczne z przewodnikiem na czele już na most miały wstępować, Jurga z Andruszką nagle zza krzaków wypadłszy drogę im zastąpili.

Kupiecka gromadka miała może piętnaście koni, ze sześciu przy nich ludzi zbrojnych na pozór, lichy, na czele jej jechał wąsaty, czarny mężczyzna w kozuchu dostatnim, z nożami dwoma u pasa, żelaznym młotem u siodła i mieczem u nogi.

Spostrzegłszy naprzeciw siebie zbrojnych stanął, inni też ludzie jakby do obrony, ścisnąwszy się, sposobić zaczęli.

Przewodnik pieszy popatrzawszy tylko, może poznawszy, z kim miał do

czynienia — w bok się zaraz rzucił i zniknął.

Szwab pierwszy do rozmowy wystąpił wołając głośno, że przejazd bez

okupu nie jest wolny. Wąsacz odpowiedział mu też krzykiem mało zrozumiałym, bo choć to niby ze

słowiańska brzmiało, znać w wymowie było cudzoziemca. Na poparcie wyrazów począł też garścią szukać mieczyka.

Na widok żelaza, które dobywał, w Jaksach krew zakipiała, już ich

powstrzymać nie było w ludzkiej mocy. Uciekać kupiec nie mógł i myśleć, bo z obładowanymi i znużonymi końmi ani się śmiał na to porywać. Ludzie jego stanąwszy po bokach dobyli też, co kto miał, udając, że się będą bronić zacięcie.

Od okrutnego łajania zaczęto z obu stron. Wtem Jurga i Andruszka skoczyli wprost na wążacza i jeden go zaraz przez łeb chlasnął czapkę przeciąwszy na dwoje. Grek oddał po ramieniu.

Wszczęła się tedy utarczka ogólna, a że u Jaksów i panowie, i ludzie silniejsi byli, skutek łatwo można było przewidzieć. Dwóch pachółków zaraz z koni skoczywszy w las pierzchnęło, inni popadali od razów, broniący się kupiec także z konia się zwalił porąbany okrutnie i ducha wyzionął.

Konie ich zrazu rwały się przestraszone, ale z nich para się na ślizgawicy wywróciła, resztę pochwytili ludzie. Nie upłynęło i pół godziny, a cała zdobycz, o którą się pokuszono, została w rękę napastników rozgrzanych bojem i wcale nie rozważających, co popełnili.

Odartego trupa rzucono na gościńcu, a Jaksowie z końmi jucznymi i

ładunkiem puścili się żywo do dworu swojego.

Znając wszystkie ścieżyny, choć ich noc napadła, potrafili przebrać się lasami do domu. Już nawet nie zważali na to, by się ukryć z popełnionym rozbojem, gorączka ich jakaś opanowała.

Ledwie na podwórzec przybywszy kazali ludziom przyjść z pochodniami, zdjęte z koni juki poznoszono do wielkiej izby na dole, gdzie się czeladź i mnóstwo ciekawych dworskich zebrało.

Na samym dowódcy karawany dwa trzosi złota zabrano, w jukach zaś były bogactwa różnego rodzaju. Najwięcej między nimi było złotych i srebrnych lam, jakich naówczas panie do okrycia futer i na suknie używały, bizanckich purpurowych szat, jedwabiów tkanych we wzory, wreszcie złotych naszyjników, kolców, naczyń i różnych wyrobów nasadzanych kamieniami drogimi,

malowanych emalią kolorową. Łup o wiele przechodził najśmielsze obu braci i Szwaba nadzieje. Był tak wspaniały i obfity, iż Jaksowie zapomniawszy o tym, w jaki go sposób zdobyli, odzyskali wesołość ciesząc się hucznie i głośno. Szwabowi też część udzielono piękną, która mu się słusznie należała, bo i naprowadził i karku nastawiał.

Niemal całą noc trwała uciecha i rozmowa o wypadku, podsycana baryłką wina, która się między ładunkiem znalazła. Sami przed sobą uniewinniali się bracia, iż Grek pierwszy porwał się do miecza, a oni w prawie swym byli wymagając okupu na moście. Cudzoziemiec więc sam swej śmierci był przyczyną.

Co jeszcze w oczach ich niemałej siły dodawało dowodzeniom, to, że jeden z nich acz lekko, ranny był w ramię. Pomsta wydawała się im słuszną, a grabież ledwie za krew płaciła.

Szwab śmiejąc się upewniał i zaklinał, że o podróznego i pies się nie upomni. Któż by zresztą mógł i chciał, a wiedział, gdzie winnego szukać?

—Trupa – mówił — jak się to po gościńcach zwykle zdarza, to albo pobożna ręka pogrzebie, lub nocą wilcy rozszarpią i nie po zostanie śladu.

Ostatnie przypuszczenie było najprawdopodobniejszym. Zwierza się głodnego włączyło dużo.

Dopóki rozgorączkowanie trwało, póki szacowano łupy, rozmawiano o

potyczce i wzajem sobie pomagano uniewinniać się, bracia zdawali się jakby z powrotem po wojennej wyprawie weseli i rażni. Poszli spać, dobrze

podochociwszy.

Nazajutrz dopiero przyszły jakieś obawy. Andruszka pierwszy padł na tę myśl, wnosząc z rzeczy wiezionych, czy kupiec nie był na dwór króla powołany do Poznania i czy go tam nie oczekiwano. Jeżeli go tam król albo królowa wyglądała?

Jeżeli się go spodziewano? Nuż miał pozwolenie i porękę pańską? Co naówczas?

Kawał zapisanej skórki z pieczęcią znalazł się u kupca za nadrą, ale w domu nikt czytać nie umiał i kartkę zaraz Szwab do ognia rzucił, aby śladu nie było.

Jurga posępnie milczał. I on też przebudziwszy się z rana począł jakoś na sprawę zapatrywać się inaczej. Łup zdobyty wydawał mu się już nie bardzo prawnie przywłaszczonym. Przez zęby cicho klął Szwaba i jego namowy.

Oba Jaksowie chodzili niespokojni.

Ludziom, co się na wyprawie znajdowali z nimi, nakazano najsurowiej

milczenie. Jeden z nich potajemnie zaraz wysłany został opatrzyć, co się z trupem działo. Kazano mu, jeżeliby ciało jeszcze na gościńcu leżało, zwlec je z drogi i w krzakach gałęźmi przyrzucić.

Długim wydał się czas, nim posłany wrócił i doniósł dotarłszy do

Kołodziejów, że ludzie od dworu królewskiego powracający do Poznania ciało z gościńca zabrali i prawdopodobnie musieli je powieźć z sobą. Dopytywali oni u bliżej mieszkających, czy kogo nie widzieli w okolicy; wypadkiem trafili tu na przewodnika zbiegłego, a ten z niedalekiego sąsiedztwa będąc rodem miał wręcz powiedzieć, iż poznał ludzi Jaksów, a że się to na ich gruncie stało, nikt nie mógł

być sprawcą tylko oni. Królewscy komornicy ujęli zaraz tego przewodnika i związawszy go poprowadzili z sobą.

Ten, który przywiózł tak niepomysłne wiadomości, sam szczęśliwie potrafił

uniknąć, iż go nie zabrano, udając podróżnego i nie dając się poznać, skąd był.

Popłoch tedy tym większy padł na winowajców, którzy jeden na drugiego nie mając serca zrzucić winy, na Szwaba ją walili całą, bo on to pierwszy podał te myśl nieszczęśliwą. której pokusie ulegli.

Andruszka przewidując oskarżenie miał już w myśli sam jechać do króla, aby przed nim opowiedzieć rzecz całą, jak należało. Jurga się temu opierał, boćby to było niemal przyznaniem się do winy. Szwab też zakrzyczał wniebogłosy i postanowiono w milczeniu czekać, co z tego wyniknie, na najgorsze się gotując.

Tymczasem wszyscy trzej zwoławszy ludzi sposobili się na wypadek wszelki, jak się tłumaczyć będą mieli:

„Pierwszy ów kupiec grecki dobył oręża przeciwko rycerzom i srogim

łajaniem ich wyzywał. Cóż więc dziwnego, iż obelg i napaści wytrzymać nie mogli? Reszta sama za tym poszła. Upominanie się o zapłatę mostową nie było bezprawiem.”

Tak się pocieszano dodając sobie męstwa, chociaż bracia znając dobrze króla, gwałtowność jego i surowość nieubłaganą, nie kryli się z tym przed sobą, iż gdyby przyszło stawać na sąd jego, sprawę by swą przegrali. Królowi szło o to wielce, aby kupcy obcy bezpiecznymi byli wśród krajów jego, bezprawia i gwałty rycerstwa, zarówno jak i kmieci, i osadników, karał bezlitośnie. Dał tego dowód, gdy niedawno osiadłych na puszczy około Kaźmierza pustelników reguły świętego Romualda, łotry, chcąc im złoto przez króla dane wydrzeć pomordowali.

Natychmiast ścigać ich, łapać kazano, obsaczono, ujęto i na śmierć wydano.

Jaksowie mieli u króla zasługi i łaski, przyjaciół na dworze, rodzinę możną -

wszystko to mogło ich bronić w potrzebie, ale w oczach króla nie miałyby wagi, gdy raz co postanowił.

Niepokój zwiększył się jeszcze, gdy wkrótce po powrocie posłańca, który dotarłszy do Kołodziejów przywiózł wiadomość o tym, iż królowi musiano już dać znać o zabitym kupcu, nader przewidujący Szwab, nocą zabrawszy część łupu i gwałtem porwawszy grecką niewolnicę, z kilku ludźmi namówionymi uszedł tak spiesznie i zręcznie w lasy, iż go pogoń wysłana nazajutrz doścignąć nie mogła.

Nie bardzo im było żal sługi i kosztowności, ale Andruszka bolał nad stratą pięknej niewiasty, a ucieczka dawała do myślenia, że i on się obawiał pomsty i prześladowania, i od nich uchodził...

Dwa dni z sobą samymi spory wiodąc, godząc się, pocieszając, klnąc, bracia przetrwali w niepokoju. Nareszcie, gdy nic słyszeć nie było, sądzić poczęli, że burza ta może w inną przeciągnęła stronę, gdy nagle nocą królewski posłaniec we czterdzieści koni nadbiegł, dwór osaczył dokoła i przywiózł rozkaz Jaksom, aby się z nim natychmiast przed sąd królewski stawili, jako obwinieni o

napad gwałtowny, zabójstwo i złupienie kupca, który dla króla z Kijowa prowadził zamówione towary.

Ani się temu rozkazowi opierać siłą, ani uciekać nie było sposobu, a sąd króla - śmierć była pewną.

Stary komornik i dowódca poczty pancerników królewskich Drogosz, dobrze obu braciom z wojen znany, wszedłszy do izby, gdy mu przyszło o tym

oznajmywać, z bólu ręce załamał. Słyszał on przykaz z ust samego króla i wiedział, co o nim trzymać. Jak on tak i wszyscy, co z Jaksami pospołu bywali na wojnach lubili ich i przywiązani byli do braci.

Jurgę i Andruszkę znano jako ludzi serdecznych, którzy na miłość sobie zarabiać umieli, choć nieraz po żołniersku płochością i porywczością grzeszyli.

Drogosz wszedłszy do izby długo stał niemy, nim się zebrał oznajmić, z czym był posłany, zdjął potem z głowy hełm, cisnął nim o stół i padł na ławę.

Jaksowie w posępnym milczeniu wysłuchali oznajmienia, spojrzeli po sobie, żaden się z nich nie ruszył nawet. Minął dawno szal, który ich do wybryku pobudził, wytrzeźwili się już byli, widzieli co ich czekało. W duszy Andruszka pragnął tylko ocalić Jurgę, a Jurga myślał, jakby brata oswobodził.

— Na pioruna! — odezwał się stary pancernik — na pioruna! Cóżście to za piwa nawarzyli? Wy? najmajętniejsi ze starych władków, wy, coście złoto garściami rzucali wiedźmom kijowskim, żebyście się połakomili na kupca i jak proste łotrzyki dla mizernego skarbu na życie podróznego godzili!

Żaden się na razie nie odzywał.

— Król zły, zaprzysiągł się, że tego nie przebaczy — dodał Drogosz

wzdychając.

Widać było z jego mowy, że choć tak mówił, rad by był znaleźć jakiś sposób ocalenia ludzi walecznych i dobrych towarzysów...

— Słuchaj, Drogosz — odezwał się po namyśle Andruszka — nie pytaj, jak do tego przyszło. Bies nas skusił w niemieckiej skórce. Co się stało, na to niema rady. Powiem ci jedno, dodał wskazując na brata, ten nie winien nic, jam starszy, jam mu iść kazał, co się stało, ze mnie poszło, nie z niego.

Wtem Jurga przerwał:

— Nie słuchaj go. Bóg świadek, jam się pierwszy Niemcowi dał zwieść i skusić. Trzeba dać głowę, dam ją nie targując się, byle Andruszce się nic nie stało.

On poszedł za mną, nie ja za nim. Kłamie i przechwala się. Jeżeli król nas nie poszczędzi, to — Bóg się zmiłuje.

Chcieli mówić i sprzeczać się, gdy Drogosz ręką zamachnął tylko.

— Jam tu nie sędzia, mnie was obu przystawić kazano. Powiecie królowi, jak się rzecz miała.

Pospuszczali głowy Jaksowie, a Drogosz zadumany przyrzucił;

— Póki jeszcze czas, ślijcie do stryja, niechaj on przybywa prosić za wami.

Dajcie znać przyjaciołom, niech jadą i proszą, jeżeli nie króla, bo do niego w gniewie przystąpić trudno, to do królowej, Wiele ona może. Ano, Bolesławowskie słowo straszna rzecz jak grom, król się zaklął. Niewiele na tym nadziei.

— Albo i żadnej — dokończył Andruszka. — Kto się dziś wstawi za nami?

Stryj dawno zagniewany, znać nas nie chce, przyjaciele dopóty trzymali z nami, póki szczęście było. Nikt nie powie słowa, aby się z łask pańskich nie wyzuł. Niech się dzieje wola boska, może jedną głowę dając ocalim drugą, ja moją położę.

— Chyba ja — mruknął Jurga — albo nie, to oba.

Żadnemu z Jaksów na myśl nie przyszło uczynku się zapierać, po żołniersku, co popełnili, do tego się znali, a trzeba było ginąć, żaden się z nich śmierci nie lękał. Patrzeli jej nieraz w oczy na po bojuwiskach.

Drogosz widząc, że o niczym nie myślą, sam dworskim szepnąć musiał, aby starego Jaksę i innych plemiennych objechali, zaklinając o pomoc dla nieszczęśliwych.

Wedle rozkazu królewskiego zabrano towary, jakie się znalazły. konie kupca i wszystko, co doń należało. Z południa potem oba bracia na konie siedli dwór swój stary żegnając oczyma i rozplakane sługi, co się w podwórce zwlekły zawodząc a jęcząc. Otoczyli ich wkoło ludzie królewscy i puścili się jak pogrzebowy pochód milczący do Poznania.

Wiedzieli, że na swój gród stary nie wrócą.

Rozdział 2.

Chociaż w owych czasach osady po krajach z dala od siebie rozsypane były i wielkie je dzieliły przestrzenie, głośny wypadek z Jaksami, z ust do ust podawany, rozszedł się zaraz daleko, na wsze strony.

Być może, iż przyjazny obwinionym stary Drogosz, który ich pragnął ocalić, umyślnie powoli z nimi ciągnął, po drodze rozgłaszając, co się stało, aby tym sposobem rodzinę obudzić i w pomoc ją powołać.

Byli też, jakeśmy mówili, młodzi Jaksowie, mimo buty swej i szaleństw, lubionymi powszechnie, znano ich wady, a ceniono przymioty, którymi je okupywali. Głowy były zapalone, serca dobre, nierozwaga wielka, płochość bez miary, żal też i skrucha serdeczne.

Na dworze pańskim i w wojsku Bolesława mało było rycerstwa tak

powszechnie umiłowanego, jak Jurga i Andruszka. Nikt ich nie wyprzedził, gdzie karku trzeba było nastawić, w niebezpieczeństwo się rzucić, za przyjaciela ująć, majątkiem lub krwią płacić. Ilu towarzyszków wykupili z niewoli, ran odnieśli broniąc ich i zastawiając się za nich, nikt by nie zliczył. Część znaczniejsza mienia poszła tak nieopatrznie dla miłości ludzi. Nie odjechał nikt od ich progu daremnie, jeśli to, czego żądał, spełnić mogli.

Oba społem, we dwu, nie mieli lat pięćdziesięciu, młodzi, silni, zdrowi, piękni, niedawno jeszcze wiele obiecywali po sobie, król na nich rachował, teraz wszystko to jedna chwila szalona wniwecz obróciła.

Żał też był powszechny; przeklinano kupca nieszczęsnego, który miał dwu tak dzielnych rycerzy życie kosztować. Wszyscy ich niemal uniewinniali, przypisując napaść tę młodzieńczemu szaleństwu, a śmierć przypadkowi. Inni wiedząc o przewrotnym Szwabie, który wisiał przy nich, winę całą składali na niego i w tym się nie mylili, że jego poduszczeniu sprawę przypisywali.

Nikt jednak, posłyszawszy, jak się rzecz miała, dowiedziawszy się o królewskim gniewie, nie wątpił, iż Bolesław karę domierzy okrutną. Im wyżej w łaskach jego stali dwaj rycerze, tym się nawet sroższej sprawiedliwości spodziewać było można.

Po drodze zbiegano się przypatrywać dwóm jadącym w tym otoczeniu

Jaksom, jakby winowajcom wiedzionym na stracenie, czując już, że ich śmierć nie minie.

Drogosz wszystko czynił, co mógł, aby podróż jak najdłużej trwała.

Tymczasem stało się też, czego nikt się nie spodziewał, że uchodzącego z zapłakaną i lamentującą Greczynką Gwidona, który za granicę przekraść się spieszył z łupem swoim, pojмали ludzie królewscy przypadkiem i do Poznania go odstawili. Temu, niżeli Jaksowie przybyli, król po krótkim badaniu zaraz łeb ściąć kazał, niewolnicę oddawszy do dworu królowej. Szwab badany, broniąc siebie, winę składał na Jaksów i w ten sposób jeszcze ich więcej obciążył, a króla rozsierdził.

Na drodze już od przejezdnych komorników pańskich dowiedział się

Drogosz, iż Gwidon życiem przypłacił.

Z Jaksowych Borów zaufany sługa stary, w chwili, gdy Jurgę i Andruszkę brano, oklep na konia skoczywszy poleciał o mil kilkanaście do stryja, który mieszkał na grodku swoim w Niemierzyszczach.

Człek to był lat już bardzo podeszłych, za którego teraz dwu synów na wojnę stawało, bo on już dawno pocztu prowadzić nie mógł. Swojego czasu zawołany dowódca, bił się, gdzie tylko zabrzęczały miecze, bywał niejednym raz na Czechach i w Pradze, chodził na Lutyków i Pomorców, na Prusaków, na Ruś, na Węgrów i Niemców. Kilka razy pokłuty i porąbany, na pobojuwisku został za umarłego, bywał w niewoli u Słowian, znał i niemiecką. Zawsze mu jakoś szczęście służyło, iż przycierpiawszy wyrwał się na swobodę i życie. Teraz rany się stare otwierały, o kiju chodzić

musiał, włosy i brodę zapuścił długie, a całą pociechę jego było, choć chrześcijaninem został, starych słuchać pieśni. Temu niewiasty i dziadowie wędrowni, których ugaszczał i bronił, musieli niemal po całych dniach i wieczorach nucić.

Ustawiało to tylko, gdy duchowny jaki do dworu przybywał. Na starego

Janka nieraz donoszono kapłanom, że w nim ta miłość dawnej pogańszczyzny została, a że naówczas tępienie wszelkich pamiątek, do których coś ze starej wiary przyłgnąć mogło, było kapłanów obowiązkiem, zjeżdżali oni często do

Niemierzyszcz, aby Jakse w wierze umacniać, a precz odganiać zwyczaje, które zachował po kryjomu, tak jak nieboszczyk brat jego, ojciec dwu braci. Naówczas stary przyjmował duchownych ze czcią wielką, jaka im należała, milkły na czas pieśni, wynosili się do lasów dziadowie. Janko stawał się z księżmi pobożnym, chociaż byle oni za wrota, wszystko znów do starego porządku wracało. Nie było na to sposobu.

W przekonaniu Jaksy to, co było, mogło się jakoś pogodzić z tym, co

nastawało, rad był przynajmniej oboje połączyć, bo mu przeszłości dusznie żał było. Poblązał też po cichu tym, co z nią trzymali, przez szpary patrzył, gdy po lasach, na uroczyskach ciała palono i tryzny odprawiano, gdy na Kupałę gromady ognie rozkładały i „stadem” chodziły szalejąc.

Dziady i gęślarze byli i jego najmiłszymi gośćmi, a że o tym wiedzieli, z całego świata się tu wlekli i siadywali długo, bo pod jego dachem byli bezpieczni.

Nieraz, gdy mu pieśni dawne nucono, Jaksę się spłakał, łzy otarł po cichu i westchnął, i kłął piorunem, ale tego nie słyszał nikt, jeno jego dziadowie. Mimo to nowej wiary obowiązki spełniał ściśle, posty zachowywał, do kościoła jeździł, póki mógł, a synów do pobożności na kłaniał.

Dla dzieci po staremu był surowym. Matki już one dawno nie miały. Czeszka Drahomira, jedyna żona Janka, zmarła mu jakoś wprędce po przyjściu na świat synów, a potem się już nie żenił. Synowie Janka stryjecznych prawie rówieśnikami byli i jak oni ludzie rycerscy a wojenni. Starszy Miklasz i o trzy lata za nim będący Oleksa chodzili z pocztami na wyprawy, a czasu pokoju u ojca pierwszymi tylko sługami być musieli. Kochał ich, ale im nie folgował.

Albo ludzi do wojny sposobić, lub konie młode objeżdżać, albo osadników i wioski nowe opatrywać, co dzień ich posyłał stary spoczywać nie dając.

Obu im już od roku żon szukał, aby póki pokój trwał, mogli sobie gniazda założyć i nową rozpocząć rodzinę, lecz niełatwym był w wyborze. Naprzód nie dowierzał niewiastom, wiele wymagał od nich, potem rad szukał krwi i plemienia dobrego. Sam bowiem kneziem się mieniąc, bo z podań to wiedzieli, że niegdyś Jaksowie u Serbów panowali, lada jakiej niewiastki do domu wprowadzać nie chciał. A że mu z żoną Czeszką dosyć dobrze było na świecie, dla synów też się za dziewczkami stamtąd oglądał, niemniejszymi wszakże jak Stawniki i Wrszowice.

Dumnym był wielce i mało komu kroku ustąpił.

Dlatego też może, gdy się różni nowi na przód powysuwali rycerze, na dworze w łaskach i dostojenstwach zaczynając przodować, on się powoli od dworu uchylać jął i w końcu został w ukryciu wiekiem się składając. Na grodku swym tak panował samowładnie jak król w Poznaniu.

Gródek ten w Niemierzyszczach, u ścieku dwóch rzeczulek na pagórku

wystawiony, stary był, nie wyglądał pokaźnie, lecz obronić się mógł i niejednemu już oparł się napadowi. Zajmował przestrzeń dosyć obszerną, objętą wysoko wysypanymi wałami i ostrokołami, bo w razie najścia cała ludność z podzamcza mieścić się w nim musiała. Dwór też był liczny, ludzi orężnych, szczególnie konnych pancerników, zawsze około dwóchset stało w pogotowiu. Oprócz dworca starego, jeszcze wedle dawnego obyczaju z drzewa wystawionego, mnogie szopy, obory, stajnie, spichlerze, czeladnie dokoła, były ustawione.

Stary Jaksza w wielkiej izbie swej latem i zimą przy ogniu siadywał, nie wygasał on nigdy prawie w ogromnym kominie. Tu to na ławach, często po kilku na raz, u drzwi, zabierali miejsca dziady, ślepece i gęślarze. Maleńkie okna niewiele światła wpuszczały. Janko albo przed ogniem na stołku siadywał, lub też się układał na skórach, które w kącie leżały.

Gromada psów zawsze go otaczała, bo jak dawniej myśliwym był wielkim, tak teraz choć patrzeć na nie lubił, że mu łowy przypominały. Niegdyś on nawet na wojnę idąc, po parze psów bierał z sobą i mówiono, że mu jeden z nich życie uratował, gdy na Niemca, który już Jakse z konia obalonego dusił, padłszy tak go gryźć począł, iż panu się dał dźwignąć i obronić.

Gdy z Jaksowych Borów przypadł tu ów sługa stary z wiadomością o losie Jurgi i Andruszki, na podwórku znalazł Miklasza i zaraz mu tu, jak stał, ręce załamując wszystko wyśpiewał.

Między dwoma Jaksów dworami nie było już z dawna żadnego stosunku z

rozkazania Janka, który synowców znać nie chciał i mówić sobie o nich nie dawał.

Chociaż zakaz ten trwał zawsze, Miklasz się wszakże nie wahał, posłańcowi poleciwszy stać i czekać na podsieniu, sam zaraz iść do ojca.

W izbie na ten raz żadnego dziada nie było, stary sam jeden ręce zwiesiwszy u ognia siedział, a dumiał.

Ledwie stąpiwszy na próg syn zaraz odezwał się, jako to było w obyczaju, że ze złą wieścią przybywa.

— Nie trzymajże mi jej jako miecza nad karkiem, a mów — zawołał stary.

Dusza to była hartowna, co się lada czego nie ulękała.

— Z Jaksowych Borów sługa przybiegł — rzekł Miklasz. — Tam się

nieszczęście stało. Jurga z Andruszką napadli na gościńcu kupca Greka, który dla króla z Kijowa wioził kupią, powaśnili się z nim, zabili i odarli. Król po nich przysłał i kazał ich na sąd swój stawić

w Poznaniu.

Janko wysłuchawszy syna głową tylko potrząsł, długo mu słowa brakło.

— Jeśli tak jest — odparł w końcu cicho — jeśli prawda, a król się nie zmiłuje nad nimi, dać będą musieli szyję. Na Jaksów cały ród padnie hańba i sromota niezmazana...

Załamiał stary dłonie.

— Co czynić — mruzczał — co czynić? O miłosierdzie prosić dla łotrów czy za cudzą winę hańbę ponosić? A zdaż się u Bolesława błaganie? A pomogą u niego łzy i prośby?

Zamyślony, długo w ziemię patrzył, potem skinął, aby mu służę starego przywołano.

Ten, gdy wszedł i rzuciwszy się na ziemię czołem bił, bo człek był niewolny, z płaczem potem szeroko jął opowiadać, jak się to stało. Tym lepiej mógł opisać wszystko, bo choć niemłody, ale krzepki i sprawny, należał do tych, co z Jaksami u mostu byli, kryć się z niczym nie widział teraz potrzeby. Dowiedział się więc Jaksy, jak się to nieszczęście stało, kto był jego pierwszą przyczyną. Puściły mu się łzy milczące, odprawę dał człowiekowi ręką i siedział w myślach zatopiony jak martwy.

Syn stał czekając na rozkazy, ale ojciec ani się zwracał ku niemu, jakby zapomniał o nim. Potem do siebie sam niby począł mówić z bólu się zachodząc:

— Niechaj giną łotrowie, niech przepadają marnie! Niech kąkol idzie w ogień, aby czyste ziarno zostało. Mamyż się my czyści za pomazanych ujmować?

E! Andruszko! bracie mój miły, nie ich mi żal, ale ciebie, jeżeli ty z tamtego świata patrzysz na niegodne ciebie potomstwo!

Miklasz, choć się nigdy nie śmiał ojcu w niczym przeciwzić, rad by był za stryjecznymi przemówić słowo, ano, westchnął tylko. Zwrócił się Janko z brwią nawisłą ku niemu, jakby pytał, a chciał słuchać.

— Rodzica dawno stracili, w złe ręce popadli — począł cicho Miklasz.

— A krew to Jaksów bujna, co nie łatwo ostyga — przyrzucił Janko głowę skłaniając. Uderzył w dłonie i załamiał je.

— Król, jeśli nie im, to nam i rodzinie się umiłować powinien — rzekł. —

Nie im życie, ale nam weźmie sławę pocziwą.

I wstał nagle z siedzenia, choć się pod nim nogi trzęsły, chwyciwszy za stół, aby się na nich utrzymać. Spod siwych brwi nawisłych oczy mu połyskiwały.

— Jeżeli jeszcze czas, jeżeli czas miłosierdzia prosić, zawołał, nie dla nich, ale dla was, dla mnie,

dla tych, co pomarli i co żyć będą po nas... Jam stary i nieduż, ale mi trzeba, ale muszę! Miklasz, ty pojedziesz ze mną, konia siodłać każ!

Stary już od lat kilku z ciężkością chodził o kiju, konia nie dosiadał dawno, rozkaz synowi zdał się tak dziwnym, iż się uląkł.

— Ojcie miłościwy — rzekł z pokorą — ale jakże wam i pomyśleć o

koniu... jak o podróży? Mroźny czas, a wyście słabi.

— Na saniach leżeć nie mogę, — począł Jaksza stołkiem bijąc o ziemię — nie nawykłem, to babska i chłopska rzecz, jam żołnierz. Starego mi swojego osiodłać.

Kozuch wezmę, jechać muszę.

Na próżno się syn ofiarował jechać z bratem do króla; uparł się stary Janko i słuchać nie chciał. Nie było z nim co rozprawiać, gdy raz wydał rozkaz, a rzekł

swoje. Więc na całym dworze poruszyło się wszystko na tę niesłychaną nowinę, że pan jedzie do króla. Przestraszył ogarnął ludzi, bo jakże to coś groźnego być musiało, gdy tego starca, złamanego nie mocą, dźwignęło w taką porę na nogi?

W milczeniu posępnym wnet się poczęto przysposabiać do drogi. Stary nie mówiąc już nic, dawał znaki. Na ostatek, gdy o koniu oznajmiono, że stał

pogotowiu, dwu ludzi go doń prowadziło. Trzeba było starego podnieść na ramionach, aby go posadzić na grzbiet wierzchowca, lecz gdy się raz znalazł na nim, już się nie zachwiał.

Przeprowadzony przez cały dwór, z garścią ludzi i synem wyruszył Jaksza do króla.

— Padnę mu do nóg — rzekł do syna — prosić go będę, a nie ubłagam,

wyniosę się z tej ziemi, nie chcę jej znać, aby nam sromu nie wytykano. Do Serbów pójdziem albo do Czechów.

Jakby gorączka jakaś owładnęła starym Jakszą, bo choć go podtrzymywać było potrzeba i widocznie słabł ze znużenia, ledwie koniom dając wypoczynku pospieszał nie tracąc chwili.

Znał on porywczosć króla, który co raz postanowił, nigdy z wykonaniem nie zwlekał. Słowo u niego czynem było. Więc, choć czasu się zdało dosyć, nimby sprawa rozsądzoną została, niecierpliwy spieszył a pędził. Czuł też może, azali mu życia stanie na dokonanie, co postanowił.

Drugiego dnia już mu tchu braknąć zaczynało, bo i wiatr był ostry a zimnem smagający, i drogi ciężkie, pozawiewane, a koń stary często na nogi szwankował.

Na noc nie dając się powstrzymać dla spoczynku, gdy konie zjadły, sadzać się kazał na wierzchowca i ciągnął dalej, lecz nad ranem siły coraz wątłejące nie starczyły już. Musiano go przy pierwszej

chacie nad drogą znieść z siodła na rękę i w izbie położyć, aby się pokrzepił. Stary płakał niemal, że dalej jechać nie mógł, lecz padał z konia, choć go syn i ludzie trzymali.

Chałupa nędzna była i uboga, więc go w pośrodku, dlań usławszy łoże, przy ognisku położono. Tu zaledwie ległszy poczuł sam zaraz, że mu ostatnia nadeszła godzina. Chciał się orzeźwić jakimś napojem, dano mu wodę i wino, które syn zabrał z sobą, ale już to nie pomogło.

Życie, którego niewiele w nim było, nagle się wyczerpało, gasnął w oczach, powieki mu zapadały jak do snu. Syn przy nim przykląkł płacząc, starając się uspokoić, dopraszając, aby spokojnie usnął i snem się pokrzepił. Jemu chwilami niepokojem i boleścią pałały oczy, czuł już, a wiedział, że na drodze, na rozdrożu, nie doścignąwszy celu, marnie zemrzeć przyjdzie.

— Miklasz — ozwał się głosem osłabłym — Miklasz, zaklinam cię na

wszystko, co święte, co najdroższe, na krzyż Pański, na miłość, jakąście mieli dla mnie, uczyńcie, proszę, co każę, czego żądam.

Syn na znak posłuszeństwa rękę przyłożył do piersi.

— Mnie tu umierać przyszło — mówił głosem gasnącym stary — od doli i przeznaczenia nie uwolni się nikt. Jak skoro umrę, Miklasz, wsadźcie mnie na mojego konia, przywiążecie do niego, trzymać będziecie, bym nie padł...i pojedziecie ze mną, z trupem do Poznania, przed króla... Powieście mu, jako nie mogąc żywy przybywam umarły, prosić za rodem moim. Nie zlitowałby się żywemu może, nieboszczykowi się umiłuje... Rozumiesz to?

Miklasz zmilczał przerażony.

— Rozumiesz — powtórzył stary — tak ma być! Tak ja chcę! Niechaj mnie Bolesław zobaczy. Służyłem mu wiernie, krew lałem dla niego. Jeśli litości nie będzie miał, niech nas Bóg sędzi...

Zabrakło staremu tchu i siły, głowę zwiesiwszy na piersi konać zaczął.

Oddech stał się zrazu przyspieszony, potem wolniał coraz, synowi rękę wyciągnął i trzymał go przy sobie, a dłoń mu stygła i twardniała.

Nie upłynęło ćwierć godziny, a stary Jaksa szepnąwszy jeszcze po cichu: -

Dziadów z domu nie pędźcie... — skonał i skostniał.

Miklasz klęczał przy nim osłupiały z żalu, wśród ludzi, którzy zbiegłszy się do swojego starego pana zawadzili żale. Nierychło wspomniał na swą przysięgę, nie pozostawało mu nic, tylko spełnić co rychlej przykazanie rodzica.

Dziwne to było i straszne widowisko, tego umarłego starca, zbladłego, ze zwisłą głową, podtrzymywanego przez dwu obok jadących ludzi, oglądać po śmierci jeszcze zdążającego na spełnienie obowiązku. Stawali ludzie po drodze przypatrując się dziwowi temu, nie umiając go sobie wytłumaczyć.

Podróż, mimo nakazanego pośpiechu, szybko być nie mogła. Opóźniał ją ów trup chwiejący się i opadający, przy którym ludzie się ciągle mieniać musieli.

Tak w końcu zbliżyli się już do królewskiego grodu, gdy na gościńcu ten sam Drogosz, którego król po Jaksów posyłał, wyprawiony gdzieś znów przez niego, spotkał się z żałobnym pochodem. Był on też Miklaszowi z wyprawy ruskiej dobrze znanym i przyjaznym. Zrazu osłupiał na widok jadącego nieboszczyka, ale wnet mu Jaksza wytłumaczył, jakie od ojca otrzymał przykazanie. A że właśnie w tym miejscu, gdzie się spotkali, znużonym koniom popaść było potrzeba i szopa się z gospodą trafiła, w której mogli ognia rozpalić i ogrzać się nieco, weszli do niej razem. Pierwszym było słowem Miklasza spytać, co się działo ze stryjecznymi.

Drogosz ciężko westchnąwszy zamilczał, znać było, że nic do powiedzenia nie miał.

— Gdybyście nie wiem jak spieszyli — rzekł w końcu — nie wiem i nie ręczę, azali na czas dla ocalenia ich traficie. Gdym ich obu na gród przywiózł, król na oczy ich widzieć nawet nie chcąc natychmiast do ciemnicy wrzucić kazał.

Dowiedziała się królowa, pani miłościwa a pobożna — mówił dalej — królowa, której każda kropla krwi przelanej drugie tyle łez kosztuje, święta i dobra pani nasza, pośpieszyła więc do króla. Myśmy wszyscy o to prosili, boć żal srogi takich dwu rycerzy postradać niż jednego tam jakiegoś zadławionego Greka. Prosiła królowa na kolanach i błagali inni, pono nadaremnie. Tymczasem mnie król wysłał

precz. Nie wiem, co się stało. Gdym na konia siadał, kapelana król swojego wyprawiał do nich aby spowiedź uczynili, katowi się kazano sposobić do więzienia.

Król jak mówiono, sfolgował pono o tyle, że nie publicznie miał ich dać ściąć, ale w lochu. Przecież! Bóg wielki! Nie wiem..Królowej łzy wiele mogą, cud się mógł

stać. Jedźcie, proście, niechaj nieboszczyk stanie przed nim w imię służb swych go błagając. Jeżeli czas, jeżeli czas! - westchnął Drogosz stary.

Miklasz więc i spieszyć postanowił, ale koniom znużonym tak, że się

zaledwie wlokły, dać trzeba było chwilę odpoczynku. Drogosz też swoim wydychać dawał.

— Straszny gniew naszego pana — mówił stary pancernik. — Widziałem ja go nie raz na wojnie, gdy nieprzyjaciel rozjątrzył, bez opamiętania lecącego na tłumy, ale straszniejszy jeszcze we dworze, pod dachem, wśród pokoju, gdy mu niesforność jaką albo gwałt krew poburzy. Królowa dobrocią swą wiele może, pohamuje czasem i wymodli, przecie teraz nie wiem, czy i ona, i wy z nieboszczykiem potraficie go złagodzić. Rozżarł się okrutnie, może nie o kupca tego, więcej o to, iż rycerstwu całemu zakałę zrobili. A i kupiec też człek był

zaczny. Gdy wieść pójdzie o śmierci jego, odstręczy i odpędzi od nas innych obcych ludzi.

Gdym z Jaksami waszymi przybył, mówił ciągle Drogosz, a szedłem się

miłościwemu oznajmić, spostrzegłszy mnie, jak jest ciężki, z siedzenia wnet porwał

się biegnąc prawie. — Są te łotry? — zawołał. — Przywiozłem ich — odezwałem się. — Rzuć spętanych do lochu! — krzyknął, sądu nie ma, jeno stryczek i miecz!

— Ośmieliłem się skłonić. — Miłościwy panie — rzekłem młodzi są, krewcy, namowa zła... — Milcz! — zawołał — Milcz. Przykładu trzeba lub nikt się do nas jechać nie waży. Rodu są znacznego, więc im się śni że wszystko dlatego wolno.

Zasię! Jak dwu im głowy z karku spadną, stu się ulęknie i strzyma. Idź, ani słowa, do ciemnicy. Nie wiem, co królowej rzekł. Mieli wstawić się duchowni, mieli prosić za nimi powinowaci, Lisowie i Pobogi, i inni, ano, wola króla żelazna. Nie zna on pohamowania w gniewie, a gniewem pałał strasznym.

Znał sam Miklasz króla, widział go nieraz na polu bitwy, gdy pamięć tracił

tak, że go nic pohamować nie mogło, niewielką też i on miał nadzieję. Musiał

jednak dopełnić przykazania rodzicielskiego. Rozstali się więc ze starym Drogoszem i pochód z nieboszczykiem rozpoczął się na nowo.

Zbliżając się do Poznania i grodu, gdzie coraz więcej ludu uwijało się w pobliżu, ledwie się mogli przebić przez gromady ciekawych, których to straszne zwabiało Widowisko zmarłego starca wiezionego na koniu, którego na rękach niemal ludzie dźwigali, za nim jadącego syna z głową odkrytą i całej tej drużyny, wlokącej się jakby ze wstydem, upokorzeniem i trwogą.

Kupy ludu poczynały się cisnąć około nich coraz tłumniej, tak że gdy do wrót zamku przybyli, rozpędzać je musiano.

Miklasz tu naprzód wystąpił, ciało wyprzedzając. Za nim wieziono ojca, którego zbladły i posiniały trup ledwie kilku ludzi w mierze utrzymać mogło.

Pieszcy pacholek konia w ręku powoli prowadził.

Poznań już w ostatnich latach Mieszkowych rządów, potem za syna jego, urósł był na znaczne miasto. Sam też zamek, który niegdy cesarz Otto III jako sprzymierzeniec króla i druh jego odwiedził, skąd pieszo po suknie wysłanej drodze boso szedł do Gniezna, do grobu męczennika Wojciecha — zamek od czasów Mieszkowych wzmógł się i rozrósł, a królewsko wyglądał. Obok dawnych dworów drewnianych kazał w nim Bolesław murowane *palatium* wystawić dla siebie, takie niemal, jakie cesarze mieli w Dziewinie i Merseburgu.

Tuż na gruzach dawnej pogańskiej kontyny kościół katedralny, pierwsza w Polsce z gnieźnieńską stolica biskupia wznosiła się z kamienia ciosowego zbudowana. W pośrodku niej, naprzeciw wielkiego ołtarza, spoczęły już zwłoki ojca Bolesławowego, Mieszka, i on też sam zawczasu tu dla siebie grób sposobić kazał, chcąc leżeć obok rodzica. Dubrawka, matka Bolesławowa, w katedrze gnieźnieńskiej, którą wzniosła, spoczywać chciała.

Zmieniło się tu wiele od skromnych owych pierwszych czasów, gdy

rzemieślników brakło i starymi się domowymi sprzętami obchodzono. Owe sta pancerników Mieszka urosły teraz na tysiące, skromna gromadka dworzan pańskich w rój ogromny wspaniałego dworu się rozmogła. Każdy poczet wojsk królewskich zbroją teraz osobliwą, orężem i barwą sukni szczególną się odznaczał.

Ani cesarskiej Straży zbrojnej Bolesławowska nie ustępowała.

Wojennego pana, który większą część żywota spędził w polu i na koniu, od Moraw do Bałtyku, odzyskując i zawojowując ziemie, aby ze słowiańskich plemion wielu, jedno wielkie stworzyć państwo (czego ojciec pragnąc dokonać nie mógł), wojennego pana dwór też cały był rycerski, zamek żołnierzem się roił, roił

duchowienstwem, posłami ze wszech krajów i nieustannym gości napływem.

Z Rusi, Moraw, Czech, Chrobacji, Węgier, od pogańskich jeszcze plemion słowiańskich nieustannie szli tu jedni prosić, drudzy przepraszać, kłaniać się, dary nieść, łaski jednać.

Gromadnie, ludno, gwarnie było na zamku wielkiego króla, a ci, co

dawniejsze pamiętali czasy, poznać go teraz nie mogli. W tej izbie wielkiej, w której niegdy władcy Polan Mieszko przyjmował, dziś by swych gości codziennych król Bolesław nie posadził i połowy. Dla nieustannego ich natłoku musiano obok zamku wznieść gmach osobny, rozległy, którego izby, na słupach pośrodku sparte, czterdzieści stołów gościnnych, powszednich dni zastawionych, pomieścić mogły. Gromada też podkomorzich, komorników, stolników,

częśników, podczaszych i wszelkich urzędników dworskich czuwała nieustannie, aby królewscy goście po królewsku byli przyjmowani.

Większa część dworu pańskiego, gdy na przyjęcie cesarza Ottona III, gwoli obyczajowi zachodniemu, na sposób włoski i frankoński przebraną została, później też dla cudzoziemców i okazałości większej w stroju tym chodzić musiała. Czeladź

więc i pacholęta, ówczesną modą, strój miała przepołowiony na dwoje, tak że jedna jego strona czerwoną barwą, druga żółtą była i kaftan rękawy miał różne, a przez plecy rozcięty był na poły. Nie ujrzałeś już tam teraz dawnego obuwia sznurowanego, tylko buty i trzewiki, których końce skuwkami lśniącymi były nasadzone, a boki szyte kwiecisto. Co dostojniejsi ze dworu łańcuchami na szyjach się odznaczali, a płaszcze wszystkie złotem lamowane, srebrem naszywane być musiały.

Przepych widać było wszędzie, bo go król lubił i rad na swym dworze

oglądał, aby od innych pośledniejszym nie został. Uzbrojenie też, dawniej proste, wykwinniejszym było u Bolesława i jednostajnym. Jednego żołnierza w jeździe nie miał król, który by cały od stóp do głów pancierzem skórzanym, łuską żelazną naszywaną, nie był okryty. U starszyzny przy takichże hełmach, okutych żelazem, purpurowe i białe powiewały kity. I tarcze też pieszaków świeciły gwoźdźmi i błyszczały blachami, a po znakach ich każdy poczet i ziemię odgadnąć było można.

Zostały dzidy i młoty, a mieczów żelaznych przybyło, leżały ich całe komory, aby ludzi każdego czasu tysiące można uzbroić.

Niejeden też na grodzie mieścił się dwór królewski, miała swój oddzielny królowa Emnilda, owa święta pani, córka Dobromira, którą już trzecią król zaślubił, a nad wszystkie swe szanował i kochał. Często też Mieszko, syn Bolesławów, i młodszy Dobromir a starszy od nich Bezprym, z królowej Węgierki narodzony, i córki pańskie tu przebywały, a żona Mieszkowa, siostrzenica cesarska Ryksa i wielu książąt sprzymierzonych i pokrewnych, tak że coraz obszerniejsze gmachy zamkowe czasem ich ledwie mogły pomieścić, niekiedy nie mieściły. W

podwórcach, jak na targu w uroczyste dni, w dzień i nocą przebić się było trudno przez tłumy. Musiano też część dziedzińca sznurami odgradzać, aby codziennym turniejom i zabawom rycerskim, jakie pod okiem pańskim dla rozrywki się jego odbywały, plac zostawić swobodny.

W chwili gdy Miklasz Jaksza za sobą prowadząc ciało ojca wjeżdżał w bramę zamkową i oczy wszystkich się nań zwracały, komornicy królewscy postrzegłszy wiezionego trupa, z którym w podwórzec wprost jechali, ulękli się wielce. Nie śmieli powstrzymać, ale wnet oznajmiono starszemu nad dworem, którym był

Sieciech, aby króla uprzedził lub rozporządził, co należało. Wybiegł więc zaraz Sieciech, ów pan poważny w czarnej sukni dostatniej, z łańcuchem na szyi, w kołpaku sobolim, z laską kutą w rękę, aby się sam dowiedział, co by to oznaczać miało, i pochód, już ku drzwiom murowanego gmachu dążący, zatrzymał.

Musiał się Miklasz tłumaczyć, w jakim od umarłego jechał poselstwie.

Przykazawszy mu stanąć, Sieciech pośpieszył do króla, który z ulubionym sobie opatem tynieckim, Aronem, na osobności się zabawiał. Przeszedłszy komnat kilka Sieciech u drzwi pańskich oznajmił się kaszlem i lekkim laski o ziemię uderzeniem.

Król w sypialni swej odpoczywał. Ogromny ogień pałał w kominie :

kapturem, przed nim Bolesław w krześle poduszką nakrytym siedział.

Był już naówczas wielki podbojca i wojak niezmordowany nieco wiekiem ociężałym. Ciemny, bujny włos kędzierzawy okrywający mu głowę siwizna gdzieś srebrzyła, odkryło się wspaniałe czoło, które troski poryły. Twarz pełną, ogorzałą, rumianą dwoje oczów ciemnych zdawało się niemal całą wypełniać, tak wzrok ich gasił i ścierał, co się na niej innymi wyrażało rysy. Ust niewiele widać było pod wąsami i brodą, wybijała szeroko. Piers wydatna, rozłożyste ramiona, przygarbione nieco, całe ciało bujne i silnie rozrosłe uczyniły żeń olbrzymia, gdyby wzrost odpowiadał ich rozmiarom. Otyłość przysła z wiekiem i ciężarem swym nużyła starego bohatera.

Kozuch soboli, jedwabiem pokryty, stanowił ubiór cały. Spod niego widać tylko było bieliznę cienką i miękkie na nogach buty, futrem bramowane.

Obok krzesła królewskiego stał mężczyzna w czarnej sukni długiej, wzrostu słusznego, chudy, twarzy bladej, poważnej a myślącej. Włos krótko obcięty, wygolona korona, krzyż złoty na piersiach oznaczały duchownego. W rysach jego czytać było trudno, choć jak zagadka nęciły tajemniczym swym wyrazem. Bystry tylko rozum zdradzał wzrok biegający żywo. Król snadź go słuchał, gdy Sieciech uchyliwszy drzwi z niskim pokłonem do sypialni się wsunął.

Na obliczu pańskim dostrzec było można nieco zniecierpliwienia, ale stary Sieciech, który pana swojego znał dobrze, a wiedział, jak sobie z nim poczynać, bynajmniej się tym nie poruszył, choć brwi groźnie się ściągały i oczy w siebie wlepione zobaczył. Poglądził ręką brodę, nie spiesząc z mową, król ciągle zwrócony doń czekał, jakby pytając wzrokiem: — Cóż mi powiesz? — Lecz milczał ustami. Na twarzy widać było jakby drgania myśli, która po głowie się snuła.

Opat Aron pilno się też wpatrywał w przybyłego, zawiesiwszy przerwane opowiadanie. Sieciech w końcu krok naprzód postąpił powoli, jakby rozmyślał, od czego zacznie.

— Przebacz, miłościwy królu — odezwał się rękę spuszczać ku ziemi —

musiałem wczas miłości twej przerwać wchodząc. W podwórku nieboszczyk domaga się twej łaski i posłuchania.

Król i opat, zdziwieni tą mową, głowy podnieśli, spojrzeli po sobie.

— Tak jest, miłościwy panie — kończył Sieciech spokojnie i powolnie. —

Stary sługa królewski, Janko Jaksa z Niemierzyszcz, jechał prosić łaski i zmiłowania pańskiego, a w drodze umierając trupa swojego synowi tu przywieźć kazał, aby on, u miłości pańskiej, o przebaczenie błagał dla synowców... Syn z ojca zwłokami stoi przed drzwiami, ludzi gromady się kupią.

Na twarzy króla, który słuchając brwi strasznie ściągnął, odmalował się gniew okrutny; oczy poczęły ciskać pioruny, rękę ścisnął i uderzył nią w poręcz siedzenia, lecz słowa zrazu nie rzekł, poglądając na opata. Opat Aron stał niemy nie okazując po sobie, ani co czuł, ani co myślał. Sieciech z głową spuszczoną na odpowiedź czekał.

— Syna mi tu prowadź! — zawołał Bolesław nie wstając.

Sieciech pokłonił się na znak posłuszeństwa i natychmiast odszedł.

Król i opat patrzali na siebie. Bolesław zdawał się wyzywać zdania

duchownego, ksiądz czekał na to, co król powie. Trwało długo milczenie, w ognisku tylko płomień syczało i iskry z niego pryskały.

Tymczasem kroki idących słyszeć się dały. Błady Miklasz Jaksa stał w progu chwilę, a potem się na kolana rzucił przed królem.

— Miłościwy panie! — począł.

—Wiem wszystko — przerwał rękę ciągle ściśniętą podnosząc król — wiem wszystko. Stary Janko z grobu przychodzi prosić za krwią swoją, ale ja...

przysięgłem, że nie przebaczę. Każę poczesny pogrzeb sprawić sławnemu rycerzowi, a ich głowy jutro rano spaść muszą... i spadną!

Usłyszawszy ten wyrok Miklasz wstał powoli. Zdało się, że duma starego Jaksów rodu już mu do dalszego błagania usta zamknęła. Nie rzekł nic, nie prosił

więcej.

Król głowę opuścił na piersi i ręką dał znak. Miklasz nie uchyliwszy nawet czoła wolnym krokiem wyszedł z sypialni. Za nim wzrok królewski pociągnął i gdy zasłona zapadła, długo się na niej zatrzymał. Słysząc było ciche, niepewne odchodzące kroki, które coraz się oddalały... W komynie plemię syczało i iskry z niego pryskały.

Z założonymi na piersi rękami opat stał oczy w ziemię wlepiwszy. Trwało milczenie grobowe, przykre, którego ani król ani duchowny przerwać nie śmiał, chwilę jak wiek długie. Z podworców niby koni tętent głuchy i gwar jakiś stłumiony dochodził, a potem cisza zaległa gród i ognisko tylko mówiło coś samo niezrozumiałym językiem.

Rozdział 3.

Chociaż na dworze zmierzchało, niezwykajny widok około siedzącego na koniu trupa Starca coraz liczniejsze gromadził tłumy. Przed wszystkimi drzwiami dworców, po przedsieniach stały niewiasty załamując dłonie, pokrzykując ze strachu i podziwu. Pachołkowie i rycerstwo się cisnęło, aby starego Janka zobaczyć raz jeszcze.

We wszystkich sercach litość się budziła. Niecierpliwie oczekiwano

królewskiego słowa, a choć znano nieugiętą jego wolę, choć już prośby królowej były nadaremne, spodziewano się jeszcze, że ten jęk zza grobu do serca pańskiego przemówi i zmiękczy je.

Gdy z głową na piersi zwieszoną wyszedł wreszcie Miklasz i ukazał się w przedsieni pogrążony w smutku, z rozpaczą na twarzy, domyślili się wszyscy, iż i trup nie mógł nic. Szmer jakiś smętny, bolesny przebiegł z ust do ust, niewiasty sobie oczy poskrywały, mężczyźni nie śmiejąc nic rzec z posępными twarzami oddalać się zaczęli. Miklasz namyślać się zdawał, wreszcie, choć go wielu towarzyszków stojąc mu na drodze zaczepiało słowy i oczyma, milczący poszedł do konia, siadł nań i ludziom znak dał, aby za nim nazad jechali.

Już siedząc nawracał, gdy z dworca królewskiego wyszedł opat Aron, przed którym co żyło usuwać się, kłaniać nisko poczęło. Niektórzy biegli, cisnęli się i przyklękając w rękę go całowali. Widać było, jak bardzo szanowano królewskiego ulubieńca.

Żywym krokiem podszedł opat ku Miklaszowi.

— Stój — rzekł. — Miłościwy pan a król nasz dla winnych tylko jest

surowym, łaskiście nie utracili. Pogrzeb ojca waszego kazano na zamkowym odbyć kościele. Jedźcie wprost do tumu.

Miklasz słuchał milczący.

— Ojcie mój — rzekł, to uczynię ze zwłokami rodzica mego i pana, co by on sam żyw uczynił, gdyby mu król dla rodu jego miłosierdzia odmówił. Powiozę je stąd. powiozę do pierwszego cmentarza i złożę w pierwszym kościele, jaki na drodze znajdę. Zhańbiona rodzina nasza, co łaski pańskiej nie była godną, ni umarła; ni żywa progu już zamku tego nie przestąpi. Taka była zmarłego wola.

Surowym wzrokiem zmierzył opat mówiącego i długo się weń wpatrywał.

Nie sprzeciwił się, aby bólu nie jątrzyć.

— Miklaszu Jakso — rzekł po cichu, czyńcie, jako chcecie, ale rozważcie dobrze, co czynicie, komu wydajecie wojnę — A głos zniżając dodał:

— Ja z wami dziś jeszcze widzieć się potrzebuję dla dobra waszego.

Młodzieniec skłonił tylko głowę i pochód żałobny, na dany przezeń znak, ruszył z grodu powoli, a opat oglądając się, krokiem ociężałym odszedł ku tumowi.

W podwórzu zostały tylko cicho gwarzące kupki ludzi, oczyma wiodące za Jaksami, poczynając się zwolna rozpraszać i rozchodzić w różne strony, jakby przybite żalem i trwogą.

Od przywiezienia na gród dwu braci poruszenie tu było wielkie. Mieli oni mnogich przyjaciół, a niejednen z dawnych towarzyszków w wyprawach, który miał

może na sumieniu daleko więcej niż to, za co oni głowami płacili, czuł się niespokojnym. Dawno już króla Bolesława nie widziano tak gniewnym, tak zapalczywym, tak strasznym. Takim tylko bywał niegdy, na placu boju, gdy dwa wojska stojąc po dwóch rzeki brzegach Wzajem się łajac Wyzywały do póty, dopóki gniewu krwią nie ugasił.

Królowa Emmilda zawsze biorąca nieszczęśliwych stronę i tym razem

chodziła paść do nóg męża, aby życie skazanych uprosić. Bolesław słuchać nie chciał jej nawet, z groźbą i fukiem odprawił.

Dano zaledwie czas osądzonym do następnego ranka, aby się na śmierć

przygotowali przykładnie; zdawało się już, że żadnej nie było nadziei i nic ich uratować nie może.

Na dworze królowej smutek stąd i żal był wielki. Emmilda siedziała z rękami na kolanach złożonymi, zamyślona, zapłakana. Pani to była nie pierwszej już młodości, lecz jeszcze postawy i lica, które dawniejszego szlachetnego wdzięku zachowało ślady wyraźne. Rysy regularne i czyste nie zmieniły się, głębiej tylko zapadły oczy, kilka zmarszczek je otaczało, a dokoła ust uśmiechy i płacze wyłobiły drogi, którymi na przemian chodziły. Wiek na ślicznej jej twarzy rozlał

pokój chrześcijański, rezygnację pobożną i smutek łagodny, jaki przystał

człowiekowi na tym płaczu padole. Były one nowym wdziękiem i urokiem, który młodość zastępował.

Pobożna pani sama siedziała u gasnącego ognia, krosna jej i robota,

porzucone w nieładzie, świadczyły, że niedawno od nich odeszła. Dwie służebne przez drzwi zasłonię z drugiej komnaty zaglądały po cichu, nie dając znać o sobie najmniejszym szelestem i nie przerywając spoczynku.

Izba królowej, której ściany całe zawieszane były obiciami przez nią szytymi, pełną stała oznak i godeł pobożnych. Krzyże na wszystkich stołach u ścian widać było, kropielnica brązowa wisiała u drzwi. Królowa ocierając łzy długo by tak w myślach zatopiona pozostała na siedzeniu w nieruchomym odrętwieniu, gdyby w tej chwili zza zasłony stłumiony płacz nie dał się słyszeć. Głos ten poruszył ją i przestraszył, tak że nagle się zerwawszy pobiegła do drugiej izby, w której już znowu cicho było. Odsłoniwszy oponę, ciekawymi oczyma poczęła się po niej rozglądać.

Druga komnata przytykająca do tej, w której królowa Emnilda przy pracy dnie spędzała, mieściła zwykle gotową na rozkazy służbę jej niewieścią. I teraz też nie było tu nikogo, krom trzech młodych dziewcząt, z których dwie cucily trzecią, na poły omdlałą na ławie u ściany. Ujrawszy królowę wchodzącą, zapłakana z trudnością podnieść się usiłowała, dwie jej towarzyszki stały pomieszane i milczące. Królowa zdawała się nie pojmować, co tu pod jej boki stać się mogło.

Szła ku osłabłej, gdy ta nagle składając ręce i podnosząc je do góry padła przed nią na kolana.

Błagająca ta, rozłzawiona dziewczica była młodą i bardzo piękną. Szafirowe jej oczy, ciemne włosy i śnieżna płeć, smukła i gibka postawa czyniły ją zarazem poważną i wdzięczną. Ubrana ciemno, z długimi warkoczami spadającymi na ramiona, piękniej i kosztowniej przystrojona była niż jej towarzyszki i zdawała się też wyższego nad nie pochodzenia. Złote sprzązki, łańcuchy, iglice, naszyjniki odbijały świetnie od ciemnego stroju i włosów.

Była to jedynaczka córka ochmistrza królewskiego, Sieciecha, Teodora, wychowana od dziecka na pańskim dworze, a Emnildzie jak własna córka ulubiona. Królowa też przyczyny tych łez i rozpacz pojąć nie mogła, bo pieszczone dziewczę nigdy się skarżyć na nikogo nie miało powodu. Kochali je wszyscy. Teodora zachodząc się od płaczu padła na ziemię i poczęła obejmować stopy królowej.

— Ocal go, miłościwa pani! ocal go, albo i mnie niech razem z nim stracą!

— zawołała łkając.

Zarumieniona Emnilda usłyszawszy to, skinęła na towarzyszki Teodory, aby wyszły, i zwolna podnosząc ją z ziemi spytała łagodnie.

— O kim mówisz — dziecko moje — ja cię nie rozumiem.

Łzy nierychło się jej wytłumaczyły dały, żal też i srom utrudniał wyznanie. Z

rozmowy i słów urywanych dorozumiała się królowa, że od dwóch już lat pomiędzy piękną córką Sieciecha a Jurgą Jaksą w czasie świąt, obchodzonych na grodzie, zawiązał się miłosny stosunek.

Jurga był tak pięknym młodzieńcem jak Teodora śliczną dziewczką,

charaktery obojga podobne, wesołe myśli, serca gorące zbliżyły je ku sobie. Jurga, ile razy bywał w Poznaniu, acz się na dworze nie pokazywał, zawsze znalazł

sposób zbliżenia się i widzenia Sieciechówny choć z daleka. Po cichu zapowiedział

jej już swaty. Później nieopatrzność młodzieńcza, nieszczęsna ruina i zubożenie wstrzymały je; na dworze już o wszystkim wiedziano. Dziewczę gotowe było iść choć za ubogiego, lecz byłżeby ją dał ojciec? Jurga więc czekał wojny, łupów, poprawy w domu, lepszego czasu — i Teodora czekała. Nagle dowiedziała się, gdy sobie śniąc o przyszłości obiecywała szczęście, że Jurga został na śmierć skazany.

Rozpacz ją ogarnęła. Zabyła wstydu niewieściego i do królowej pobiegła jak do matki.

— Dziecko moje — odezwała się wysłuchawszy Emnilda — nim

wiedziałam o tym, że Jurga bohdanem był twoim, chodziłam upaść do nóg króla, płacząc prosiłam go za nimi, ale nie pomogło nic.

— Miłościwa pani, matko moja! — krzyknęła Teodora ręce załamując nad głową, jeżeli on zginie, ślijcie mnie do Dziewina, do Rieseburga, gdzie chcecie, pozwólcie zamknąć się w klasztorze. Już ja świata znać nie chcę i żyć nie mogę, jeśli go nie ocalę.

— Bóg tylko jeden ocalić go może! — odparła Emnilda i łzy popłynęły z jej oczów. Uspokój się, dziecię moje, dodała, uczynimy jeszcze, co jest w ludzkiej mocy.

Dziewczęta służebne, którym odejść kazano, musiały pewnie, przestraszone rozpaczą Sieciechówny, pobiec dać znać jej ojcu i w chwili, gdy królowa wychodzić miała, Sieciech stary zjawił się w progu, uchylając oponę. Ujrzawszy córkę zapłakaną, dziecię jedyne, z rękami podniesionymi rzucił się ku niej przestraszony; klęczała jeszcze na ziemi. Teodora, której niebezpieczeństwo dodawało odwagi przed ojcem, ujrzawszy go na twarz upadła.

— Ojczy mój rodzony! — zawołała nie tłumacząc mu się jawnie, ty masz łaskę u króla, starym jesteś jego sługą, ty wyproś, ty wybaw go od śmierci!

Zdumiony ojciec, dla którego dotąd wszystko było tajemnicą, obrócił się do królowej. Z jej ust dopiero usłyszał, o kogo Teodora prosiła, spuścił głowę siwą i stanął jak skamieniały.

— U króla! U króla wyprosić łaskę, gdy poprzysiągł! — szepnął głosem złamanym — tego nawet pani nasza ani opat Aron, ani Święty nasz męczennik, Wojciech, gdyby z grobu wstał, nie po trafiłby pewnie. Cóż ja? Gdy spadną ich głowy, a gniew się pański uśmierzy, gdy król ochłonie, zaprawdę posłyszemy może, jak to już nieraz bywało, żal i ból po czasie. Aliści one nie wskrzeszą.

Teodora ciągle na ziemi leżąc, twarz sobie zakrywszy rękami, zanosiła się od łez i łkania, jęki jej stokroć wymowniejsze były niż słowa. Zadumał się Sieciech, królowa tulić i pocieszać ją zaczęła, lecz wszyscy z nią razem płakali. Trwało to dość długo, gdy dziewczę, które się zdało bezmyślne i z bólu zdrętwiałe, zerwało się nagle, oczy jej zaczerwienione, ale oschłe z łez błyszcząły ogniem jakimś i męstwem wielkim, chwyciła za rękę królowę i namiętnie całować ją zaczęła.

— Pani moja miłościwa! Słyszeliście, co mówił ojciec, on króla zna, król sam straconych będzie żałować. Odważ się pani. Ocalmy ich mimo wiedzy króla, dla niego samego ocalmy ich!

Rzuciła się znowu na kolana.

— Wiem, słyszałam — mówiła — że ich w więzieniu tracić mają. Nikt wiedzieć nie będzie. Ty rozkazać możesz, niech kat rękę powstrzyma, niechaj zostaną w ukryciu, w więzieniu, aż się gniew pański uśmierzy. Nikt ciebie, pani, nie zdradzi, bo cię miłują wszyscy, król nie spyta.

Gdy śmiałe dziewczę gorączkowo wymawiało te słowa, Sieciech i królowa zamilkli strwożeni na samą myśl nieposłuszeństwa temu, który cienia jego nie znosił, którego gniew był jak piorun bijący choćby w kościoły.

Emnilda milczała długo.

— Dziecię szalone — rzekła powoli — wieszże ty, czego śmiesz żądać ode mnie? Przy starym Sieciechu wszystko powiedzieć mogę. Dałam dwóch synów królowi, nie sprzeciwiałam się nigdy żadnej woli jego, jak niewolnica byłam mu posłuszną ale i dla mnie z latami serce jego ostygło, nie jestem już dla niego ukochaną i jedyną. Szanuje mnie, ale powabniejszych twarzy szuka. Gdybym stała mu się nieposłuszną, rad by się może był mnie pozbyć, jak się zbył matki Bezpryma i córki Rygdaga co ją poprzedziła. Na siebie bym wyrok wydała i na sumienie jego.

Spuszczając oczy smutnie wyrazów tych dokończyła królowa i stali wszyscy niemi. Sieciech dumął, boleść córki kazała mu szukać ratunku, gdzie już żadnego nie było.

— Miłościwa pani — odezwał się — próżne są obawy wasze, krewkim jest nasz pan, ale serce dla was zawsze i poszanowanie. Któż wie, azaliby wdzięcznym nie był, żebyś go od własnego gniewu uratowała?

Zamyśliła się trwożliwie królowa.

— Któż wie? kto wie? — powtórzyła cicho. — Życie dwóch ludzi, którzy za grzechy swe odpokutować czas będą mieli, czy nie więcej warto niż mojego szczęścia ostatek? Mieszko i Dobromir już matki nie potrzebują. U dworu młoda Ryksa mnie zastąpi, synowa.

Znowu łzy z oczu się potoczyły.

Ta isierka jakiejś nadziei w szal wprawiła Teodorę, przyczołgała się do nóg królowej i ścisnąć a całować je poczęła. Sieciech stał niemy, nie śmiejąc ani namawiać już, ani rzec słowa za nimi.

Emnilda zbliżyła się doń i szepnęła:

— Proście do mnie ojca Arona, a ty — zwróciła się do córki Sieciechowej

— odejdz stąd, uklęknij i módl się. Wszystko jest w Bożej mocy ale Bożej woli nigdy się sprzeciwiać nie godzi. Idź, dziecko moje, w pokoju.

To mówiąc wróciła królowa do pierwszej komnaty i wprost do klęcznika swego doszedłszy padła na kolana poczynając się modlić gorąco.

Długi dość czas upłynął, nim powołany opat oznajmił przyjście swoje, wpuszczono go natychmiast do królowej.

— Ojczy mój! — rzekła przystępując doń drżąca, rady twojej proszę.

Radźcie nie jako królowej, ale jako ubożuchnej chrześcijańskiej niewieście. Godzi się dla ocalenia żywota ludzkiego kłamstwo popełnić?

Zdumiony opat stał chwilę milczący zdawał się chcieć odgadnąć myśl i zastosowanie, jakie odpowiedzi jego nadanym być miało.

— Miłościwa pani — rzekł po namyśle. — Ojcowie Kościoła nawet są w tym względzie różnego zdania. Sumieniu spowiednika, rozumowi kapłana zostawia Kościół ocenienie czynu. Bóg waży tajemne myśli człowiecze, ludzie sądzą postęпки.

Emnilda wpatrzyła się w opata, który stał nieruchomy.

— Wyznam ci jak na spowiedzi — rzekła. — Kuszoną jestem, abym dla

ocalenia żywota dwóch porywczoby przez króla skazanych młodzieńców kłamstwo popełniła i ludzi do popełnienia go skłoniła. Wy wiecie, ojczy, o kogo chodzi! Są to dzieci znacznej rodziny, która króla odstąpi i gniewną nań pozostanie albo się z całym mieniem z kraju wyniesie srom unosząc z sobą. Król sam później pożałować może, iż na śmierć ich skazał. Mamli ja ważyć niełaskę mojego pana, wziąć grzech na sumienie, ażeby spełnić miłosierny uczynek?

Zimne i nieporuszone oblicze opata przebiegło jakby drgnienie jakieś niedostrzeżone; widocznie tknięty był tak wielką królowej ofiarą, tak serdeczną i piękną. Patrzył na nią ze zdumieniem, poszanowaniem i z niedowierzaniem razem.

— Wiem ja, co czynię — dodała Emnilda. — Wiem, że moja zwiędła twarz naprzykrzyła się już może panu mojemu, że nieposłuszną może mnie wygnąć sprzed oczów swoich. Jedyne szczęście moje dzieci, i je postradać mogę, ale nie nakazałże Chrystus, Pan nasz i Zbawiciel, ofiary czynić z siebie, tak jak On sam za nas się stał ofiarą?

Opat słuchał zdumiony powoli głowę począł uchylać przed królową, ręce na piersiach założył, cofnął się krok.

— Nie grzech popełnisz, miłościwa pani — rzekł — ale zasługę mieć

będziesz u Boga. Sumienie twe mocą kapłańską rozwiązuję. Lecz... choć królowej naszej, choć pani, choć żonie wielkiego Bolesława, znajdziez się człowiek tak śmiały a tak pobożny, co by chciał być posłusznym? Ważysz, miłość wasza, wiele, ano ten, co cię posłucha wbrew rozkazowi pańskiemu, więcej jeszcze ważyć musi głowę i życie.

Nim domówił tych słów opat, na twarzy królowej radość zabłysła.

— Ojcze — zawołała — to sprawa moja, ja sama odpowiem za wszystkich, ja jedna będę winną.

To mówiąc zdjęła z palca pierścień kosztowny.

— Na pamiątkę dnia tego — rzekła — przyjmijcie mały ten dar ode mnie.

Daliście mi męstwo, przynieśliście uspokojenie Bóg niech wam zapłaci.

Zawahał się opat dar przyjmując, lecz zmusiła go Emnilda, aby nie odmawiał.

— O tajemnicę was nie proszę — dodała, w końcu od niej ich życie zależy i moje! Czas upływa...

Opat odchodził zamyślony, gdy królowa Emnilda znikła już z komnaty,

szelest tylko jej sukni obróciwszy się usłyszał i drżącą zobaczył we drzwiach oponę.

Noc była nadeszła. Na zamku cisza panowała.

Więzienie, do którego rzucono dwóch Jaksów, opodal od dworców

znajdowało się do wałów przyparte. Były to ciemnice na pół w samym usypie ziemnym skryte, z ogromnych balów sosnowych wybudowane. Ciężkie wrota okute a w nich mniejsza furta zaryglowana silnie nie wiodły do izb dla więźniów przeznaczonych. Wzdłuż od strony wnętrza zamku ciągnęła się długa, wąska szyja, poprzecinana gdzieniegdzie małymi okienkami, w które zaledwie ręka by precisnąć się mogła. Z tej szyi kilkanaście drzwi, drągami pozasuwanymi, prowadziły do ciemnych izb wilgotnych, w których zamknięci byli więźniowie na śmierć lub dożywotnią skazani niewolę, na długie lata powolnego konania.

Srogi obyczaj owych czasów, potrzeba surowości dla ludzi na pół dzikich, okrucieństwo, które po sobie wojny i pogaństwo zostawiło zmuszały do takiego nielitośnego obchodzenia się z winowajcami.

W jednej z tych izb, niegdyś, przed laty, z rozkazu Bolesława oślepieno Odyłona i Prybuwoja, tu czas jakiś oślepiony także męczył się Bolesław Rudy, niegdyś królik czeski; tu wielu innych, których imiona zapomniane zostały, dokonali żywota albo po długiej męczarni wypuszczeni na swobodę kryli się gdzieś daleko.

W większych izbach po kilku skazanych siedziało, w mniejszych po

jednemu. Gdy wyrok padł na którego a zamkniętych, kat pod drzwi jego toczył

pieniek krwawy, który zawsze w szyi ciemnicy stał w pogotowiu; pachołkowie wnosili pochodnie i ciężki topór jednym cięciem głowę od kadłuba dzielił. Wór piasku wysypywano na toczącą się krew, wynoszono trupa po cichu, drzwi kaźni zostawiano otworem, aby woń krwi miała czas ulecieć, nim nowego wtrącono do więzienia. Tak się działo naówczas, gdy miłosierdzie królewskie sromu chciało oszczędzić rodzinie lub sobie przykrego widoku. Niekiedy ofiarę wyprowadzano na plac i w oczach tysiąca ludzi czyniono z niej przykład dla drugich.

W jednej z tych izb właśnie, u trzecich drzwi od wnijscia, na garści słomy, w ciemnościach leżeli teraz Jurga i Andruszka. Znosili oni mężnie niedolę swoją, już się nie spodziewając ocalenia.

Dwa razy kapelan królewski przychodził spowiadać ich i do skruchy

nakłaniać. Nie potrzebowali oni namowy jego, dawno wytrzeźwieni z chwilowego szału, biedni młodzieńcy patrzyli mężnie na to, co ich czekało. W tej ostatniej godzinie serca się im otworzyły i oczy. Oba się winnymi czuli, a pocziwa miłość braterska wzmagala się jeszcze. Jurga siebie obwinał, Andruszka jako starszy winę kładł na się, każdy gotów był na śmierć z rozkoszą, gdy by nią mógł brata ocalić.

Leżąc na słomie obok siebie trzymali się za ręce i liczyli chwile pozostałe. Za każdym szelestem w podziemiu zdawało się, że oto krwawy pieniek o drzwi uderzy i oznajmi: na śmierć iść pora.

W więzieniu ciemność panowała bezdenna; żaden najśłabszy promyk do

niego nie wzierał. Cicho też było jak w grobie, najmniejszego szelestu. Straż stała na zewnątrz, w szyi ciągle prawie było pusto.

— Gdyby król nas był dopuścił do siebie — mówił Andruszka — gdyby mi przed sobą mówić pozwolił, pewien jestem, że łaskę bym dla ciebie wyprosił. Tyś młodszy, przy mnie władza była, starszeństwo, jam za dwu sam odpowiadać powinien.

— Andruszko, bracie — zawołał Jurga. — Jakże ty pomyśleć możesz, że ja bym żyć chciał kupiwszy bezkarność krwią twoją. Miłe mi życie, miłe, to pewna.

Kocham Sieciechównę — śmiał mi się w niej świat — a jednak i jej, i jego nie chciałbym bez ciebie.

— Wspomniałeś córkę Sieciecha, możnego ona ma ojca — rzekł starszy —

gdyby ci sprzyjała, ona by przez niego dla ciebie coś potrafiła uczynić.

— Nie — odparł Jurga — czyż króla nie znasz? alboś go to nie widział w boju i pod lipą, gdy sądził? i gdy go wróg rozsierdził? Naówczas on litości nie zna i opamiętania nie ma. A nierychło ochłonie!

— Cicho, nie mów na niego nic — wtrącił starszy.

— Jużci się go teraz więcej bać nie mam potrzeby — porywczo odparł Jurga

— chybaby mnie końmi rozszarpać kazał, a głowę muszę dać, czy tak, czy tak!

—Nie dla strachu to mówię — westchnął Andruszka — ano dlatego, że choć on mi życie bierze, ja go nie winię. Sędzia i król kto wie? W jego miejscu ja bym też może kazał ściąć Andruszkę, a Jurge tylko z żywotem puścił.

Uciszyli się z rozmową, bo koło drzwi coś się skrobać poczęło. Przez szpary zabłysło światelko słabe, odpadł drąg, stróż więzienny, którego, nie wiadomo-dlaczego, zwano Rybą, wsunął się do lochu z pękiem łuczywa w rękę.

Człek był takiego wzrostu, że musiał nieco przygięty stać w izbie

podziemnej, której dyle nisko leżały. Głowę miał krągłą, kudłatą, z oczyma białymi siedzącymi na wierzchu jak u żaby. Na gołe ciało okryty kozuchem, z nogami skórą poobwiązany do kolan, straszny był jak kat, którego też obowiązki niejeden raz i musiał sprawować.

Gdy kogo udusić przykazano, zwykle Ryba się podejmował, w szerokie

żyłaste dłonie ująwszy gardło niewiele czasu potrzebował, by ofiara bez tchu u nóg mu padła. Naówczas patrzył i śmiał się uradowany, że mu to przyszło tak łatwo.

Zwykle chodził jakby senny, powoli, milcząc, oczyma żabimi ofiary swe mordując powoli, nim je ręką tknął jeszcze.

Gdy Ryba wszedł, bracia mimowolnie przycisnęli się do siebie, dłonie ich mocniej się ujęły, serca uderzyły, sądzili, że już po nich przychodzi. Stróż zza siebie wziął przy otwieraniu zostawiony za drzwiami dzbanek i kawał czarnego chleba, którym był pokryty. Nie spiesznie przysunął go do barłogu i ręką czarną wskazał. Andruszka nań popatrywał.

— A co nam po tym — zamruczał — wszak dziś...?

Ryba zmierzył go oczyma i dwa szeregi zębów ogromnych błysnęły zza

warg wypukłych, ramionami ruszył, głową strząsnął, nie odpowiedział nic, odwrócił się tyłem i powlókł do drzwi, które za trzasnąwszy już miał drągiem zawalić, gdy szept u wnijścia jakiś dał się słyszeć, mruczenie, niby krótka jakaś sprzeczką. Drąg opadł znowu, światło wróciło i opat tyniecki w czarnym, długim płaszczu wszedł wolnym do więzienia krokiem. Ryba podniósłszy łuczywo do góry przyświecał w progu, z miejsca się nie poruszając.

Oba bracia na widok duchownego powstali. Znali go dawniej na dworze

króla, bo któż nie znał opata Arona, który u Bolesława był, jak on sam mawiał, pierwszym okiem w głowie.

Wchodząc odezwał się opat, że im pociechę chrześcijańską przynosi, i spytał, azaliby co rodzinie do

przekazania nie mieli lub proś by jakiejś przedśmiernej, której by zadość mógł uczynić. Mówiąc to znacząco, spoglądał

dziwnie na stróża.

Niezrozumiało to były zaprawdę odwiedziny, gdyż Jaksowie już przez

kapelana królewskiego na śmierć przygotowani i wyspowiadani byli, a jemu też wszystkie swe zlecenia przekazali.

— Mój ojciec — rzekł Andruszka smutnie — nie pozostało nam o nic prosić, chyba o modlitwy za dusze nasze.

— To obowiązek kapłański — odezwał się opat. — Wprawdzie — dodał, —

nadziei mieć trudno tam, gdzie żadne prośby ani żywych, ni umarłych nie pomogły nic przecież człowiek do ostatniego tchnienia w miłosierdziu Bożym i cudach Opatrzności powinien mieć nadzieję.

Słowa ostatnie wymówił opat z naciskiem jakimś i znacząco, a więcej

jeszcze nad nie wzrok jego mówić się zdawał. Andruszkę tylko uderzyło to, że opat wspomniał prośby umarłych!

— A któż umarły mógł wstawiać się za nami? — zapytał ze smutnym

uśmiechem. — Ludzie z grobów nie wstają.

— Tak było — począł mówić opat — i słuszną jest rzeczą, byście dla

pociechy waszej o tym wiedzieli. Stryj wasz Janko, starzec dogorywający, dowiedziawszy się o nieszczęściu, które rodzinę dotknąć miało, mimo wieku i choroby na koń kazał się wsadzić i jechał do króla prosić za wami. Jechał dniem i nocą do Poznania, a zmarł w drodze i umierając synowi polecił, by go trupem zawiózł przed króla i trup jego mówił za wami.

Bracia zdumieni spojrzeli po sobie.

— Któżby się tego po tak zagniewanym stryju mógł spodziewać? — szepnął

Jurga.

— Cóż król na to? — spytał Andruszka.

Opat zmilczał, domyśleć się łatwo było, spuścili oczy dwaj bracia.

— Ojciec mój — odezwał się Andruszka — nie płacę ja po życiu ani

pańskiemu wyrokowi złorzeczę, karząc mnie król by za dość uczynił

sprawiedliwości. Jam był głową domu, na mnie jednego spaść była powinna pomsta i gniew pański. Jurga powinien być zostać i ocaleć, abyśmy całym rodem nie ginęli.

— A! niechby los ten padł na mnie — przerwał Jurga — jam więcej winien, bom się dał Szwabowi pierwszy pociągnąć.

W tej chwili jakby korzystając ze światła, które im w oczy sobie spojrzeć dozwalało, dwaj Jaksowie wejrzeni na się, ręce sobie nagle zarzucili na ramiona, głowy ich sparły się na sobie i w uścisku tym słychać było jakby nierycerski jęk boleści.

Opat stał poruszony, milcząc, Ryba nawet wielkimi oczyma wpatrywał się ciekawie w braci, których przywiązania widok zdawał się dlań rzeczą niepojętą.

Widział on wielekroć dwóch współników zbrodni, którzy winę i karę wzajem na się zrzucać usiłowali, ale nie zdarzyło mu się nigdy spotkać ludzi, co by na śmierć idąc wyręczać się i jeden za drugiego ginąć chcieli. Potrzasał głową, jakby nie rozumiał czy nie wierzył.

— Miejcie nadzieję w miłosierdziu Bożym — cicho wyszeptał opat i podniósł ręce do błogosławieństwa.

Bracia poklękli na słomie, zniżyli głowy, skupione razem, a kapłan po cichu szepcząc modlitwy krzyż zakreślił nad nimi.

Oba przyczołgali się, aby rękę jego ucałować, a gdy się zbliżyli doń, mógł raz jeszcze powtórzyć im dobitnie po cichu.

— Módlcie się i miejcie nadzieję. Miejcie nadzieję!

Zatem żywo się zawróciwszy wyszedł zaraz i Ryba drzwi za nim

zatrzasnąwszy drąg założył. Zostali znowu w ciemnościach, słaby tylko promyczek jakiejś nieokreślonej tej nadziei im przyświecał. Czuli, że nie byłby może przyszedł

do nich, gdyby nie miał im z sobą przynieść jakiejś otuchy.

— A! Jeden z nas ocaleje może? — zawołał Jurga.

Andruszka milczał.

— Biedny stryj Janko — rzekł po chwili — i jemuśmy mimo woli i wiedzy śmierć przyspieszyli, a król i jemu nawet ubłagać się nie dał. I jakże tu mieć nadzieję?

— Tak to prawda — potwierdził Jurga. Ksiądz przyszedł, aby nas pocieszyć dobrym słowem,

pewnie dlatego, że koniec i oprawca bliski. Dziej się wola Boża.

— To najpewniej — mówił Andruszka.

I milczeli.

W więzieniu tym dnia od nocy rozróżnić było nie podobna, chyba po ruchu, jaki w szyi czasem słyszeć się dawał.

Znużeni Jaksowie mimo woli po długiej rozmowie zdrzemnęli się leżąc na słomie obok siebie. Sen był przerywany co chwila, niespokojny, najmniejszy szelest zdawał się oznajmywać kata. Noc wydała się im bez miary długą a choć się spodziewali śmierci, głód dokuczać zaczynał. Wyszukali dzban i chleb, rozłamali się nim, napili wody, nikt nie przychodził.

Po nieskończeniu przeciągniętym milczeniu na ostatku szelest i stąpanie posłyszeli w szyi. Kroki jakichś ludzi zbliżały się ku ich drzwiom, mruczenie i szepty im towarzyszyły. Zaczęto odwalać drąg, zabłysło światło.

Jurga i Andruszka widząc nadchodzący zgon raz jeszcze rzucili się sobie na szyję i uściskali. Gdy oczy podnieśli, izbę ujrzeli pełną ludzi. Pachołkowie to byli jacyś zakapturzeni, milczący i wskazujący im rękami tylko, by natychmiast wstawali i szli z nimi. Ryba stał u drzwi i ciekawie się przypatrywał przecierając zaspane oczy.

Kata widać nie było. Pomimo to obaj bracia wstali w tym przekonaniu, że ich wiedą na stracenie. Ujęli się za ręce, wyszli razem. Dokoła wnet objęli ich pachołkowie, a że ludzie byli dorodni, chłop w chłopca, nie mogli nawet dojrzeć za ich czapkami ani zmiarkować, dokąd ich prowadzą. Z dala czas jakiś przyświecał

Ryba łuczywem, potem światło to zgasło i znaleźli się wśród nocnych ciemności.

Czuli owiewające ich powietrze mroźne, Jurga podniósłszy głowę postrzegł nad sobą niebo i gwiazdy.

Jakiś czas postępowali w milczeniu, pod nogami czując to ziemię umarzlą, to lodu skorupę, to trochę śniegu, którym ziemia była okryta. Wtem ścisnęli się pachołkowie i bracia z podziwieniem ujrzeli się w jakiejś budowli ciemnej.

Prowadzono ich popychając przejściami wąskimi, skrzypnęły jakieś wrzeczadze, wtrącono ich znowu do izby ciemnej. Wnet cofnęli się ci, co im towarzyszyli, i bracia znaleźli się sami omackiem w jakimś więzieniu nowym, nie mogąc tej zmiany wytłumaczyć sobie.

Chwilę postawszy w miejscu Jurga ruszył się pierwszy szukać ściany. Pod dłońmi uczył mur zimny. Podłoga była z dylów ułożona. Gdy oczy oswoiły się z ciemnością, u góry ujrzeli przez szpary okiennicy zamkniętej wciskające się blade brzasku jakiegoś światelko. Dokoła panowała cisza głucha, kiedy niekiedy tylko przerywana szmerem jakby ludzkiego głosu stłumionego, który brzmiał jak oddalony śpiew powolny.

Nikt nie przychodził.

Rozdział 4.

Nazajutrz rano, niż zwykle w sypialni królewskiej, ruch słyszeć było. Stróż śpiący u drzwi natychmiast przyszedł ogień rozniecić, a gdy w otworze okiennicy światło błysnęło, ruszyli się i dworcy, i starsi komornicy pańscy, aby stać pogotowiu na za wołanie.

Pierwszy, co wszedł z ogniem, stary palacz i stróż prog, znał tak z dawien dawna króla, że dość mu było jednego wejrzenia na jego oblicze, aby zmiarkować, jaki dzień się zwiastuje. Burza czy pogoda malowały się zawsze tak wyraziście na tym czole szerokim, zwłaszcza gdy w domu osłaniać się nie miały potrzeby, że starego stróża pytano, gdy wychodził z pańskiej komory jak tam napisano na czole; jasno czy chmurno?

Tego dnia jakoś nic się dobrego nie święciło, król, gdy stróż wszedł, siedział

już na łożu, sparty rękami obiema, włos miał rozrzucony, brwi jeżyły się gęste, zadumany był i ze snu wyniósł gniewy. Obyczajem wojaka i gospodarza zamruczał

naprzód pytanie:

— Co na dworze?

Stróż klęczący u komina odpowiedział, że chłód i wiatr urosły w nocy, i Bolesław więcej nie spytał. Zdawał się nawet nie słuchać odpowiedzi na pytanie z nawykienia zadane. Dumął.

W synu Mieszkowym było ojcowskiego wiele, ale i z matki przeszła weń gorąca krew Bolesława Lutego, którego imię nosił. Mieszko milczący był i zamknięty i Bolesław nim być umiał, ale zmuszać mu się było potrzeba do kłamania twarzą i zaparcia ust. Na twarzy i w mowie widać było męża potężnego, co siłę swą czuje i żadnej się walki nie lęka. Pod czołem wypukłym i szerokim drgały widocznie niemal bujając myśli nie tajone. Postawa malowała dumę nie małego człowieczka, który ją nosił jak ranę nieustannie obawiającą się dotknięcia ale dumę bohatera, co wie, iż ma prawo stanąć wysoko z woli Bożej.

Od śmierci Mieszka, który z pokorą niemal stawiał się nieraz u prog cesarskiego pałacu w Quedlinburgu i Dzewinie do tej chwili, gdy Bolesław stanął

prawie na równi z cesarzem Niemiec, zawojowawszy szerokie ziemie słowiańskie, marząc o podziale z nim świata na dwoje, upłynęły nie lat dziesiątki dla Polan, ale jakby całe wieki.

Jedna myśl od pierwszej chwili do ostatniej zajmowała Bolesława:

stworzenie państwa Słowian tak potężnego, ażeby murem mogło stanąć przeciwko niemieckiej nawale, cisnącej się ku wschodowi i wypierającej Słowian coraz głębiej ze środka Europy, z siedzib starych i drogich. Cel ten stał mu na myśli ciągle.

Do tej budowy leżał budulec naokół, bezpieczeństwa prawie, rozrzucony w

nieładzie, rozbity, gotowy do użycia temu, kto chciał i mógł nim zawładnąć. Małe krainki, nie trzymające się z sobą, stały otworem silnej dłoni, co je zagarnąć zapragnęła. Bolesław zabierał je jak swoje, do tego państwa, którego marzenie wielkie ojciec mu przekazał. Odepchnięty na chwilę, król wracał nazad, umiał

czekać lata. Wiązał się ślubami, przymierzem, przyciągał łaską i postrachem, usuwał przeszkody mieczem i siłą, a szedł dalej coraz i dalej.

Myśl tę Bolesław wziął w spadku po Mieszku, rodzicu swym w którym ona cichszą, bojaźliwszą się wykluła, jasną i głośną stać się miała w synu dopiero. Od Zachodu światła pożyczyć, stanąć z nim na równi wszystkim, co dawało siłę, obronić się zarazem najazdowi jego i zaborom, tego chciał i dopiął Bolesław. Imię jego groźnym już było, strasznym i znieawidzonym u Niemców. Zwano go wężem zdradliwym, lwem ryczącym, miotano nań obelgi, które stały za największą chwałą.

Bolesław panował w Łużycach odzyskanych, a Pomorze, Prusaków,

Wendów do ujścia Łaby nie spuszczał z oczów.

Posłańcy jego i sługi skryte były wszędzie, na cesarskim dworze, we

wszystkich stolicach, u plemion najdalszych, wiedział, gdzie się co ruszyło, drgnęło, zabolalo, gdzie na ratunek mógł spieszyc i ze słabości korzystać.

Włos mu się posrebrzył w tych myślach i trudzie, państwo stało już jak budowla, której słupy ręka cieśli wbiła w ziemię, ano, dachu i ścian brakło jeszcze, nie było wałów i ogrodzenia, co by ten gmach bezpiecznym czyniły.

Młody Mieszko, syn królewski, chodził po granicach wprawiając się do ich obrony; dłoń miał po ojcowsku rycerską i silną, ale czy myśl z nią na równi potężnie urosła, sam ojciec pewien nie był. Dlatego w chwilach ciszy i rozmyślań samotnych zawsze mu prawie czoło zachodziło chmurami i wielki król patrzył na dziedzica swego jakby z przecuciem smutnym. Aby to państwo stworzone przezeń utrzymać, pieczy trzeba było nieustannej, zachodów i tego oka, co z góry patrząc widziało na raz, co się działo, co się dziać miało od brzegów Dunaju do wybrzeżów Bałtyku. Na ten łup wojen kilkudziesięcioletnich zewsząd czyhali nieprzyjaciele.

W Czechach pokrewni, powinowaci na Węgrzech, zbraceni na Rusi kneziowie, złagodzeni na pozór i połączeni węzłami krwi Niemcy, w istocie byli wrogami tajnymi, nieprzejednanymi. Każdemu z tych powinowatych Bolesław oderwał

część jakąś; Czechom zajął Ruś, Morawy i Śląsk, Węgrom zabrał Słowaków, Rusi szerokie kraje za Styrem, Niemcom wydarł Łużyce i mnogie plemiona sąsiednie.

Najmniejsza oznaka słabości, której upatrywano tylko, mogła być hasłem rzucenia się wszystkich przyczajonych wrogów na zdobywcę. W zbroi spać było potrzeba, jedno oko trzymać wciąż niezawarte.

Bolesław nawykł do tego, syna wprawiał do życia na koniu i straży, a jednak w przyszłość patrząc

smucił się i niepokoił. Mężny rycerz, Mieszko, może aż nadto był ojcu posłusznym, szedł na rozkazanie, ale sam rozkazu dać nie spieszył.

Spokojniejszy duch mieszkał w synu, a jemu spokoju mówić nie było wolno.

I tego dnia, jak często, wielki król wstawał z łoża posępnym, ciasno mu było w sypialni, duszno w zamknięciu, za cicho na dworcu, ściany go ścisnęły jak więzienie. Przez okiennice zawarte dzień się przeciskał szarawy, na kominie ogień płonął i trzaskał wesoło.

Pierwszy po stróżu wszedł do sypialni stary Sieciech gładząc brodę i uchylając głowę. Przybywał po rozkazy.

Król długo nań popatrział, nim się odezwał, a pierwsze jego słowo było: —

Jaksów stracono?

Rozkaz królewski, wczoraj wydany, brzmiał, że dnia doczekać nie mieli, a dzień biały cisnął się przez okiennice.

Sieciech milcząc skłonił tylko głowę, król spojrzał nań i zamilkł. Twarz znowu surowszą się stała i posępniejszą jeszcze.

— Miklasza Jakse, który tu ojca przywiózł — odezwał się król — przywołać do mnie.

Sieciech głową potrząsnął, dziwnie jakoś zafrasowany, stanął i podniósł oczy.

— Miklasz, miłościwy panie, wedle przykazania ojca na śmiertelnym łożu, nic nie zyskawszy musiał wczoraj zaraz z ciałem stąd jechać precz. Wola ojca dla dziecka święta. Nie ujrzą go tu więcej oczy nasze. Zaklęli się Jaksowie wszyscy i powinowaci ich, że progu zamkowego nie przestąpią więcej. Wszyscy, ile ich jest!

— westchnął Sieciech.

Zarumieniła się jakby krwią oblana twarz króla, spojrzał groźnie,

pogardliwie, ale — nie wybuchnął.

— Dziś do dnia — kończył Sieciech — Jaksów powinowaci, dwu

najdzielniejszych dowódców naszych, Szreniawa i Pobóg, pojechali też precz ze dworu z drużyną.

Zaczerwienione oblicze pańskie zapłonęło mocniej jeszcze, drgnął, coś niewyraźnego jak przekleństwo z ust mu się wyrwało. Sieciech stał ze spuszczoną głową siwą.

— Pozwijcie opata Arona do mnie — rzekł król.

— W tej chwili odprawia ofiarę świętą.

Na to nic nie odpowiedział Bolesław i dał po chwili wyniść Sieciechowi.

Ledwie za nim opadła zasłona, gdy się wsunęło pacholę. Z dala wyglądało na wyrostka, z bliska mu się przypatrzwszy poznać w nim było można karła i niemłodego już człowieka. Darował go był niegdy królowi Guncelin, przyrodni brat jego, a raczej powinowaty, syn wygnanej Ody z drugiego łoża. Niemczyk, jak wierny pies niemal przywiązawszy się do pana, był poufałym stworzeniem na dworze. W części przez litość nad słabą istotą, trochę dla zjadłej złości i dowcipu, którymi zabawiał, Zyg był królowi upodobanym. Jeśli sobie nadto pozwolił, król nogą wyrzucał go za drzwi, częściej jednak słuchał tak, jak się cierpliwie słucha brzęczenia owadu w lecie. Wolno mu było wiele, musiał przecie patrzeć na marszczące się brwi pana, ażeby nie przebrać miary. Zyg miał właściwy sobie mówienia sposób, rad czy nie, z obowiązku powinien był pana zabawiać. Dziś na wchodzącego gdy król spojrzął, karzeł pozostał bojaźliwie w dali. Poznał, że zbliżać się nie było bezpiecznie. Uchwycił drewna kawał leżący przed kominem i milcząc przyrzucił go na ognisko. Stanął potem przy nim, ręce założył na piersiach i patrząc w oczy panu głową pokręcał.

— Psy całą noc wyły — począł nieśmiało: — wilcy nabrali takiego

zuchwalstwa, że pod sam gród podchodzą. Musieli tu zwietrzyć trupy. Koło ciemnic tej nocy się coś bardzo ruchano.

Pokiwał głową. Bolesław spojrzął nań, karzeł zamilkł.

— Przybył tam kto nowy na zamek? — spytał Bolesław cicho.

— Pełno, miłościwy panie, pełno. Objedzą nas do prószynki. Z Czech któryś ze Sławników znowu, koni pewnie czterdzieści, z Rusi turowski kneź, koni z pół

setka, z Niemiec Bawar jakiś, zbroi z pół kopy, od Wendów starszyzna, chyba też z sorok głów. Za to Szreniawy i Pobogi pogniewali się na miłość waszą i wypowiedziawszy wojnę pojechali się na nią sposobieć. To dopiero będzie wojna!

Słysząc że dwa tysiące komarów i trzy tysiące much w pomoc sobie przybrali i już to wojsko ciągnie. Z bocianami do nas na wiosnę przylecą, to dopiero krwi utoczą!

aż strach!

Zyg miał zwyczaj sam się śmiać, naprzód z żartów swoich, aby drugich rychotaniem do śmiechu pobudzić i teraz uczynił to, aby panu dodać ochoty, ale popatrzwszy nagle śmiech mu się w połowie urwał. Zamilkł i za komin się ukrywając, do ściany przytulony, przypląszczył. Nie miał już myśli próbować rozweselić raz drugi i nową sposobieć zaczepkę. Wśród milczenia przewlókł się potem do sypialni, trzymając ścian raz i drugi, jakby się chciał królowi przypomnieć. Widząc, że i to nie poskutkowało, bo król oczy odwracał, przesunął

się ku drzwiom. Podniósłszy zasłonę skłonił się do samej ziemi z przesadzoną pokorą i rzekł:

— Czołem panu... — i zniknął.

Po wyjściu jego król w dłonie klasnął, weszło dwu dworzan komorników, a tym rozkazu nie było potrzeba, aby wiedzieli, co robić. Odzież nieśli i obuwie i poczęli do wstania służyć. Król kożuch tylko włożył i siadł przed ogniem, który paląc się jasno całą komnatę ciepłem wypełniał. W chwilę potem opat Aron ukazał

się we drzwiach. Na widok jego twarz pańska widocznie się wyjaśniła.

— Chciałem już widzieć was, ojcze — odezwał się poufnym tonem. — Całą noc sny mnie dziwne dręczyły, zmora mi piersi dusiła. Zdało się, jakby całe wojsko cesarza Henryka na mnie legło i zgnieść mnie chciało. Z nimi, choćby się poprzysięgła zgoda i przyjaźń, pokoju nie będzie nigdy.

Uśmiechnął się opat łagodnie.

— Nic teraz nie grozi nam — rzekł — cesarz gdzie indziej ma dosyć do czynienia, a król Bolesław dość mocen jest, aby się nie obawiał nikogo, nawet cesarza.

— Mocen! Mocen! — powtórzył król. — Ojcze mój, moc ta moja jest jako sznur naprężony, twardy on jak żelazo, prawda, aliści co chwila grozi pęknięciem.

Trwogę muszę siać, abym sam jej nie miał...

Zamilkł patrząc w ognisko i dodał jakby pytając:

— Jaksów stracono?

Czuć było, że ich miał na myśli, że oni to, nie wojsko cesarskie, byli dlań tą nocną zmorą.

— Ja nie wiem — rzekł opat krótko.

— Tak! Zginęli — dodał Bolesław — zginęli! Szkoda mi ich, ale

nieubłaganym być musiałem. Rycerstwo żelazną dłonią trzymać potrzeba lub jak stado wilków się rozwydrzy. Straciłem nie tych dwu Jaksów, ale cały ich ród; poszli precz oni, idą ich powinowaci. Ubędzie mi rąk i serc dzielnych, przyrośnie gniewu i niechęci...

— Miłościwy panie — przerwał opat — co się stało, rozważać już za późno.

— Mój ojcze — mówił nie dając sobie przerywać Bolesław — królewska

wola, gdy ją raz objawił, rzecz niepowrotna. On sam jest jej niewolnikiem.

Niewiasty tylko słabe idą i powracają; mężowie, gdy raz poszli, wiedzą, iż wracać srom. Nie podałem tyłu nigdy ani w bitwie, ani w sądzie. Gniewny byłem, gdym ich skazywał, alem słowo rzekł.

— Gniew zły doradca zawsze — przemówił opat. — Słyszę, że krom

Szreniawów i Pobogów dwu Starzów, krewnych im, i Lis jadą też precz ze dworu.

Gniewnie król ręką rzucił.

—Niech idą! Niech jadą!

Lecz widocznie go to bolało.

— Niech idą — dodał — byle poczty, gdy wici rozeszłę, stawili, bo i im głowy pospadać mogą, służbę pełnić muszą, a dworaków znajdę łatwo.

— Sądzę, że ze służby wyłamywać się nie myślą — odparł opat spokojnie —

a trudno, żeby sromu nie czuli, bólu i żalu nie mieli. Zasług niemało było na szali.

— Gniewnym był! — powtórzył król. — Stało się!

I jakby umyślnie zwracając rozmowę rzekł zmienionym głosem do opata.

— Czyście myśleli, o czym wam mówiłem wczora?

— Nieustannie — odparł Aron — myślałem i modliłem się, miłościwy

panie...

— Zrozumiałeś mnie — ciągnął król ożywiając się. — Patrz: starym być poczynam, włos mi co dzień więcej siwieje, ociężałem. Koń jeden przez dzień do wieczora mnie nie dźwignie. Ja też sobie sam jak koniowi ciężę. Ciało do grobu ciągnie. Niech Bóg będzie miłościw grzesznej duszy. O zbawieniu myślę, a za przyczyną świętego mojego opiekuna, Wojciecha, i patrona Maurycego, i Waclawa Bóg mnie za przewinienia karać nie będzie. Trzeba myśleć, aby pot i krew moja co w tę ziemię wsiąkła, nie poszły marnie. Noc i dzień słucham, azali nad granicami krzyk się nie ozwie. Grozą tylko mogę strzymać napastników. Tą grozą dla mnie, dla syna będzie korona na skroni...królewska korona...Dlaczegoż jej nie mam otrzymać? Co ojciec nasz, Benedykt, straci, gdy mi ją da jak inny m, którzy ani tyla ziemi, ani takiej nie mieli potęgi? Synowi jak zbroi potrzeba korony pobłogosławionej w Rzymie. Otto III, niech mu Bóg świeci nad duszą, własną swą cesarską mi włożył na skronie, za berło dał mi włócznie świętego Maurycego, a jednak przeczą mi tytułu króla i korony... Ja ją muszę mieć!

Ognistymi oczyma popatrzał na opata Arona, który wzrok trzymał utopiony w ziemię i myślał milczący.

— Cóż ty mówisz, ojcze? — począł król ożywiając się coraz więcej — tyś najlepszym doradcą moim, tobie ufam jednemu, ty widzisz jasno, radzisz rozumnie, a ważyć umiesz wszystko.

— Miłościwy panie — odparł opat po długim namyśle, jakby z ciężkością zdobywał się na słowo — nie przeczę ja, że blask korony doda świetności twej skroni a siły Mieszkowi, ani, uchowaj mnie Boże, sądzą, by kto nad ciebie, panie, był jej godniejszym, lecz...

— Cóż więc? co? — zapytał król porywczo — mów mi wszystko, całą

prawdę, jak ojciec duchowny!

— Królu a panie — ciągnął Aron — korona nie tyle zwiększy twą potęgę, co złości i zawiści obudzi. Nieprzyjaciół uskromionych drażnić niebezpiecznie. Sam cesarz Henryk w Rzymie stanie na przeszkodzie nie tylko u papieża, ale gdziekolwiek będzie mógł stawiać przeszkody.

— A ojciec święty, Benedykt, maż mu poddanym być? Nie jestże on

Chrystusa następcą i panem a rozdawcą wszystkich koron świata?

Opat stał znowu zadumany i król nie doczekawszy się odpowiedzi z coraz większą począł mówić gorącością.

— Otto III dał mi koronę, przyrzekł mi ją pobłogosławioną. Śmierć nie dozwoliła mi wykonać tego, co ślubował. Nigdy ja nie opłaczę dosyć tego druha a pana, z którym ręka w rękę byłbym doszedł do wszystkiego, czego pragnąłem.

Z jego zgonem zachwiało, popsuło się wszystko! Mówią, że Bóg go ukarał za otwarcie tego grobowca Karłomana, z którego złote siedzenie przysłał mi w darze.

Jam Karłomanem powinien być na wschodzie. Wolałby był nie tykać grobu tego... Henryk. Henryk mi go nie zastąpił! Nikt zastąpić nie może.

— Święty to pan i pobożny! — wtrącił opat.

— A nie byłże nim Otto mój! — zawołał Bolesław ręce podnosząc. — Z jego zgonem połowa siły mojej odpadła; odtąd iść trzeba było przebojem i we krwi brodzić.

— Możesz, miłościwy panie, uskarżać się na niepowodzenie? — szepnął

Aron.

— O! Pragi! Pragi straconej nigdy nie zapomnę — odezwał się Bolesław — i tego poranku na Wyszehradzie, gdy się róg pastuszy odezwał na moście! Róg mi ten stratę państwa zwiastował a miałem je w dłoni!

Aron westchnął.

— Panie — rzekł cicho — a nie byłże to palec Boży za oślepionego

Bolesława ?

— Miałżem tego wściekłego okrutnika oszczędzać? — wybuchnął król

gwałtownie, podnosząc się z siedzenia. Łaskawym mu byłem zostawując życie, bo na stokrotną

śmierć ten dziki przechera zasłużył.

Opat zmilczał.

— Ale z Czechami, z Czechami rzecz nie skończona! — ciągnął Bolesław jakby sam do siebie. — Dwoje państw jednego języka obok siebie być nie mogą.

Dwa wilki głodne nie pasą się obok siebie; jeden drugiego rozszarpać i zadławić musi. Ale czy Mieszko temu podoła?

— Wszystko jest w mocy Bożej — ozwał się opat chłodno — maleńki

Dawid zwyciężył olbrzyma Goliata.

— Niech mi moc dla dziecka da Boży zastępca na ziemi — począł Bolesław pilno wpatrując się w twarz opata, w której myśli nie mógł wyczytać — wy wiecie, ojcze, że to jedyne moje pragnienie dzisiaj cel mój wielki... Korony mi trzeba należy mi korona i — mieć ją muszę!

To mówiąc uderzył Bolesław ręką o poręcz krzesła.

Aron nie zaraz na odpowiedź się zebrał.

— Jest to sprawa zbyt wielkiej wagi — rzekł powoli i chłodno, nie

spoglądając na króla, oczy trzymając w ziemię wlepione — sprawa zbyt niebezpieczna i śliska, aby ją można podjąć na lekko. Rozważyć potrzeba wiele.

Wy, miłościwy panie, jesteście, dzięki Bogu, w pełni życia i sile, po cóż się tym spieszyć? Azali nie lepiej iść do tego celu z rozwagą i powoli?

— A nie dośćżeśmy już zwlekali, rozważali, rachowali? — ozwał się król,

— któż wie, kto po Henryku i Benedykcie nastąpi?

Opat znowu pomilczawszy skłonił głowę i kończył.

— Przebacz mi, miłościwy panie nie dość jeszcze ważyliśmy i rozmawiali.

Wyciągnąć rękę, uczynić pokuszenie, nie dokonać tego, co się zamierzyło, takiemu jak wy nie przystało panu. Na pewno działać potrzeba, więc baczyć pilno...

Bolesław nieznacznie zżymnął ramionami i zakończył powstając.

— Więc na was składam obmyślenie środków i wykonania, ojcze mój.

Nadam opactwo wasze ziemiami szerokimi, rozmnożę zakon wasz, uczynię was możnymi i niezależnymi jak kneziowie, uczynię co każecie, dla powiększenia chwały Bożej a wy mi pomóżcie.

Znacie drogi do Rzymu i w Rzymie nie siedzi na stolicy, dzięki Bogu, taki czarownik jak Sylwester; ojciec Benedykt skłoni serce swoje do dziecięcia. Dlaczegoż Olaf i Kanut lepsi nade mnie być mają, a nawet Ugry niedawno ochrzczone?

Dzień już był wielki, król ruszył się sprzed ognia, czekano nań bowiem na dworze. Opat Aron nie odpowiedziawszy nic pokłonił się i wyszedł krokiem powolnym do izb gościnnych, na których wszyscy obcy i dwór był zgromadzony.

Ścisk wszędzie zastał ogromny. Nadchodziła posłuchania i obiadu, naówczas rannego bardzo, godzina.

Wielki gmach, w którym stoły zastawiano dla mnogich gości, izby boczne pełne były ludzi widocznie przybyłych z rozmaitych stron i krajów. Poznać to było po stroju. Większa część starszyny miała na sobie kożuchy kosztowne, rozmaicie pookrywane i wyszywane; rycerstwo stawiło się w kaftanach grubych, łuskami żelaznymi naszywanymi, służba pańska kręciła się w szatach jaskrawych i bramowanych złotem. Wśród tych najwspanialszych strojów i wykwintnej odzieży zachodniej widać było i nader proste odzienie władyków i żupanów z głębi kraju, od krańców jego, z zapadłych grodków przybyłych. Na tych wieki przeszłe widać jeszcze było. Ci szli w kożuchach czarnych, w pasach wełnianych i skórzanych, z lada jakim i niepozornym starym orężem u boku, wcale się nie zdając o to troszczyć, jak wyglądali. Rozstępowano się im jednak z poszanowaniem.

Kilkunastu Ugrów stało w dziwnych strojach jaskrawych z boku, Niemców też łącznie było rozeznąć można po kroju sukien cienkich i frankijskich opończach a strojach, których wiele za Ottonów jeszcze z Włoch poprzywożono. Pomiędzy gośćmi gospodarzyli komornicy królewscy, stolnicy i podkomorzowie, wszyscy odznaczając się jednakimi ciężkimi łańcuchami na szyjach i laskami w ręku.

Całkiem osobno w pierwszej izbie stała królewska drużyna. Tę składali mężowie w wojnach i życiu wypróbowani, a bywało ich zwykle dwunastu, którzy nad krajami dwunastą podległymi Bolesławowi, zwierzchnictwo mieli czasu wojny i dozór czasu pokoju. Acz król sam władał, rządził i sądził a nikt pod nim własnej nie miał woli, dzielił się nimi władzą, a używał do rady. Oni mieli ucho pańskie, zaufanie jego, wiedzieli tajemnice drugim zakryte, oni i opat tyniecki, doradca sumienia królewskiego, najbliżej stali tronu.

Gdy u czterdziestu stołów codziennie zasiadali goście, których mieniał każdy ranek, a nigdy ich tu nie zabrakowało w osobnej izbie, u pańskiego stołu ci tylko dwunastu zasiadać mieli prawo, gdy Bolesław zawezwał ich do siebie. Byli to najmożniejsi władcy, najdzielniejsi żołnierze, najrozumniejsi ze starców w bitwach ogorzałych. Gdy z nich jeden padł na wojnie albo zmarł wiekiem złamany długo puste stało po nim siedzenie, aż król w miejscu jego następcę mianował.

Teraz właśnie zmarł był niedawno stary Jakub Lis, po którym stało

opróżnione miejsce w radzie i u pańskiego stołu; król zwlekał dotąd posadzenie na nim spadkobiercy a kto nim miał być, ani się nawet domyślano.

Chociaż Zyg naprzód, Sieciech i opat tyniecki oznajmili byli królowi, iż wszyscy krewni Jaksów

zażaleni od dworu się oddalili stary Pobóg stał jeszcze, sam z nich wszystkich, u progu wielkiej izby wraz z dworem króla i dotąd się nie oddalił. Konie jego i ludzie tylko w podwórku już gotowi do podróży czekali.

Sparty na kiju kutym z rękojeścią młotem opatrzoną, stary wódz z twarzą bólem jakimś pomarszczoną i pofałdowaną czekać się zdawał niecierpliwie na coś u proga. Oglądał się i poruszał, oczyma wodził, a ci, co go znali, ani go pytać, ani zagadnąć nie śmieli, tak chmurnym wejrzeniem i brwią nasepioną ich odstręczał.

Z siwą i wyłysiałą głową, przygarbiony, wśród tego ożywionego tłumu sam jeden zdawał się obojętnym na to, co się wkoło niego działo.

Sieciech się doń przybliżył.

— Gdzie król? — spytał Pobóg. — Dlaczego nie przybywa?

— Będzie za chwilę — odrzekł Sieciech. — Panie mój — szepnął na ucho pochylając się ku niemu, jestli to prawda, co słyszę, że chcecie dwór opuścić?

Drużyna wasza stoi przed drzwiami!

— Tak jest niezawodnie — krótko odrzekł Pobóg — jadę.

— Dlaczego?

— Wy to wiecie.

— Król dziś bardzo posepny, nie pora.

Ramionami ruszył Pobóg.

— Nie ulęknię się — zamruczał — głowę mi może wziąć!

— Szreniawy i Lisy pojechali w milczeniu nie żegnając pana — zamruczał

Sieciech. — Tak lepiej...

— Co komu lepiej — odparł Pobóg.

Wtem stał się ruch wielki, gwary umilkły, w nieładzie rozproszeni zaczęli się ustawiać gromadkami, z dala słyhać było stapanie ciężkie, powolne i szelest jakiś jakby szat jedwabnych. W oddaleniu ukazał się król okryty sobolą szubą podpasaną, z kołpakiem na głowie. Pod tym zwierzchnim okryciem miał drugą suknię wełnianą, bramowaną złotem, a u pasa mały ów miecz z rękojeścią z kości, pochwą złoconą, miecz, który go nie opuszczał nigdy. Był to "Szczerbiec".

Laskę trzymał w ręku. Szedł zwolna, poglądając w prawo i lewo po

twarzach, niekiedy głową skinął nie zatrzymując się i oczyma dał znak jakiś.

Pacholę strojne niosło za królem miecz jego wielki; dalej szło sześciu komorników i cały dwór służebny.

Byстрыm okiem obejrzał król wszystkich zdało się, że żadna twarz, w zakątku nawet stojąca, nie uszła jego wejrzenia, a nie potrzeba mu było stawić i mianować nieznanomych, bo wiedząc o nich zgadywał, kogo miał przed sobą. Niskimi pokłonami, rękami zwieszonymi do ziemi witali przytomni nadchodzącego pana.

Doszedł tak wolnym krokiem aż do drzwi wielkiej izby stołów czterdziestu, gdzie stał Pobóg. Rękę zwolna położył starcowi na ramieniu i lice, spojrzawszy nań, rozchmurzyło mu się nieco. Był to bliski Jaksów pokrewny, rodził się z niewiasty ich imienia i plemienia.

— Pobóg — rzekł król — czeka na cię opróżnione dwunaste siedzenie po Lisie, tobie je przeznaczam, tyś jeden godny.

Oczy otaczających króla biegać zaczęły po sobie, nie spodziewano się znać tego. Stary, nieporuszony, nie dziękując stał posepny.

Wnet czoło pańskie marszczyć się zaczęło i rękę mu z ramienia zdjął król.

— Nie, miłościwy panie — odparł chłodno i śmiało starzec — nie. Ja nie jestem godzien siedzieć u stołu twojego. Krew Jaksów płynie we mnie. Przybyłem ci, miłościwy panie, podziękować za łaski twoje i pożegnać. Za starym Jankiem, szwagrem pojedę, tam miejsce moje, gdzie wszyscy nasi. Ani się mej krwi zaprę w niedoli. Miejsce moje nie u stołu i rady pańskiej, ale na wygnaniu lub w grobie.

Śmiałej tej mowy słuchając przytomni pobledli z przerażenia.

Bolesławowskie brwi zeszyły się nad oczyma i zwinęły w jeden wał czarny, ręka mimowolnie padła na mieczyk i drżąca leżała na nim. Drugą ujął się w bok król i długo patrzył na wyzywającego śmiałka.

— Stary jesteś — rzekł w końcu — biłeś się mężnie ze mną nad Bugiem i Wełtawą, głowy ci nie zdejmę. Idź! Idź! z Bogiem!

I ręką gniewnie wskazał poza siebie, a dokończywszy słów, gdy jeszcze brwi trzęsły mu się gniewnie, ustami uśmiechać się począł dziko i strasznie. Rząd białych zębów, jak lwia paszczęka, ukazał się spod warg wybladłych. Kilka razy powtórzył coraz głośniejszymi i coraz silniejszymi

— Idź! Idź!

Stary Pobóg, do którego się to stosowało, jakby umyślnie poruszał się zwolna i nie śpiesząc wcale. Przechodząc pozdrowił króla w milczeniu i pominawszy go, wśród rozstępujących mu się dworzan i rycerzy, nie patrząc na nikogo, ku drzwiom powlókł się prosto, nie okazując wcale trwogi ani pomieszania. Wśród milczenia w izbie panującego każdy krok jego słycać było, król tymczasem, którego uśmiech przymuszony wnet z ust zniknął, prosto się ku Węgrom obrócił.

Miejsce to opuściwszy, gdzie go stary wojak obraził mową zuchwałą, zdawał

się razem zapominać o tym, co zaszło przed chwilą, wypogodził twarz, stał się znowu sobą, takim jakim bywał dni powszednich w gronie oddanych mu

powierników.

Wedle obyczaju zachodniego na dworze królewskim niewiasty też do stołu zasiadały. Wiodła je zwykle z sobą królowa, a Bolesław rad był, aby mu one jak kwiaty stół ubierały.

Właśnie król z Węgrami rozmawiać poczynął, gdy we drzwiach głównych

cały szereg niewiast się ukazał. Przodem szła królowa Emnilda tak skromnie ubrana jak wczoraj, w sukni ciemnej, w czepcu białym, na którym lekki łańcuszek złoty był opleciony. Nieco klejnotów nakazywała jej włożyć dostojność były one niejako zewnętrzną oznaką godności królewskiej, lecz obok innych niewiast swojego dworu królowa niemal zakonną odznaczała się prostotą.

Tuż przy niej szła w purpurowej długiej sukni, naszywanej kwiatami

złotymi, jaśniejąca klejnotami i od nich piękniejsza Ryksa, żona syna królewskiego Mieszka, cesarskiej krwi pani, córka Ezzona, palatyna Renu, z siostry cesarza Ottona zrodzona, w której rysach widać było, iż o swym pochodzeniu pamiętała.

Czarne jej oczy z góry i dumnie poglądały dokoła, a usta zdawały się nie umieć czy nie chcieć uśmiechać. Mimo młodości i wdzięku, surowością wyrazu twarzy i postawą pańską obudzała raczej obawę niż cześć dla siebie. Rozum i wola męska błyszczały w jej wejrzeniu śmiałym i dumnym.

Nie było żadnej z córek królewskich, rozproszonych po świecie, oprócz Matyldy, która szła też za królową w wianku dziewiczym na głowie i płaszczu niebieskim. Tak ona jak i inne po niej następujące panie szeregiem długim z niezmiernym przepychem były postrojone. Obyczajem owych czasów niewiasty występując publicznie kładły na się takie mnóstwo klejnotów ciężkich, płaszczów z grubych tkanin złocistych, podszytych futrami, łańcuchów kowanych grubo, kamieni drogich, iż niektóre z nich służebne podtrzymywać musiały, aby pod tym brzemieniem nie upadły. Starsze niewiasty, żony żupanów i władcyków, miały na piersiach po dwa i trzy łańcuchy, ogromne kolce na rękach, pasy kamieniami sadzone, na głowie rodzaj wieńców złotych, plecionych jakby ze sznurów, u uszów zausznicę ciężkie schodzące aż na ramiona. Największa różnorodność jaskrawych barw orszak ten odznaczała. Panowały wśród nich purpura i fiolety u starych, żółty i niebieski kolor u młodszego pokolenia. Wszystko to bramowane, naszywane, sadzone perłami, dawało miarę bogactw, jakie wojny w kraju i handel

nagromadziły.

Srebro było tak pospolite, iż je za ledwie na najprościejsze naczynia codziennego użytku obracano; konwie i beczki kute były z blach srebrnych, król jadał na złocie. Nie wyczerpał się skarbiec jego tym, co przyjmując Ottona III po każdej uczcie cesarskiemu słudze oddawać kazał. W kościołach ołtarze całe blachami i tablicami złotymi okryte były...

Wyroby owego czasu nie wszystkie się wytwornym kunsztem odznaczały,

wiele z nich grubo i dosyć nieforemnie wyciosanych było, na niektórych tylko różnobarwna emalia grecka i wschodnia żywością barw z kamieniami drogimi szła o lepszą.

Przy pięknych twarzach, dobranych do królowej orszaku, złote płaszcze, purpura, lazurkowe sukienki, przepych klejnotów i kolorów odbijały jak bogata oprawa tego żywego twarzy wieńca.

Wśród nich widać też było Teodorę, córkę Sieciecha, wzrostem i postawą górującą nad towarzyszkami swoimi, z twarzą bladą i oczyma już od łez oschłymi, ale jeszcze gorejącymi wewnętrzną boleścią. Szła widocznie jakby zmuszona, jak ofiara, usiłując na próżno na twarz powołać uśmiech nieprawdziwy, skłamanym, trwożliwym, męczeńskim. Na innych też, nie wyjmując oblicza królowej, głęboki smutek był rozlany. Emnilda nieśmiało, bojaźliwie niemal, spoglądała na oddających jej cześć i pokłony.

Gdy szelest sukni niewieścich dał się słyszeć, król ku wchodzącym się odwrócił, jakby rad, że może przerwać witania i rozmowy. Tego dnia na słowo zebrać mu się ciężko było, czoło miał dumne i usta leniwe.

Tuż za niewiastami wchodziły pacholeta, niosąc misy nad głowami, dzbany w rękach, nalewki, miednice i ręczniki. Bolesław skinąwszy głową gościom, zwolna na miejsce swe przy królowej Emnildzie podążył.

U pańskiego stołu zasiadały tylko niewiasty królewskiego i powinowatego im rodu; tu też miejsce było jednej z dziewcząt orszaku królowej, przybranej do jej boku, znacznego rodu córki Ekarda markgraфа, Ody. Przebywała ona z woli ojca na dworze i w gościnie królowej, choć Emnilda chłodno i z pewną nieufnością się z nią od niejakiego czasu obchodziła.

Po Ryksie, żonie Mieszkowej, była to najpiękniejsza pewnie z niewiast na dworze, chociaż tu na urodziwych i gładkich nie zbywało twarzach. Wysokiej postawy, silna, wyrosła bujno, z warkoczami złotymi, które się ledwie pod wieńcem pomieścić mogły, wyraz miała na obliczu ślicznym niemiły; kwitnęła krasą młodzieńczą, a wesela dziewiczego jej brakło; patrzała niby szydersko i nie chętnie dokoła, wzrokiem zuchwalszym niż inne. Niebieskie jej oczy duże śmiało spoglądały nie tylko na królowę i młode towarzyski, ale na samego króla, którego wyzywać się zdawały. Stojem też córka markgraфа Ekarda odznaczała się wśród swych rówieśnic, tak była cała klejnotami kosztownymi obwieszona i przybrana, tak starannie i zalotnie występowała, oczy wszystkich kusząc i zwracając ku sobie.

Królowa raz spojrzawszy na nią widocznie unikała jej, wzrok trzymając spuszczonej, a twarz ciągle smutkiem obleczoną. Dwór jej, jakby się stosując do humoru pani, tak samo wyglądał zafrasowanym i smutnym, jedna tylko piękna Oda uśmiechała się jakby na przekorę wszystkim, a gdy król usiadłszy rzucił na nią okiem, wejrzeniem i uśmiechem wyrazistszym jeszcze odpowiedziała mu, wcale się nie troszcząc o świadki. Bolesław długo trzymał w nią oczy wlepione, ale nie rzekł do niej słowa.

W tej chwili ukazał się opat tyniecki i wszyscy, króla nie wyjmując, wstali.

Miejsce dlań było przy królewskim stole zostawione. Lecz nim je zasiadł, surowym obyczajem tamtych wieków opat rozpoczął głośno modlitwę i błogosławieństwo.

Im młodszą była wiara chrześcijańska w tych krajach, tym duchowieństwo i król sam ściślej pilnowali, aby wszystkie obrzędy przez Kościół zalecane zachowywane były. Pierwszy Bolesław duchownych na równi z książętami postawił i poważać kazał, nadał im nazwanie księdzów, czyli książąt, i to im na przyszłość zostało, choć dla odróżnienia książęta inaczej zwać potem poczęto.

Długo jednak wszyscy duchowni stali na tym wysokim stanowisku społecznym, nadającym im w oczach tłumów powagę i dostojność.

Chociaż Zyg, ubrany na pół żółto, pół niebiesko, zjawił się przy stole obok krzesła królewskiego, czekając, aż Bolesław nie zagadnie i nie da mu się popisać z dowcipem, chmura, którą z sobą przyniósł pan przychodząc do stołu, nie zeszła mu z czoła i Zyg niemym pozostał.

Przyczynę wszyscy łatwo odgadywali. Nie było prawie dnia, w którym by król, jedyny naówczas szafarz sprawiedliwości, nie był zmuszonym sądzić kogoś i karać, rzadko się jednak trafiało, by z koła celniejszych rycerskich rodów, co go otaczały, padały ofiary. Oszczędzono je, względ miano na usługi, wyrozumienie dla krewkości i obyczajów zaledwie chrztem obmytych ludzi, w których wiele jeszcze dzikiego z przeszłości pozostało. Śmierć dwu Jaksów wiele kosztowała temu, co na nią skazać ich musiał, i tym, co o niej zasłyszeli, podziwem była.

Groza i strach przejmowały wszystkich, aby starzejący król nie nabrał smaku w okrucieństwie, jakim się oślepił przezeń Bolesław Ryży odznaczył.

Ze wszystkich stron sali spoglądano na króla ukradkiem, jakby chciano czytać z jego oblicza, jaki ślad w duszy zostawił wyrok ten krwawy. Chmura nie schodziła z czoła pańskiego, wszyscy siedzieli milcząco. Nie uszło i to oka i ucha ludzi, jak stary Pobóg, najwyższego naówczas dostojęstwa odmówiwszy, na zawsze dwór pański opuścił.

Kilka razy Bolesław podniósł wzrok na królowę, ale jej oczów nie spotkał, nastroczały mu się za to owe niebieskie, zuchwałe, choć straszne oczy Ody, która szukać się zdała króla i na przekór wszystkim okazywać spokój i wesele. Tak samo pono, gdy inni weseli bywali, ona smutną i gniewliwą być się starała, aby nie godzić się ze dworem, a iść wolą swoją.

Ulubione psy królewskie otaczały stół i chciwie rzucały się na kości, które zwyczajem było ciskać na podłogę. Zyg kilka razy próbował, drażniąc je, zabawić pana, ale stworzenia te zuchwałe, nie szanując jego dostojęstwa ni stroju, zębami wyszczerzonymi kłapiąc i burcząc nań, odstraszyły karła, który musiał ustąpić.

Cały niemal obiad przeszedł bez rozmowy, w milczeniu, tylko głosami z izby czterdziestu stołów dochodzącymi przerywany. Niewiasty szeptały do siebie, król parę słów zamienił z opatem, królowa go kilka razy o bliskie święta kościelne spytała.

Proste i niewykwintne jadło, które roznoszono obficie, nasyciło gości wprędce, wypróżniały się misy, kubki z miodem i winem gościom zaczął krążyć...

król też spełniał je chciwie i dopiero pod koniec uczy z weselszą nieco twarzą ku współbiesiadnikom się obrócił.

Rozdział 5.

Po uczcie, w podwórcu zamkowym próbowano koni, łuków i oszczepów,

wyprawiano rodzaj małych turniejów, których zwyczaj już na dworze cesarskim naówczas się ustalać zaczynał. Niewiasty ustąpiły zaraz do komnat swoich idąc szyć, w krosnach prząść lub zabawiać się śpiewem i grammi. Król wyszedł nieco na przedsienie, aby się przypatrzeć igrzyskom młodzieży. Opat znikł udając się na modlitwę. Całe życie zamkowe skupiło się w dziedzińcach, gdzie się popisywali królewscy komornicy, służba rycerska i niektórzy z gości podochoconych. Każdy z nich miał albo oręż nieco inny, lub sposób władania nim odmienny, więc próbowano i chadzano o lepsze, a kto górę wziął, temu okrzykami prym dawano...

i drudzy zaraz imali się tejże szermierki. Ścigano się końmi, wyzywano na bary, a gawiedź z dala się przypatrywała.

Gdy się to działo w podwórcach, w małej izdebce przy dworcu, na rogu zabudowań, siedziało dwóch ludzi, w których z ubioru poznać było można duchownych.

Jeden z nich wychudłym był i przygarbionym, twarz miał żółtą, zasepioną i napiętnowaną jakąś zgryźliwością kwaśną i gniewną. ściśnięte usta jego wyrażały kryte szyderstwo i nieubłaganą złośliwość. Skulony siedział u stołu, na którym widać było rodzaj pulpitu i obok niego leżące narzędzia, jakich naówczas do pisania używano; natarte farby w miseczkach, pióra i pędzle, noże i zrzynki pergaminu i sznury jedwabne i kawały wosku. Ogromne, wyschłe, posmolone ręce z długimi palcami trzymał ściśnięte pod brodą podpierając nimi głowę, której siwe błyszczące oczy zwrócone były na siedzącego naprzeciw człowieka.

Ten zdawał się świeżo przybywać z długiej podróży. U drzwi stał kij krzywy, futrzana leżała czapka i płaszcz czarny, lisami podbity. Był to mężczyzna w sile wieku, duchowną suknią okryty, ale do kapłana skromnego niepodobny twarzą, barczysty, postawy rycerskiej, zuchwałego wejrzenia, twarzy okrągłej i jakby nalanej. Czarna suknia i wygolona głowa same tylko w nim duchownego wskazywały. Trzymał się, jakby do szat, w które był odziany, nie nawykł, jak by ciągle miecza szukał braknącego mu u boku.

Wyjawszy zakonników, nie było też naówczas rzadkością wyższych

dostojników Kościoła widywać we zbroi, przy mieczu, na koniach i łowach. Wielu biskupów, jako panów świeckich obszernych państw ponadawanych Kościołowi i im podległych, chadzali nawet na czele swych wojsk na ich obronę.

Mężczyzna, który stołek zajął naprzeciw zgarbionego księżyny siedzącego u pulpitu, zdawał się jednak być raczej zakonnikiem niż świeckim kapłanem. Krój jego sukni przypominał mnichów reguły świętego Benedykta. Odzież na nim, długą podróżą zapewne zszarżana była i powalana.

W izbie, w której ci dwaj zasiadali, na kominie płonął ogień już zaniedbany i resztki głowien dojadający, mrok w niej panował. Ubogą była jak cela mnisza i w wygodniejszy sprzęt nie obfitowała. Na stole w prostej misce glinianej widać było szczątki nie dojedzonej ryby i okruszyny porzuconego chleba.

Dwaj rozmawiający pochyleni ku sobie siedzieli cicho, mierząc się wzrokiem i mieniając skąpe słowa.

—Mówicie — mój ojciec szeptał skulony księżyna, który tu był gospodarzem

— że was tu czci najgodniejszy mój dobroczyńca, biskup merseburski, przysłała.

Chcę temu wierzyć, chcę wierzyć, nie wątpię, lecz najdostojniejszy ten zwierzchnik zwykł zawsze czymś dla wiarogodności posłów swoich opatrywać.

Posłyszawszy te słowa naprzeciw siedzący mnich rzucił się niemal obrażony nimi, ciemne oczy jego zaogniły się, spojrzął na mówiącego dumnie, z góry i nic nie odpowiadając, ręką sięgnął za suknię, dobył z niej zrzynek mały pergaminu i ukazał go pytającemu.

Był to paseczek wąski, na którym żadnego słowa napisanego widać nie było, na wosku tylko stała wyciśnięta pieczęć jakaś, którą pochwyciwszy ksiądz do samych prawie oczów ją podniósł, aby się jej lepiej przypatrzeć i rozeznac na niej znaki. Po chwili dopiero głowę skłonił nic nie mówiąc i zrzynek oddał siedzącemu mnichowi, który mu się przypatrywał niemal gniewny. Zwycięski uśmiech przebiegł po jego ustach i pieczęć natychmiast zawinawszy włożył ją do bocznej kieszeni, przysunął się bliżej do siedzącego księdza i rękę mu kładąc na kolanie odezwał się żywo.

— Widzicie więc, że ze mną możecie mówić otwarcie i ufnie. Nie jest mi nic tajno, wiem, że służycie temu... królowi - (wyraz mu ciężko przeszedł przez usta), abyście skuteczniej przez to kościołowi i cesarzowi służyć mogli, wiem, że tu jesteście dlatego, aby z bliska patrzeć, co się snuje i zamierza. Wiem, że ten zjadliwy wróg imperii, choć sługą jego jesteście, panem waszym nie był i nie jest.

Wszystko wiem. Mówmy więc, jak przystało ludziom, co do jednego pocztu należą i po jednej stronie walczą.

Uderzył się ręką w piersi i dodał:

— Na mnie się wy nie zawiedziecie. Nie! Ja też krwią i sercem cesarski sługa jestem wierny, sługa kościoła, ja też tego półpoganina (zniżył nieco głos) nienawidzę, brzydzę się nim, chytrącością jego, przewrotnością, drapięstwem, chciwością. Wilk to nie syty i póki on żyje, cesarstwo spokoju mieć nie będzie nigdy... Przychodzę do was, ażeby z bliska rozpoznać, co się dzieje, i odniósł to tam, gdzie myślą i pracują nad odzyskaniem zagrabionych przez niego krajów. Bóg sprawiedliwy, dodał, cierpi on długo, wynosi nawet przestępcę nieraz, ale na to, aby go z większej stracił wyżyny w przepaście.

Mówiąc tak, mnich się zapalił i pięścią silną, grubą o stół uderzył. Siedzący naprzeciw niego drgnął

cały, jak gdyby w tym ruchu znalazł przypomnienie czyjegoś obyczaju.

Nastąpiło milczenie. Kościstymi palcami powiódł po czole i twarzy ksiądz, westchnął i odezwał się bojaźliwie, po cichu.

— Żle jest u nas, źle! Chytry ten wąż poczyna sobie zbyt rozumnie,

chytrzejszy nadeń doradca, opat tyniecki Aron, prowadzi tego żubra za rogi. Bez opata on by się dawno rozbił gdzieś o mur głową. Na próżno się tu staramy, zabiegamy, aby nieufność obudzić, aby zrodzić w nim podejrzenie, by go usunąć, a wkraść się w łaski. Opat jest lisem przebiegłym. Ten radzi, ten prowadzi, ten czyni wszystko, a ja, cóż ja mogę? Patrzą tylko i zżymam się. I, nie można rzec inaczej, rozum w tym jest, a wielki. Wierniejszych sług kościoła nie znajdziecie na oko nad nich nigdzie, ale oni by swój kościół osobny chcieli mieć u siebie! Z

magdeburga, gdzie cesarz zwierzchność postanowił, oni rozkazów odbierać nie radzi. Swoje biskupstwa i arcybiskupie katedry stanowią samowolnie, pod pozorem, że Otto III na to pozwolił. Już i tę nitkę, co ich z cesarstwem wiązała, zerwali. Jawna rzecz, że Bolesław cesarstwu niczym nie chce być dłużnym, w niczym zależnym od niego. On! On śmie się sam zwać cesarzem na wschodzie, jak gdyby już i tak dwóch ich nie było, w Rzymie i Bizancjum. Duma jego i samowola daleko sięga, dalej niż oręż...

— A wszystko to — przerwał wybuchając mnich — wszystko to na krwi, na mordach, na łupiestwie ugruntowane. Wiecie przecie, jak poczynał? Gdy mąż zacny, stary Mieszko umierał, nie był Bolesław panem całego kraju, musiał go wedle woli ojca ostatniej dzielić z trzema braćmi, z Ody zrodzonymi. Winni mu oni byli tylko, jako najstarszemu, cześć i posłuszeństwo, przymierze i pokój, ale każdy z nich na swojej ziemi był panem. Trzy lata trwał niepokój, ale ciągnęła walka i męka, dopóki pobożnej królowej Ody nie wygnał precz i synów jej z nią nie wypędził razem, aby ich dzielnice sobie przywłaszczył. A któż Odyłona i Prybuwoja oślepił, aby im też wydrzeć ich ziemie? I synów Ody ten sam los by spotkał pewnie albo gorszy, gdyby się zawczasu nie ratowali, z matką uchodząc razem.

— Czy we trzech nie mogli stawić czoła jednemu? — zapytał ksiądz.

— Oni? Otoczeni byli zdrajcami — ciągnął mnich dalej, co raz się bardziej unosząc — gdzie nie sięgnął orężem, tam złotem, obietnicami ujmował. Dwór królowej Ody, jej synów, wojsko, urzędnicy, wszystko zawczasu przekupione było i zjednane. Jedna tylko zostawała ucieczka. Oda schroniła się do Rzymu, do Ojca Świętego, papieża, a nie mogąc odzyskać już tego, co do niej i synów należało, wszystkie te ziemie, jej i dzieciom wydarte, złożyła w ofierze Apostolskiej Stolicy.

To przywłaszczyciel, który siedzi na papieskiej ziemi.

Ksiądz słuchający westchnął.

— Tyle lat upłynęło od tych czasów — odezwał się — już na to nie ma ratunku.

— Dlaczego? — podchwycił mnich. — Ofiara uczyniona była Apostolskiej Stolicy, aby te ziemie z jej rąk, jako jej należne, otrzymali na powrót synowie Ody.

Oda żyje przecież do dziś dnia w klasztorze w Quedlinburgu, a jej dzieci...

— Cóż się stało z jej synami? — zapytał słuchający — pomarli?

— Nie, żyją. Mieszko, najstarszy, jest przy cesarzu, chociaż i tam z obawy trucizny i zdrady (bo Bolesław i na dworze cesarza ma swych ludzi.), i tam imię swe i dostojność ukrywać musi.

— Bolesław swoich ludzi ma wszędzie — rzekł ksiądz cicho — oko jego sięga daleko i ręce ma długie.

— Drugi — kończył mnich — włożył suknię duchowną, trzeci się tuła po Niemczech czekając pory dogodnej. A lata upływają, upływają i nic nie przynoszą z sobą.

To mówiąc westchnął i załamał dłonie. Żywe przejęcie się tym, co mówił, przybyłego posła merseburskiego biskupa obudziło znac ciekawość słuchacza, coraz pilniej począł się w milczeniu w gościa wpatrywać. Ten tak był uniesiony zgrozą i niechęcią, iż nie zważał nawet na zwrócone ku sobie oczy i wnet znowu począł mówić dalej.

— Przecież mu się zawsze tak szczęścić nie może! Raz mu się noga

pośliznąć musi, jak mu się pośliznęła w Czechach i na Rusi. Pragę utracił

bezpowrotnie.

— Dzień i noc myśli o jej odzyskaniu! — zawołał ksiądz cicho, potrząsając głową. — A nie maż on tam całego zastępu Sławników, z których tu jeden wisi przy dworze? Ma on swoich i w Kijowie, i wszędzie.

Zzymnąwszy się wstał ze stołka gość i rzucił rękami jakby milczącym przekleństwem.

— Więc nie ma nań rady? — zawołał. — A nie można jawnie, nie godziż się przeciw temu zdrajcy i okrutnikowi stawić sideł jak na zjadliwe i krwi chciwe zwierzę?

Ksiądz nierychło odpowiedział:

— Sam on sobie dół może wykopie...

Wyrazy te obudziły w mnichu zajęcie i ciekawość gorącą, usiadł znowu na stołku i przybliżył się do księdza.

— Sądzę — szeptał ten dalej — że chyba pobożność królowej i jej cnoty dotychczas ratowały go od zguby. Ale tej czcigodnej pani, córce Dobromira, pono się gotuje los córki Rygdaga i matki Bezpryma, dni jej tu policzone. Nie dość temu bykowi niewolnic i nałożnic, zwiędła królowa już mu się co dzień więcej przykrzy.

Gdy jej na grodzie nie stanie, piorun z niebios uderzy w to gniazdo nieprawości.

— O! Może być... może — uśmiechając się złośliwie, dokończył szeptem ledwie dosłyszalnym z widoczną radością ksiądz, — Tak! Może to być! Piękna córka markgraфа Ekarda nie darmo bawi na naszym dworze. Chce się jej bardzo zostać królową, wyzywa króla oczyma, kusi go słowy, pociąga młodością i wdziękiem szatańskim. — To mówiąc splunął stary i przeżegnał się. — Są znamiona, że król ku niej powziął namiętność wielką.

— Czyż dlatego miałby aż jej ślubować? — odparł mnich. — On, co sobie pozwala więcej niż cesarz i inni królowie, sądząc, że dlań kościół będzie mieć prawa osobne.

— O! On by się pewnie obszedł bez kościoła i błogosławieństwa —

dokończył ksiądz — ale Oda chce korony i imienia żony, a nie da mu się do siebie zbliżyć inaczej. Co dzień go sobie więcej jedna, co dzień go kusi potężniej. Szatan by w niej siedział, a nie byłaby niebezpieczniejszą.

— A opat Aron cóż na to, świątobliwy ten człek? — szydersko mnich się odezwał.

— Patrzy i milczy, bo mu się jeszcze król z tym nie zwierzył. Sroma się go.

Opat surowym dlań jest. Ja wiem najlepiej, jak stoi sprawa. Aron dla mnie nie ma tajemnic, ja przez niego zaglądam jak przez okno w królewską duszę.

Mówiąc uśmiechnął się chytrze, dziwnie, i nożykiem ostrym nie myśląc rzezał stół, jakby nim co innego chciał krajać.

— Kogo nie zgubi głupota, bo to mąż rozumu i woli wielkiej — ciągnął dalej

— tego obali namiętność, zwycięży krew, zje ryczące zwierzę, które w nim samym siedzi. Czekajmy trochę, a będziemy widzieli świętą królowę biorącą zakonną zasłonę i młodą panią wodzącą starego lwa. Naówczas Pan dopiero rękę swą spuści na cudzołożnika i zgniecie olbrzyma. A tymczasem, mówił na przemiany głos zniżając, to podnosząc mimo woli, tymczasem on sam sobie czyni nieprzyjaciół

nowych, jak gdyby ich już nie miał dosyć.

Słuchacz ciekawie chylił się ku mówiącemu chwytając każde jego słowo z upragnieniem.

— Wszystko się powoli składa na zgubę jego — ciągnął opowiadający ze zjadliwym wyrazem mściwej uciechy. — Los chciał, by się jedna można rodzina rzuciła na swawolę, Jaksowie, którzy się czasu wojen nauczyli być gwałtownikami, napadli i zamordowali kupca tam jakiegoś. Król ich porwać kazał i dał pościnać.

Z Jaksami spokrewnione są rody możne, wszystko to, gniewne teraz, pierzchnęło od króla i dworu precz, wszystko to wrogiem mu się stanie. Strata niemała!

Groźna! Prosiła za Jaksami królowa, klęczeli i prosili inni, nie pomogło nic; litości tam w tym sercu nie szukać.

To mówiąc westchnął ksiądz i jakby się opamiętał, że za dużo powiedział, zamilkł nagle.

Jedna tylko rzecz wątpliwa — dodał namyśliwszy się i po cichu. — Kazał

ich ściąć, ale czy ich ścięto? Badałem dobrze, nie wiadomo, gdzie i kto spełnił

wyrok królewski. Nuż się ich odważono ukryć i ocalić? Króla okłamać? Któż by się to ośmielił uczynić, chyba jedna ta miłosierna i pobożna królowa. A jeśli ona to uczyniła, żal mi jej: tajemnica się nie utrzyma, król jej nie przebaczy, wystąpi naówczas namiętność dla Ody, potępi Emmildę i dopełni miary i kropla ostatnia kielich gniewu pańskiego domierzy.

Zatarł ręce.

— Padną gromy!

— Ale mogłaby się na to ważyć królowa? — zapytał mnich zdziwiony. —

Ona go zna przecie.

— Tak, ale córka Dobromira jest pobożną niewiastą, gotowa siebie

zaofiarować dla ocalenia dwu żywotów.

— Wiecie pewno, że się tak stało? — spytał mnich.

— Nie wiem, nie, proste to są domysły tylko — rzekł ksiądz żywo — ale po nici do kłębka się idzie, a zdaje mi się, że albo nitkę mam w ręku, lub ją rychło pochwycę. Jeżeli się to stało, opat Aron musi wiedzieć o tym, a jeśli on wie, ja wiedzieć będę, ja dobędę z niego! Gdy ja się dowiem, dokończył mruczając, na ówczas uczynię, co mi mściwa boża prawica wskazuje. Naówczas Oda rychlej może tronu dostąpi, król kochanki, a Bóg wyrzuci zemstę swoją, bo nie będzie komu od niej modlitwą zasłaniać!

Milcząc z uwagą wielką słuchał mnich, nieco zadumany, zdziwiony trochę; wyzywał dalsze zwierzenia nie wając się je nawet natrętnymi przerywać pytaniami. Z kolei opowiadający ksiądz, nie będąc już panem siebie, coraz gorętszemu uczuciu dawał się unosić, jak wprzódy mnich, gdy na Bolesława narzekał.

— Jeżeli się tak stało — dodał jeszcze — jeżeli się stało, jak się domyślam, tajemnica długo się utrzymać nie może ani się zachowa. Gdzież ich podzieją?

Gdzie ukryją? Jak im ułatwią ucieczkę? Nie mogą się obyć bez ludzi, ktoś podpatrzy a szepnie słowo.

— Sądzicie, że się tak stało z tymi Jaksami? — powtórzył mnich.

— Domyślam się, domyślam tylko, ale rzadko się mylę — rzekł ksiądz —

królowa mogła się na to odważyć, serce jej miłosierdzia pełne, każdą krew obmywa łzami; na ostatek

jest przy niej córka Sieciecha, z którą jeden ze skazanych na stracenie miał się żenić. Ojca i królowę mogła skłonić. Zamięsza się ich wiele.

Zatarł ręce ze złośliwą radością.

— Jakież mogą być skutki? —szepnął mnich.

— Odrzucenie królowej za przeniwierstwo — mówił ksiądz — a potem

panowanie młodej niewiasty, która nam jest oddaną i cesarską, wierną poddanką.

Jej młodość będzie dla niego zgubą, zniewieści go i siłę mu odbierze.

— Lecz Jaksowie, na których nienawiść rachowaliście, zostaną przejednani?

— wtrącił mnich.

— Wdzięczność zachowają chyba dla królowej, co ich ocaliła, jeżeli w istocie potrafiła to uczynić, ale dla kata tym większą nienawiść.

Tak rozpoczęta rozmowa, gdy się oba z sobą coraz więcej porozumiewali, stawała się też poufniejszą co chwila. Skulony księżyna, którego na dworze znano pod imieniem księdza protonotariusza Petrka, był jedynym na dworze królewskim (z wyjątkiem duchownych na nim przebywających), co pisać i czytać umiał. Był on tu niewidomym szpiegiem niemieckim. Poseł merseburskiego biskupa dobył z niego, co miał w duszy. Nie zataił przed nim, jakimi uczuciami dla króla był

ożywiony. Żmija to była, odgrzana na miłościwym łonie łask pańskich, zazdrosna wpływu opata Arona, knująca jego zgubę, spiskująca z wrogami, gotowa na wszystko dla dogodzenia zemście i uzyskania wyższego stanowiska. Protonotariusz umiał się jednak tak zręcznie i chytrze obracać, a kryć z tym, co w duszy nosił, że nikt, nawet (jak mu się zdawało) opat Aron, nie śmiał go posądzać o przecherstwo.

Po długich szeptach, gdy się pytań i odpowiedzi przebrało, ksiądz Petrek, zupełnie ubezpieczony ukazaną mu pieczęcią, wylawszy się przed posłem ze wszystkim, co czuł i myślał, zapytał opamiętawszy się, że nie wiedział jeszcze, z kim miał do czynienia.

— Mój ojczu, a wy skąd przybywacie? Z jakiego jesteście klasztoru? Jakiego narodu? Co was tu do nas przywiodło? Czy sam rozkaz biskupa? Czy ciekawość widzenia tej smoczej jamy? Czy inny jeszcze cel jaki?

Mnich usłyszawszy to pytanie stanął w postawie dumnej, rozprostował się, podniósł głowę, spojrzął z góry na pytającego, jakby się namyślał, co mu ma odpowiedzieć.

Oczy księdza Petrka potwierdzały pytanie. — Któż wy jesteście?

Bolesny uśmiech przeleciał po ustach mnicha, zbliżył się do księdza, pochylił mu się do samego ucha

i rzucił w nie jedno słowo.

Musiało ono mieć wielkie znaczenie, gdyż usłyszawszy je, zerwał się nagle protonotariusz, załamał ręce drżący i z trwogą popatrzał na uśmiechającego się gościa. Na twarzy bladej księdza Petrka niedowierzanie, zdumienie, strach malowały się na przemiany, patrzył strwożony to na drzwi, to na gościa, to po pustej izdebce swojej.

— Na rany Pańskie! — zawołał wreszcie głos tłumiąc. — Lecz jeśli tak jest, o czym nie wątpię — (skłonił głowę) — jeśli tak jest, jak mogliście stopą przekroczyć tego zamku bramę?...

— We krwi mamy zuchwalstwo! — odezwał się mnich uśmiechając się. —

Pomnijcie, ile to lat nikt tu mojej nie widział twarzy. Któż by zresztą mógł co podobnego przypuścić? Twarz ta z młodzieńczej na wygnaniu miała się czas odmienić w zestarzałe, pomarszczone oblicze, na którym przeszłość się zatarła do szczytu. Mógłbym się oko w oko spotkać z nieprzyjacielem matki rodu mojego i nie zadrżałbym, bo nawet jego wejrzenie jaszczurcze w tym brudnym mnichu nie poznałoby człowieka, który się w nim ukrywa...

— Nie mówcie tego! Nie mówcie! — przerwał ksiądz Petrek. — Mylicie się.

Ten człowiek wzrokiem przebija na wskroś jak włócznią, widzi czarownik pod ziemią, zgaduje to, czego nie wie. Szatana ma na posługi, co mu szeptem, a dość by było domysłu, podejrzenia tylko, aby was skazał jak Jaksów.

— Nawet suknia ta by mnie nie obroniła? — rzekł mnich podnosząc czarną połę habitu.

— Suknia? Wątpię — odparł ksiądz. — Życie by może darował, ale oczów byście nie uratowali. Oślepił trzech własnego rodu, a miałby czwartego oszczędzać?

Mnich mimo gróźb tych nie zdawał się bynajmniej strwożony.

— Przeszedłem tu — rzekł — własnymi oczyma widzieć, co się dzieje, czy możemy na przyszłość rachować? Nastręczać mu się nie mam potrzeby.

— A nie będziecie mieli sposobu go uniknąć, jeżeli tu zostaniecie choćby do jutra — rzekł ksiądz Petrek. — Chce on uchodzić za najwierniejszego syna kościoła, czci i szanuje duchownych, także i najuboższego kapłana nie pominie nie ucałowawszy ręki jego. Jeżeli się dowie, że mnich wędrowny przybył do Poznania, zawezwie was do stołu swego, zmusi przyjąć dar jakiś. Zechcecie uniknąć go, podejrzenie się obudzi.

Mnich namyślać się począł, czoło zmarszczył zdając się ważyć, co ma

uczynić. Milczał długo.

— Któż mu tam ma donieść o mnie? — rzekł w końcu. — Dwór ludzi pełen, duchownych jest mnóstwo, wątpię, by mnie postrzeżono.

— A ja pewnym jestem tego — odezwał się ksiądz żywo. — Nie sądźcie, aby tu co uszło bacności ludzi, którzy nic do roboty nie mają nad śledzenie cudzych czynności. Bolesław wie nie tylko, co robimy, ale nawet, co myślemy. —

Rozśmiał się dziko. — Oprócz mnie! Ale ja twarzą przed nim padam, a kraj szaty opata całuję i prochy ścieram przed nimi! Ja donoszę, jestem gorliwy, czernię, kłamię. Bóg wszechmogący mi odpuści, bo dla Jego służby to czynię. A cóż ja tu znaczę? Każą mi pisać, co opat Aron podyktuje, jestem posłusznym; piszę nawet na dwie ręce, bo posyłam i tam, gdzie o tym wiedzieć potrzebują. Zresztą maluczki służka Boży, stworzenie biedne i drobne, ocalam się tym, że mnie nie widać nawet.

Nieraz — mówił dalej ze śmiechem — nieraz szukano tego zdrajcy, co wydał

tajemnicę, śledzono na wsze strony...i ja pilno też szukałem razem z nimi, nikomu ani na myśl nie przyszło mnie posądzać!

— A gdyby? — zapytał mnich.

— Gdyby? Mówicie? — dodał ksiądz Petrek spokojnie. — Nie jestem ja

kościółka mojego sługą, obowiązany zań dać życie? Wiem, że za duszę moją odprawiono by dziesięć razy tyle mszy, ile mam lat, o duszy zbawienie trwogi nie mam. Miałżebym dbać o mizerne ciało? Jestem jak żołnierz postawiony na straży, który wodzowi winien życie i daje je z ochotą.

Pokazał suknię swą.

— Wziąłem tę zbroję i walczyć muszę do końca. — To mówiąc przeżegnał

się, ręce złożył i zdał się modlić w duchu.

Twarz jego, która w czasie rozmowy często odrażała szyderstwem i złością tłumioną, wypogodziła się, stała spokojną a bez barwną.

Chytre to człecze było w istocie żołnierzem wpadającym chwilowo w zapał

bojowy, lecz rychło odzyskującym krew zimną, aby nie utracić siły.

I znowu po cichu rozpoczęła się rozmowa, a trwała długo, gdy nagle do drzwi zapukano, otworzyły się one i najstraszniejsze zjawisko, jakiego się oba mogli lękać, stanęło w progu; wszedł wolnym krokiem, rozglądając się, opat Aron.

Ujrzawszy tu nieznanego mnicha zdumiał się zrazu mocno, ksiądz Petrek pobladł nieco, obcy zakonnik stał prawie nie poruszony usiłując pokorną przybrać postawę, o co mu nie łatwo było. Nim opat miał czas zapytać o niego, podszedł ku Aronowi, ukląkł przed nim, obyczajem mnichów skłonił głowę i prosił o błogosławieństwo.

Opat, niezmiernie zdziwiony tym zjawiskiem, zrazu, zmilczał i pytanie zamarło mu na ustach. Pobłogosławiwszy klęczącego i dawszy znak, aby powstał, ksiądz Aron zapytał go po łacinie.

— Skąd to jesteście? Co was tu przywiodło?

— Z Korbei jestem odpowiedział mnich, imię moje Benedykt, mam od

przełożonego pozwolenie wędrowania i nawracania. Ciekawość i pobożność prowadziła mnie do Trzemeszna naprzód, a teraz tu, Najprzewielebniejszy Ojciec.

Aron długo się weń wpatrywał.

— Gdyście tu przybyli, bracie mój — rzekł — jużbyście pozostać powinni.

Duchownych zawsze jeszcze mamy mało na nasze potrzeby, kraj na pół pogański, nawracających apostołów dobrej woli nam braknie. Świątobliwy król nasz obsypuje ich złotem, rad każdemu, co przybywa. Dlaczegoż byście nie mieli pozostać z nami, jeżeli gorliwość was tu przywiodła? Pole szerokie...

— Dlatego, Ojciec Najprzewielebniejszy — odezwał się mnich — iż

uczyniłem ślub powrotu i przełożony nasz rachuje na mnie. Pokłonię się w Gnieźnie u grobu świętego męczennika i powracać muszę.

Opat ciągle się z wielką ciekawością wpatrywał w mówiącego. Głos,

postawa, rysy twarzy widocznie w nim jakieś myśli obudzały, które się w oczach i na czole malowały.

— Jeżeli pozostać nie zechcecie — odezwał się po przestanku —

przynajmniej gościem bądźcie u króla, który was szczerze obdarzy, u królowej, pobożnej pani, która świadczy wiele duchowieństwu i kościołom.

—Przebaczcie — rzekł mnich żywo — ja wedle ślubu mego dziś dalej w drogę iść muszę. Ślubu łamać się nie godzi.

I w rękę pocałował opata kłaniając mu się nisko.

— Pójdę nieszporne pacierze odmówić do kościoła, a potem... w drogę.

Skłonił się i nie czekając już, w obawie, aby go nie zatrzymywano, poszedł

po swój kij, płaszcz i czapkę, chwycił je prędko i za drzwi się wysunął. Pośpiech ten był uderzający. Opat i ksiądz Petrek poprowadzili za nim oczyma.

— Zaprawdę! —odezwał się po wyjściu jego opat Aron — zaprawdę, coś

jest dziwnego w tym mnichu. A wy, księżo Piotrze, nie uważaliście tego?

— Ja? — z pokorą wielką i zdumieniem ozwał się ksiądz protonotariusz. —

Ja? Oprócz wielkiej świętobliwości nic mnie w nim nie uderzyło.

— Osobliwsze w nim podobieństwo nie tylko twarzy, ale głosu i ruchów, do naszego króla Bolesława! Gdy przemówił, uląknęłam się. — dało mi się jakby snem dziwnym to widzenie, uszom moim wierzyć nie chciałam. Rodzeni bracia podobniejsi być nie mogą!

Ksiądz Petrek ramionami ruszył.

— Nie śmiem przeczyć — rzekł — ale ja tego wcale nie spostrzegłam, choć dosyć z nim mówiłam długo.

— Dziwne! Dziwne! — powtórzył opat. — Skądże i jak dawno się on tu zjawił?

— Przed godziną może — rzekł zimno protonotariusz. — Prosił mnie, aby się mógł nieco w izbie ogrzać i odpocząć.

— Trzeba go było nakarmić i dać znać o nim do dworu. Król nierad będzie, gdy się dowie, że zakonnik minął dwór jego nie obdarzony.

— Chciałam to uczynić, ale mi wzbronili — odparł ksiądz Petrek z wielką ciągle pokorą i przesadnymi pokłonami. — Wypytywałam go pilno o cel podróży, zdaje się, że innego nie ma nad pobożną modlitwę u grobu świętego apostoła naszego. Mnich świętobliwy i skromny, o świecie nie wiedzący wiele lub nic prawie.

— Przyniosłeś jakie nowiny z Niemiec? — pytał opat.

— Żadnych. Widać, że ich nie szukał i pogardzał światowymi wieściami.

Nie obchodzą go one. Od grobu świętego Maurycego przywędrował tu prosto.

— Mówił co o Magdeburgu?

— Nie pytałam go o nic — zbył krótko ksiądz Petrek.

Opat się zadumał głęboko.

— Któż wie! — rzekł jakby sam do siebie. Rozmaite postacie zwykły

przybierać podstęp i zdradę. Nie ręczyłbym za to, że pod tą suknią mnicha ukrywać się może jeden z synów Ody, czyhających na spuściznę Bolesława.

Usłyszawszy to ksiądz Petrek podniósł do góry ręce i wykrzyknął jakby z podziwu.

— Syn Ody! Miałżeby który z nich odwagę cisnąć się sam w szpony

zwycięskiego orła naszego? Lwu w paszczkę?

— Któż wie? Kto wie? — powtarzał opat zamyślony i niespokojny. —

Podobieństwo do króla nadzwyczajne, głos ten sam. Trzeba posłać po mnicha, aby mu się bliżej przypatrzeć.

Położył rękę opat na ramieniu protonotariusza i w oczy mu patrząc szepnął cicho.

— Idźcie, znajdziecie go w kościele na wieczornej modlitwie. Proszę was, zawezwijcie go do dworu lub, jeśli by się wahał, zaproście do siebie. Bliżej zbadać go potrzeba. Jeden z synów Ody wdział, jak wiemy, suknię zakonną. Coś mi to apostołstwo mnicha samotnego dziwnie wygląda. Idźcie! idźcie!

Posłuszny ksiądz Petrek zakrzętnął się natychmiast spełniając rozkaz przełożonego swojego. Ksiądz Aron wyszedł krokiem powolnym. Gdy się za nim drzwi zamknęły, z rękami złożonymi stał długo ksiądz Petrek.

— Nie jestże to cud siły jakiejś nieczystej, że ten człowiek wszystko na wskroś przenika! Odgadł go! Odgadł!

Powtarzając ten wyraz pospieszył zaraz protonotariusz kierując się ku tumowi, który cały dzień do późnej nocy stał otworem.

Kościół był pusty, jedna lampa gorejąca wiecznie płonęła przed ołtarzem.

W pośrodku, na czterech grubych słupkach kamiennych oparty, stał nieforemnie wyciosany grobowiec, na kształt skrzyni ogromnej, zawierający zwłoki króla Mieszka. Tu także dwie lampki paliły się rzucając mdłe światelko.

Przy tumbie tej znalazł wchodzący ksiądz Petrek klęczącego z głową o kamień opartą mnicha. Gdy na szelest kroków jego podniósł się nieznamy, blada twarz jego okryta była łzami, ręce mu drżały. Szybko, żegnając się, wstał od grobowca ujrzawszy księdza i uspokojony podszedł ku niemu.

— Na Boga litościwego! — zawołał doń ksiądz Petrek — uchodźcie co

najprędzej, ksiądz opat podejrzenie ma, a raczej, chytry wzrok bazyliuszka, poznał

was, znalazł w rysach waszych i głosie podobieństwo do króla, powiedział mi:

— To jeden z synów Ody. — Kazano mi was ściągnąć do zamku albo do mnie, dla badania. Uchodźcie niezwłocznie, spieszcie! Ja powiem, że was nie znalazł, nie widział. Na podzamczu znajdziecie schronienie.

I do ucha mu się nachylając szeptać coś zaczął. Mnich ręką skinął obojętnie.

— Ale mam ja tu wiernych naszych sług dosyć — rzekł uśmiechając się —

bądźcie spokojni o mnie. Bywajcie zdrowi. Bóg z wami.

Ksiądz Petrek stał jeszcze we drzwiach tumu, gdy mnich szybkim krokiem wyszedłszy z kościoła, z widoczną miejsca świadomością, ciasnymi przejściami udał się w głąb zamku i z oczów mu zniknął.

Odetchnął protonotariusz lżej i powolnym krokiem do swojej celi powrócił.

Niedługo potem pacholę przyszło od księdza opata z wezwaniem księdza Petrka do niego.

— Cóżście uczynili? Gdzie mnich? — zapytał Aron.

Ruchem rąk rozpaczliwym odpowiedział posłany.

— Nigdzie ani śladu! I ja, i służba kościelna w tumie, około niego na próżnośmy mnicha szukali, ani na grodzie, ani na drodze, ani w okolicy śladu ni wieści nie dopytaliśmy. Znikł, nie wiem jak.

— Znikł! — szepnął Aron.

Popatrzył pilno na księdza Petrka i z dziwnym twarzy wyrazem dodał.

— Nie ma więc potrzeby nikomu o nim wspominać, rozumiecie; tym

bardziej, iż trochę winy na was spada, żeście o duchownym obcym natychmiast znać mi nie dali.

Ksiądz Petrek chciał się tłumaczyć, lecz opat dał znak ręką, by zamilkł.

— Bóg z wami, idźcie w pokoju!

Rozdział 6.

Ksiądz Petrek oprócz swych obowiązków pisarza, którymi wiele do

czynienia nie miał, bo w wolnych chwilach nawet przepisywanie kanonów bardzo szło opieszale spełniał też inne duchowne na zamku posługi, nie tak może z gorliwości wielkiej, jak raczej, aby się wcisnąć wszędzie i dowiedzieć o wszystkim, co go obchodziło. Najmniejsze drobnostki nie były mu obojętne.

Obchodzić był zwykł więzienia niosąc pociechę duchowną winowajcom i

skazanym, nawracał po trosze rozpuszczonych wojaków, apostołował między czeladzią pogańskimi jeszcze przesiąkniętą przesądami. Służba zamkowa męska i niewieścia wszelkich stopni była mu poufale znajomą. Mimo pozoru wcale nie ujmującego, przebiegły człeczyna umiał sobie jednać ludzi rozmaitymi przysługami, dobrym słowem, datkami i dla niego chętnie się wszystkie usta otwierały.

Znano też jego stosunek z opatem Aronem, u Bolesława

wszechwładnym, przyczyniało się to do nadania mu powagi.

Nie było więc dziwnym ukazanie się księdza Petrka w żadnym zakątku

zamkowym, prawo wniknięcia swobodnego, które suknia sama dawała, służyło mu wszędzie.

Domyślano się tam często rozkazów z góry, gdzie ich wcale nie było.

Ksiądz śmiało korzystał z przywilejów swego stanu i położenia pewien, że mu tego nikt za złe nie weźmie.

Nie zadziwiło też nikogo, gdy ksiądz pisarz — jak go pospolicie na dworze nazywano — tegoż dnia wieczorem błądząc po podwórzach znalazł się u wniknięcia do ciemnic.

W szyi otwartej siedział w kozuchu stróż więzienny, a naprzeciw niego oprawca. Pierwszy z nich jadł coś z garnka, który starannie kulił między kolanami, drugi mu się przypatrywał. Byli z sobą w dobrej z dawna przyjaźni.

Zobaczywszy księdza przed sobą oba natychmiast powstali. Ryba na bok usunął garnuszek, przyszli przyklękując pocałować go w rękę i odebrać błogosławieństwo. Ksiądz się zwrócił do kata.

— Gdzie Jaksowie siedzą? — zapytał jakby omyłką.

Ryba i kat popatrzeni na siebie.

— Ano ich do dnia jeszcze wyprowadzono na stracenie! — ozwał się Ryba.

— Stracono ich? — spytał ksiądz Petrek.

Ryba ramionami poruszył, a kat się odezwał:

— Jam ich nie ścinał ani wieszał, co ja wiem!

— A któż? — mówił przybyły.

Ryba i jego towarzysz pomyśleli, nim się na odpowiedź zdobyli.

— Któż to tam wiedzieć może! — szepnął Ryba.

— Gdzież ich poprowadzono? Za okopy? — badał ciekawy ksiądz.

— Ciemno było jeszcze, nie wiem — rzekł Ryba powoli. — Dlaczego ich poprowadzili? Gdzie? Któż to wie. Co nam do tego.

— Jeszcze tego nie bywało nawet — odezwał się oprawca — żeby gdzie

indziej tracono panów jak tu!

Wskazał na głąb więzienia.

— Wieszają i wbijają tu za okopami!

Zmilkł pytający, zagadnął potem dla niepoznaki o kilku innych uwięzionych, po krótkiej chwili skinął głową dwom drabom i uszedł na stronę.

Ryba i jego przyjaciel usiedli na pieńkach, stróż powiódł za odchodzącym oczyma, śmiejąc się jakby sam do siebie. Potem z towarzyszem patrzali sobie w oczy długo i głowami potrząsali prychając.

— Co ja mam gadać to, czego nie powinienem wiedzieć? — zamruczał kat.

— A mnie co do tego? Mnie tylko żal odzieży ich, co by mi była należała, a była coś warta! Nie i ta przepadła! Albo, albo — dodał śmiejąc się i głos zniżając. —

Wąchał ja dobrze, cały dzień, gdzie ich tracono, gdzie pochowano! Nieprawda! nie stracono i nie pochowano! Nieprawda! Licho wie, co się z nimi stało! jakby ich ścinać mieli, to kto by to lepiej zrobił nade mnie? Albo to nie wiedzą ludzie, że ja wołam za jednym zamachem łeb utnę, mieliby innego szukać, co dwa i trzy razy tnie, nim duszę z ciała wypędzi! He, he! Sam król jasny pan nieraz się dziwował i lubował, jak ja tnę. A kto potrafi lepiej? Kto lepiej? Ten Zyrkacz, co mu się ręka trzęsie. Niedoczekanie... Albo Chartak, co jak ścinał jednego zbójcę, ledwie go czwartego razu dobił, a i tak jeszcze głowa na skórze wisiała. Nieprawda! Nie ścinali ich. Nie.

Tu pochyliwszy się do stróża jął mówić poufnie i cicho:

— Jak się stąd wyprowadzili ja wstałem z barłogu, poszedłem za nimi. Nie w ślad, nie głupim. Opodał, na śniegu stopy było znać, bo świeżo poprószyło.

Królowej dwornia prowadziła i zawiedli ich do księżego domu, do izby na tumie.

Tam ich posadzili.

Począł się śmiać rad własnemu rozumowi.

Stróż się uląkł.

— Tst, ty głupi! — zawołał. — Nie plótlbyś. A tobie co do tego? Toć pewnie stało się z rozkazu króla i pana. Milcz i gębę stul.

Kat głową potrząsł, a oczy zmrużone śmiały mu się szydersko.

— Tyś głupi sam — rzekł. — Co ty wiesz! Co ty znasz! Drągiem drzwi zawalić, wody przynieść i tyle. Z tobą o tym i gadać nie ma co.

Ryba wcale się tym nie obrażając zajadał znowu z garnka, i uznaniem

wyższości swojego towarzysza spoglądając na niego, gdy ten jakby od niechcenia mruczał dalej powoli.

— Król! Królewskie przykazanie! Ale! to nie królewska rzecz, to

księdzowska. Księżdzie tu i od króla mocniejsi, robią, co chcą. Komu chcą życie odbiorą, komu chcą, je dadzą, komu chcą, je powrócą. Prawdziwi czarodzieje.

Dlatego, położył palec na ustach — i ja mówię milczeć! A co nam tam!

Głową potrząsł i zęby mu się śmiały w ustach otwartych.

— E! kiedy księżowska rzecz to ją księdzu można było powiedzieć —

odezwał się Ryba.

— Taki bo ty głupi na wieki! —zawołał kat. — Czy to on o tym nie wie, o co pyta? Oni o wszystkim wiedzą! A pytał, żeby próbować.

Stróż zagłębił się w garnuszku, widać było, iż sam uczył, że do odgadywania tajemnic stworzonym nie był. Westchnął i kończył kaszę wystygłą. Kat z triumfem podniósł czoło i szeptać zaczęli po cichu. W czasie rozmowy tej poufnej ksiądz Petrek szedł ku dworcowi królowej.

Otworzył sobie furtę wiodącą w podwórko, obejrzał się dokoła i

namyśliwszy nieco, dokąd się ma pokierować, nieznacznie kołując podsieniami udał się w głąb dziedzińca. Chód jego tak był ostrożny i cichy, ruchy tak mało widoczne, iż gdyby kto nawet znajdował się na podwórku, mógł go nie usłyszeć i nie dostrzec.

Jedne drzwi stały półotwarte a za nimi sień widać było ciemną. Ksiądz pisarz wcisnął się do niej z tą samą ostrożnością, tym samym chodem cichym i zapukawszy leciuchno, natychmiast bliskie drzwi do komnaty, w której licznych głosów szmer słyhać było otworzył.

Była ona dosyć obszerna, z jednej strony okienkami opatrzona, pod którymi rzędem krosna do szycia stały. Pod przeciwną ścianą ławę szeroką zajmowały prządki jednako ubrane, które tu jeszcze z kądzielami w rękach siedziały. Na kominie szerokim, naprzeciw ogień się palił wielki. W środku u stołu ciężkiego na nogach krzyżowych, zarzuconych różnym przyborem niewieścim, widać było kilkanaście różnego wieku dziewcząt, które znać tylko co od krosien powstały.

Były to królowej służebne. Pomiędzy nimi licem i pięknnością odznaczała się młoda jeszcze niewiasta niewielkiego wzrostu, z kruczymi włosami czarnymi, płci smagłej nieco, ubrana z cudzoziemska, pstro i świecąco, którą inne o jasnych licach i włosach otaczały. Dziewczyna oczy miała zapłakane, twarz jakby bólem obłąkaną. W chwili, gdy ksiądz wchodził, rozmowa między nią a resztą służebnych żywą być bardzo musiała, ale na widok przybyłego nagle wszystko ucichło.

Dziewczęta zaczęły się ustawiać płochliwie i spoglądać po sobie. Te, które siedziały u kądzieli, powstawały wszystkie z kolei i poczęły się cisnąć z pokłonami do ucałowania rąk jego. Na ostatku

podeszła nieśmiało czarnowłosa.

Po odbyciu tej ceremonii ksiądz stanął, ręce złożył, przeżegnał się i na głos zaczął odmawiać modlitwy. Wszystkie służebne pokłękły i zwrócone ku wschodowi modliły się niby za kapłanem.

Niby, gdyż w istocie wiele z nich słuchało ciekawie, wiele mu się

przypatrywało z trwogą, a mało zdawało się rozumieć, co mówił.

Pomiędzy dziewczętami były jeszcze mnogie na pół poganki, które ledwie znak krzyża kłaść się na sobie nauczyły. Ksiądz Petrek z polecenia królowej raz lub dwa w ciągu dnia przychodził tu nauczać religii i odmawiać razem z nimi modlitwy. Były one bardzo proste. Ojcze nasz, Wierzę, Pozdrowienie anielskie, Dziesięcioro, krótkie modlitewki tłumaczone z łacińskich.

Gdy się modlitwy skończyły, dziewczęta z ziemi powstawały, ksiądz do kilku przemówił z powagą, a na ostatku zwróciwszy się do czarnowłosej zagadnął

ją w obcym języku. Dziewczyna spojrzała nań śmieiej niż inne, patrzała mu w oczy długo i odpowiedziała nie trwożąc się z żywością wielką.

— Żałujesz ty niezbożnego życia twojego — odezwał się ksiądz do niej.

— Powinnaś łzami Pana Boga przebłagać, aby ci przebaczył. Z twojej to naprawy, z twojego złego życia przyszła kara na tych, co byli jego współnikami.

Przez cię zginął Gwido, przez cię straceni zostali Jaksowie.

Dziewczyna słuchając nagle się zalała łzami. Była to niewolnica Greczynka, Antonia. Ukryła twarz w dłonie i puściła wodze żalowi swemu, a towarzyski zdawały się na nią patrzeć z wielkim współczuciem.

— Cóżem ja winna? Com winna? Mój ojciec dobry — zaszlochała. — Ja

niewolnicą byłam, nie miałam swej woli! Wszystko złe poszło z tego łotra Gwidona, który na śmierć zasłużył. Gwałtem rozbójnik porwał mnie z sobą, choć się broniłam, związali mi ręce, zamknęli usta. Biedny mój pan, biedny, dobry pan padł jego ofiarą. On nie był winien, oni oba niewinni byli, to były złote serca, to byli ludzie, jakich nie ma w świecie. O! ja nieszczęśliwa! Potracono ich, zabito! —

wybuchnęła, oczy zakrywając.

— Czas do pokuty! Iść by ci się oczyścić do klasztoru — rzekł duchowny —

włosiennicę wdziać na grzeszne ciało!

— Nie... Nie! — krzyknęła gwałtownie dziewczyna. — Nie. Ja do klasztoru nie chcę, nie pójdę. Ja przy królowej pani zostanę, wierną sługą. ja...

Nie wdając się już z nią w dłuższą rozmowę ksiądz pisarz odwrócił się od płaczącej i poszedł dalej ku drugim komnatom niewieścim. W trzeciej znalazł

siedzącą Teodorę Sieciechównę zapłakaną, zadumaną, tak że nie posłyszawszy, gdy wchodził, ulękała się i krzyknęła, zobaczywszy go przed sobą. Wstała, by go w rękę po całować.

Tu ksiądz Petrek nierównie łagodniejszym się stawił, twarz okazywał więcej wypogodzoną.

— Dziś wszędzie łzy na drodze spotykam — odezwał się. — Cóż to za przyczyna?

Sieciechówna zarumieniła się mocno.

— Nic... Ach! Nic, mój ojcze! Kto tam czasem wie, czego płacze? — rzekła po cichu, oczy spuszczając.

— Choćby on nie wiedział, to się drudzy domyślą — odezwał się ksiądz Petrek.

Dziewczę zarumieniło się mocniej jeszcze, ale nie mając widać ochoty do zwierzania się z bólów swoich, zamilkło trwożne.

Po chwilce ksiądz się pokłonił, przesunął się cicho i szedł dalej, zawsze ostrożnie i nie czyniąc najmniejszego szmeru, stąpając z umysłu tak, by go słyszeć nie było. Obyczaj miał taki skromny...

Sień i izba niewielka dzieliły tę komnatę od mieszkania Ody, córki

markgraфа Ekarda. Przed komnatą siedziały postrojone Niemki, jej służebne, z posepnymi twarzami u kądziółek. Ksiądz Petrek przemówił do nich w ich języku i lica się im rozjaśniły, a usta uśmiechać zaczęły.

Na zapytanie o panią wskazały mu drzwi prowadząc ku nim uprzejmie. W

komnacie, do której wszedł, siedziała w istocie Oda.

Izba była niewielka, ale z przepychem przystrojona. Koberce leżały na podłodze, oponami obwieszane były ściany. Stół w pośrodku zasłany jedwabnym szytym obrusem, zastawiony był i zarzucony naczyniami i fraszkami niewieścimi, połyskującymi złotem. Oda siedziała sparta na rękę, smutna, w postawie dumnej, nad krosnami. Widać było na nich naciągniętą tkaninę purpurową, którą szyła złotem i jedwabiami. W tej chwili jednak robota była przerwana, a piękna pani patrzyła na nią obojętnymi oczyma, gdy ksiądz wszedł do izby. Na widok jego lica się trochę rozjaśniło, przywitała go poufałym półuśmiechem, wskazując niedaleko siedzenie. Sama jednak nie poruszyła się.

Ksiądz Petrek, codzienny znać gość u markgrafówny, usiadł rozpoczynając cichą rozmowę po niemiecku. Mówił tym językiem jak gdyby się z nim w ustach urodził.

— Cóż wy mi tam przynosicie, mój ojcze? — zapytała Oda.

— Ja z mojej celi cóż mogę wam przynieść, oprócz modlitwy za pomyślność waszą?

— Dziękuję za nią, ja także już wieczorne odmówiłam modlitwy. Ale, nie wiecie co nowego o królu? o królu? — spytała.

— Dziś nawet miłościwego pana nie widziałem na oczy — rzekł pisarz.

— Smutny jest ciągle. Uważaliście to?. Wydaje się nieszczęśliwym —

poczęła, bawiąc się niemi z krosien wziętymi, piękna Oda.

— A na cóż by potężny pan nasz mógł się skarżyć? — udając

dobrodusznego prostaczka odezwał się ksiądz Petrek.

Oda ramionami ruszyła, chciała coś powiedzieć i umilkła. Obejrzała się po komnacie, pochyliła nieco i poczęła wreszcie z niejakim wahaniem.

— Nieprawdaż, mój ojczy, że niewiasta, która męża swojego a pana oszukuje i kłamie przed nim, przez małżonka odrzuconą być może i wydaloną? Z taką się ma prawo rozstać?

Ksiądz głową potrząsnął zamyślony.

— Niewiasta, która by mu się stała niewierną?

— W jakikolwiek sposób — żywo dodała Oda — niewiasta, która by

spiskowała przeciw mężowi z nieprzyjacioły jego?

Popatrzała nań czekając odpowiedzi, ale ksiądz Petrek nie spieszył z nią.

— Nie tak łatwo, miłościwa pani — odezwał się po chwili — nie tak to łatwo osądzić stopień winy. Kościół, matka nasza, zostawuje sobie prawo wyrokowania.

Po krótkim milczeniu Oda dodała z trochę niecierpliwości.

— A wy, wy jesteście kościołem? Wy duchowni? nieprawdaż?

Ruchem głowy potwierdził to ksiądz Petrek. Przez jakiś czas znowu

powalczywszy z sobą markgrafówna wybuchnęła nagle, jakby się nie mogła utrzymać dłużej. Charakter i wychowanie czyniły ją odważną, czuła się ze swą młodością, pięknnością i rodem panią i królową.

— Wy wiecie dobrze, o kim ja myślę i mówię. Króla Bolesława tu zwodzą, jego okłamują. Miłościwa pani, którą wy wszyscy świętą nazywacie, nie waha się potajemnie spiskować z wrogami małżonka i króla.

Ksiądz przez ostrożność całą twarzą wyraził zdziwienie wielkie, a Oda żywiej jeszcze szydersko dodała.

— O! Tak jest, mój ojciec, i wyście nie ślepi! A ja patrzę i wiem wszystko, lituję się nad losem króla, który wart jest lepszego. Chciał słusznie, sprawiedliwie ukarać tych łotrów. Cóż? myślicie, że spełniono jego rozkazy?

Ksiądz ciągle jeszcze zdumionego udawał.

— Nieprawda! Oszukano go, okłamano. Ich wykradziono, oni żyją, aby się mścili. A kto to uczynił? Wasza święta królowa, którą wy tak pod niebiosą wynosicie. Tak, ona. Cóż wy na to?

— Ja? Ja? —przerwał ksiądz Petrek, —ja się zdumiewam, przerażam i

milczę. To nie może być, miłościwa pani, któż by śmiał!

— Tak jest! Tak jest! —z gorączką, bijąc ręką o krosna ciągnęła dalej Oda,

— ja wam przysięgnę, że tak jest, wszyscy są ślepi, ale ja mam oczy, bo czczę i szanuję wielkiego króla. Oszukują go.

To mówiąc ze wzruszenia zarumieniła się piękna Oda i oczyma

błyszczącymi spojrzała na Petrkę.

— Nie mówcie o tym nikomu — szepnęła widząc go jakby przelękłym —

dojdę ja tej tajemnicy, jestem na śladzie.

Z wielką radością i wzburzeniem dokończywszy tych słów markgrafówna

porwała się z siedzenia.

Ksiądz też podniósł się milczący.

— Bądźcie ostrożni, miłościwa pani — szepnął ciszej — tyle tylko

powiedzieć wam mogę. Bądźcie bardzo ostrożni. Będąc z czcią dla was i dla ojca waszego, proszę o to. Dwór pełen sideł i zasadzek. Wasza piękność obudza zazdrość i niepokoje, robi wam nieprzyjaciół.

Z ufnością w siebie rozśmiała się pogardliwie wspaniała dziewczyna i ręką rzuciwszy, znak dała, jak się mało lęka. Ksiądz Petrek poszeptał coś cicho, wysłuchała go, głową skinęła i pokorny księżyna szedł dalej.

Teraz z kolei zbliżał się do pomieszkania królowej Emnildy. Twarz jego, już dwakroć zmieniona, po raz trzeci jeszcze się przeobraziła przybierając wyraz łagodności i łudzącej pokory. Postawa nawet

zastosowała się do niej. Gdy podniósłszy zasłonę stanął w progu komnaty, prawie miał pozór ubogiego, nieśmiało przy chodzącego po jałmużnę.

Wspaniale przybraną była ta wielka izba żony Bolesława, a najpierwej uderzał w niej ołtarzyk domowy z klęcznikiem, cały złotymi obity obiciami, z ciężkim krzyżem u góry i dwoma złotymi także świecznikami. Naczynia mnogie na stołach świeciły w mroku. Od stropu zwieszony był świecznik z rogów jelenich, misternie spleciony i ujęty złotymi obręczami.

Królowa stała w pośrodku komnaty jakby na modlitwie z rękami złożonymi, w czepcu swym białym na głowie i skromnej szacie obcisłej. Na zwiędłej jej twarzy obok smutku, który prawie zawsze mieszkał na niej, malował się spokój i słodycz wielka. Oczy patrzyły z miłosierdziem i dobrocią.

Witając królowę ksiądz się niemal do samej ugiął ziemi, a gdy oczy

podniósł, przybrały i one wyraz łudzającej dobroduszości i pokory.

Ludziom wybranym na ziemi dostają się dary, jakich drudzy nigdy zdobyć nie mogą. Przychodzą one im same, rosnąc z natury tych istot, która jest rolą urodzajniejszą nad inne. Tak królowa Emnilda, pobożna i święta pani, miała szczęśliwy instynkt poznawania, a raczej przeczuwania ludzi. Ufała jednym, wstręt czuła do drugich wyrzucając sobie jak grzech nieufność swoją, a nie mogąc jej obronić.

Przez pobożność szanowała ona wszystkich duchownych i w nich kapłanów bożych, głosicieli słowa żywota; przecież ten tak unizony, cichy, posłuszny na skinienie ksiądz Petrek obudzał w niej jakąś nieufność i obawę. Nie lubiła go królowa Emnilda. Dlaczego, tego sama sobie wytłumaczyć nie umiała, nie dał jej do tego żadnego powodu.

Obawiając się często nad miarę surowego opata Arona, dla niego miała poważanie i miłość, ksiądz Petrek, choć padał przed nią, budził jakiś wstręt i instynktowną trwogę. Usiłowała to uczucie na próżno zwyciężyć królowa.

I teraz, gdy go ujrzała zbliżającego się tym cichym krokiem, z łaszącą postawą, niemal cofnąć się i uciec miała ochotę. Musiała się zwyciężyć.

Ksiądz pisarz powtarzając ukłony zbliżył się do królowej, ręce złożył na piersiach, westchnął głęboko i rzekł z cicha.

— Co serce naszej miłościwej świętej pani pod te czasy wycierpieć musiało!

Ja to czułem najlepiej! Ciężkie to zaprawdę były chwile. Przecież, Bogu dzięki, skończone wszystko.

Badający wzrok posłał ku królowej, która z dala stała milcząca.

— Miły księże — rzekła po długim przestanku — powinniście byli wspierać mnie modlitwami waszymi. Tak jest, cierpiałam wiele, pragnęłam królowi a panu memu miłemu oszczędzić żalu i strapienia, lecz woli Bożej trzeba się poddać we wszystkim.

Westchnęła i nie rzekła nic więcej.

— Miłościwa pani — odezwał się ksiądz Petrek — któż to wie, azali ich ocalić nie było można? — Ciszej dodał: — W jakikolwiek sposób.

Usta zadrżały królowej, jakby coś powiedzieć chciała, ale się powstrzymała.

Westchnęła znowu, ksiądz oczyma przenikającymi ścigał ją ciągle, najmniejszy ruch śledząc pilnie.

— Można ich było ocalić, przechować, a w dobrą godzinę potem, gdy już wszelki gniew ostygnie, znaleźć przystęp do króla. Któż skuteczniej nad was, miłościwa pani, mógłby im wyjednać miłosierdzie i tym, co rozkazom

dobroczynnym staliby się posłuszni?

Królowa Emnilda drgnęła nieznacznie i dodała po cichu.

— Mylisz się, ojczy mój, przypisując mi władzę i moc jakąś nad panem a królem moim. Ubogam jego służebniczka, był może czas, gdy nad wielkim sercem jego miała małą przewagę, ale wystygła owa miłość, zwiędła twarz moja, naprzykrzyła się sama uległość. Dziś ja tu jestem jemu tylko może ciężarem, a drugim zawadą.

Ksiądz Petrek obruszył się bardzo widocznie.

— A! Miłościwa pani! — zawołał. —Czyż się to godzi i pomyśleć!

— Nie skarzę się — rzekła z łagodnością i rezygnacją królowa — wierzajcie mi! — Byłabym występna, gdyby skarga skaziła usta moje. Byłam i jestem szczęśliwą. Więcej niżeli mnie należy szczęścia panu mojemu, bo na jego barkach spoczywa ciężar straszny. Dla niego też gotowam zawsze wszystko moje poświęcić.

— Miłościwy i sprawiedliwy też król nasz — dodał ksiądz — czcząc cnoty świętej swej małżonki najszczęśliwszym się czuje w jej posiadaniu.

Królowa Emnilda uśmiechnęła się żałośnie.

— Niech mu na wszystkim Bóg błogosławi —rzekła.

— Dziś miłościwy pan — mówił ksiądz — chmurniejszy pono niż zwykle.

Już samo wykonanie wyroku na Jaksach smutkiem jego też serce napełnić musiało, cóż dopiero zuchwałe, nierozsądne postępowanie rodziny, która się cała odsunęła od dworu i pana.

— Mój ojczy, sądzicież, że ich kara to za sobą pociągnie? — niespokojnie spytała królowa. — Byćże może? Lękacie się jakich skutków?

— Któż to obrachuje — cicho i skromnie rzekł pisarz — rodzina można, liczna, spowinowacona z

najpierwszymi w kraju. Widzieliśmy nieraz zuchwałych buntów przykłady, z mniejszych niż terażniejsza obraz wynikłe. Słudzy wierni i poddani królewscy muszą być niespokojni.

— A! I ja, i ja też płaczę i niepokoję się ojczyzna moja — odezwała się Emnilda.

— Ale modłę się i mam w miłosierdziu Bożym nadzieję. Wszechmocny Pan cuda czyni!

Księdzu błysnęły oczy, bo ostatnimi wyrazy niemal się zdradziła królowa.

Przewrotne człecze w dźwięku ich poczuło nadzieję, domyśliło się niemal ukrywanej tajemnicy, po której dośledzenie właśnie tu przybywał. Dla niego rozmowa była skończona, wynosił z niej wewnętrzne przeświadczenie, że Jaksowie za sprawą i wiedzą królowej ocaleni być musieli. Więcej tu zdobyć i dowiedzieć się od Emnildy na teraz przynajmniej się nie spodziewał. Pobożnymi więc wyrazy zamknawszy rozmowę skłonił się z tą samą pokorą przesadną z jaką witał, i posunął się na powrót ku drzwiom komnaty.

Wieczorna jego przechadzka po zamku jeszcze nie była skończona. Ksiądz Petrek nawykł był zaglądać w każdy kąt, gdy mógł podsłuchać szeptów, rzucić okiem w najciemniejsze głębie, po drodze chwytając, co się nawinęło, aby coś wyssać z każdej oznaki. Pobożna gorliwość o duszne zbawienie za pokrywkę dobrą służyła.

Ze dworca królowej wszedł pisarz w dziedzińce królewskie, gdzie pełno różnej gawiedzi obcej i gościnnej zawsze bywało. Znajdować mu się tu nawet czasem trafiało posłów pruskich, wendyjskich, pomorskich, pogan niechrzczonych jeszcze, którzy na widok księdza cofali się ze wstrętem i obawą, wszystkich ich mając za czarnoksiężników.

Przeszedłszy zgromadzone tu kupki, rozstępujące mu się z uszanowaniem, ksiądz Petrek dostał się do wrót na małe podwórko wiodących. Tu stał karzeł Zyg, w krótkim kozuszk, ogromnej wysokiej czapie, z rękami w rękawy

pozakładanymi. Karzeł należał do tych, co z pisarzem nie byli w najlepszym porozumieniu, warczał na niego zawsze, nawet gdy go widział przechodzącym z daleka, ale kąsać nie śmiał. Duchowni byli na dworze pierwszymi po królu.

Na widok nadchodzącego Zyg żywo ustąpił na bok, udając, że niby go nawet nie zobaczył. Petrek jednak umyślnie wprost natarł na niego. Dla karła miał już twarz wesoło uśmiechniętą i żartobliwy pogotowiu.

— Czegóż to, niepoczciwy, tak uciekasz ode mnie? — rzekł ksiądz łagodnie.

— Ja uciekam? A tożbyście mnie nie zjedli! — rzekł Zyg — przy tym, że i post. Choć tłusty nie jestem, zawsze mięsa kawałek.

— No... i nadto jesteś potrzebny miłościwemu — rzekł wesoło Petrek — nikt cię nie ruszy.

— E, e! Miłościwy już się beze mnie obchodzić nauczył — mruknął Zyg.

— By najtłuściejsza kasza, jak ją co dzień jeść dają, naprzykrzy się.

Księżyna go poklepał po ramieniu.

— Rozum masz większy niż wzrost — ozwał się pochlebnie — szkoda, że statku jeszcze od statury mniej.

— Ono to prawda — rozśmiał się Zyg — a jeszcze i takim głupi, że co zrobię, to głośno, gdy drudzy jak po cichu i po ciemku co spłodzą, nikt przynajmniej nie wie o tym.

Ksiądz trochę kwaśno się uśmiechnął.

— Czemużeś to pod ten czas nie w izbie u króla? — spytał — przydałbyś się ku rozrywce, a tu lada gawieź śmieszysz.

— Nogą dziś dostałem, to się leczę na chłodnym powietrzu — odparł karzeł

— pan mój chmurny i pioruny z niego biją jak z obłoków, a ja tego nie lubię, gdy we mnie lecą.

— Na ciebie one nie padną.

Karzeł głową potrząsał z powątpiewaniem.

— Pójdźcie no, popróbujcie.

—Gdybyś co i oberwał śmiejąc się i gładząc karła, który starał się tych pieszczot uniknąć — dodał ksiądz Petrek — tobie się każdy guz opłaca.

—Odstąpię je wam za tę samą cenę bez zarobku — mruknął Zyg i wnet usta sobie zatulił rękami, wspomniawszy, że z duchownym miał do czynienia.

Ksiądz się jednak nie obraził wcale, owszem, śmiać się zaczął nawet.

— Jeżeli ci tu tak źle — mruknął pośpiesznie — było ci z Jaksami dziś rano wyjechać do lasów.

Próbował tak każdego ksiądz Petrek, napomykając o nich ciągle, azali się kto z czym przed nim nie wygada.

— Do lasu? — spytał Zyg. —A którzyż to do lasów pojechali? Jedni

podobno poszli paść robaki, a drudzy... —Nie dokończył i zwawo dorzucił: — Co nam tam do nich?

—Byłeś pewnie, gdy ich tracili, boś to ty ciekawy wszystkiego — mówił

dalej ksiądz Petrek, uważnie się w karła wpatrując.

— Zaspąłem — rzekł Zyg — szkoda. Gdy mnie pies liżąc po twarzy obudził, już było, słyszę, po

wszystkim.

— Gdzie się to odbyło? nie wiesz?

— A, nie wiem. Jam nie ciekawy, gdzie umierają, ksiądz tam był

potrzebniejszy ode mnie.

To rzekłszy Zyg wymknął się spod ręki leżącej mu na ramieniu i pobiegł ku królewskiemu dworcowi, nie oglądając się już za siebie.

Ksiądz też powoli do swej celi się posunął. Po drodze nikt mu już bliżej znany i potrzebny się nie nastręczył.

Dopiero u drzwi swoich zastał czekającego nań niepoczesnego, średnich lat człowieka, którego ubiór oznaczał komornika pańskiego.

Zafrasowany i wylękłej twarzy, wejrzenia kosego, ruchów nie cierpliwych razem i pokornych, oczekujący w progu, zobaczywszy nadchodzącego księdza, ruszył się żywo do pocałowania jego ręki. Ksiądz Petrek drzwi otworzywszy wszedł pierwszy i wprowadził go za sobą do celi.

Tu ciemno już było, zupełnie ogień wygasł na kominie, ksiądz Petrek

uderzył w ścianę i chłopak nadbiegł z łuczywem spiesząc rozniecić drzewo przygotowane. Kląkł na ziemi i dmuchał z całej siły, aż sucha olszyna płomieniem się nie zajęła. Dopóki był tą robotą zajęty, przybyły milczał, naglądał nań, pokazywał mu, co miał robić, a ku księdzu spozierał. Dopiero gdy się drzwi za chłopcem zamknęły, pisarz przystąpił bliżej do komornika i rozmowa głosem cichym się zaczęła.

— Cóż tam z tobą się dzieje, Harno?

Zagadnięty począł ciężko wzdychać i kilka razy się w piersi uderzył.

— A! zawsze jeszcze źle! — rzekł. — W sumieniu i na duszy niepokój ten sam. Trup ten za mną chodzi. Nie odstępuje mnie dniem i nocą. Wy wiecie, ojcze, spowiadałem się, pokutuję, na kościoły daję, za grzech żałuję, a kamieniem mnie przywała...nieboszczyk.

— Pokuta, długa być musi — odezwał się pisarz. — Ale bądź spokojny, ja czuwam nad duszą twoją i wyrwę ją ze szponów szatana.

Harno pocałował księdza w rękę.

Petrek przysunął się do niego bliżej jeszcze i rzekł cicho.

— Co mówił król Ugrom? Nie wiesz?

— Groził! — odezwał się również cicho Harno — groził nie im tylko

jednym, ale wszystkim. Zły był dziś, bardzo zły, aż trwoga ogarniała. Drżeli wszyscy.

— Pytał kogo o Jaksów?

— Nie wiem.

— Gdzie ich stracono?

— Mówią, że za okopami — odezwał się komornik. Sawasz i Dudziec

widzieli w tym miejscu ogromną krwi kałużę.

Zdziwiony ksiądz Petrek aż się cofnął brwi namarszczywszy.

— Możesz to być?

— Ale pewnie! — dokończył Harno bijąc się swym obyczajem w piersi.

— A któż ich tracił? Bo nie więzienny oprawca.

— Pewnie uprosili sobie kogo z rycerzy, aby nie ginąć z ręki kata, i tę łaskę im wyświadczone — mówił komornik — że ich ścinał kto ze swoich. Ten, co się tego przez miłosierdzie podjął, chwalić się z tym nie będzie.

Zamyślił się ksiądz Petrek mocno, rzecz mu się zdała bardzo

prawdopodobną.

Pisarz mówił zamyślony.

— Sami widzieli krwi kałużę, powiadasz? Sawasz i Dudziec? A byłże kto przy traceniu?

— Nie wiem — mówił Harno — umyślnie pewnie do dnia to sprawiono, aby ludzkich oczów uniknąć, ale, nie wiem.

—E, ty bo nic nie wiesz! — z wyrzutem zawołał ksiądz niemal gniewnie.

—A ciała? Co zrobiono z nimi? Powinny być pogrzebione na święconej ziemi.

— Pewnie rodzina wzięła je do siebie —odezwał się zafrasowany Harno.

— Ojcie mój, trudno bo mnie wiedzieć wszystko. Na dworze nikt o tym wiedzieć nie chce. Jaksowie mieli krewnych dużo i druhów, swojego czasu rozdawali wiele, a teraz żal po nich u ludzi, nikt i gęby nie otworzy.

— Milczą?

— A bo się skomleć boją — odezwał się Harno. — Jak psy piszczą, to je psiarze ćwiczą.

Ksiądz przysunął się prawie do ucha swojego wiernego sługi.

— Wiesz, rzekł, na dworze tu różnie głośzą, rozumiesz. Gadania są rozmaite.

Są i tacy, co upewniają, że Jaksów nie stracono, że ich tylko gdzieś przechowano albo ułatwiono ucieczkę.

Zagadnięty, który o niczym podobnym nie słyszał, oburzył się mocno tym przypuszczeniem.

— A kałuża krwi! — zawołał. — To nie może być, król kazał...

— Dojdźże mi ty tego, kto to takie sieje baśnie — zamruczał ksiądz, dojsć mi i dotrzeć. Za pokutę ci to naznaczam, Harno. Jesteś, nie przeczę, posłuszny, pobożny, pokorny, ale nie umiesz nic wyszperać, nic mi powiedzieć...

— Księżę dobrodzieju — całując go w rękę płacząco począł Harno — i wół

nad siłę nie pociągnie, ja ciągnę z całej siły.

W piersi się uderzył znowu i mówił dalej.

— Kto to może powiedzieć, że ich nie tracono? Kto by ich żywił, sam by śmierć karmił swoją, król by tego nie darował, spadłaby mu głowa, choćby na wysokim karku siedziała. A! przeciw woli królewskiej!

I ręce załamał Harno.

— Śmieją to ludzie mówić. Któż wie — dołożył cicho ksiądz Petrek — mógł

się też ktoś ośmielić to uczynić. Możnaż wiedzieć, jak daleko sięga zuchwalstwo ludzkie? Śledź, dowiaduj się, słuchaj, podpatruj. Daję ci to za pokutę, rozumiesz?

Harno dobył garsteczkę drobnych pieniędzy srebrnych, cienkich jak

blaszki, które naówczas we Wrocławiu bito, i z węzełka je wytrząsłszy księdzu na dłoń zsywał całując ją.

— Ojcie dobrodzieju, kilka mszy na intencję biednego grzesznika! Żeby ten trup nie chodził za nim! Po nocach go słyszę stąpającego dokoła i stękającego strasznie. Budzi mnie ze snu zimną dłonią, pokoju mi nie daje. Jęczy i wyje pod oknami. Kiedyż ja od niego będę wolnym? Ojcie!

— Modlić się trzeba, pokutować, a kościołowi służyć z oczyma zamkniętymi

— odpowiedział ksiądz Petrek surowo. — Zdejmiemy z ciebie ten ciężar, gdy przyjdzie godzina. Ano, krew, krew braterska nie łatwo się zmywa! Módl się!

Harno zakrył sobie oczy dłońmi obiema, a głową potrząsł milcząco.

— Jutro — zwracając mowę dokończył ksiądz Petrek — jutro żebyście mi koniecznie świadków traceniam znaleźli, aby zamknąć gęby plotkarzom, żebyście mi wiadomość o tym przynieśli. Jeżeli nikt nie widział, nikt nie był? Któż wie, co się stało? Rodzina można i zuchwała!

— Ale któż by śmiał ich wykraść? — krzyknął Harno — Kto?

Nie odbierając długo żadnej odpowiedzi komornik popatrzał na księdza milczącego z poszanowaniem i pokorą, powstał, powzdychał i widząc, że rozmowa skończona, pocałował go w rękę i wyszedł.

Rozdział 7.

Zima ostra była i śnieżna, nie przeszkadzało to jednak do łowów po lasach.

Owszem, zwierzę się zdradzało zostawiając po sobie ślady, niektóre z nich za żerem szły w miejsca przez łowców przewidywane, inne opuszczały gęstwiny leśne i wybiegały na polanki lub do nie zmarzłych strumieni.

Król, choć wiekiem ociężały, jak ojciec był do myślistwa nawykłym, czasu pokoju zastępowało ono wycieczki wojenne, nie dawało gnuśnieć komornikom, dworowi, licznym tłumom młodzieży, które Bolesława otaczały.

Lasy też ówczesne do dzisiejszych nie były podobne, nie splądrowane, dziewicze, obfitowały we wszelkiego rodzaju zwierza, które dziś z nich znikło na wieki. Żył w nich jeszcze pan puszczy, dziki tur, chodziły żubry stadami wielkimi, łosie, jelenie. W głębokie zastępy lasów rzadko się dostawał człowiek lub na krótko przerywał uroczystą ich ciszę. Puszcze jakby jednym pasmem połączonym z sobą okrywały całe obszary ziem polańskich, gdzieniegdzie tylko z rzadka przetrzebione, na pola powypalane, na łąki i wypasy bliżej ludzkiej sadyby.

Stały one jeszcze tak, jak je po oschnięciu tych nizin stworzyła natura całą swą siłę na nie szafując, wyrosłe bujno, gęsto ściśnięte, tak że obalony starzec, któremu ciało zbutwiało, gdy miał lec, nie padł na ziemię, ale się opierał na pniach sąsiednich dopóki w proch się rozsypując nie znikł po latach wielu, nowe sobą karmiąc pokolenie.

Na każdym z tych słupów potężnych zielonej świątyni wypisane były

wiekowe jej wzrostu dzieje a wieki te spłynęły im nie postrzeżone, nie policzone, prześnione jak nam przechodzą lata. Tam gdzie olbrzymie rosły drzewa, dla młodzieży już miejsca nie było, nic się pod cieniem ich wyżywić nie mogło i przebić w górę do słońca. Ledwie mchy i borówki skromne, co drobnymi światła kropelkami się karmiły, u stóp starców pełzały.

Lasy latem jak zimą miały swe życie odrębne, którego tajemnice znali tylko ci, co do leśnego należeli świata, a w nim zamknięci składali z nim całość jedną.

Człowiek wdzierał się tu jak najeźdźca, jak podbójca, niszcząc i psując, rozpędzając i pustosząc. Przed hukiem siekier jego uchodząc, dawni mieszkańcy opuszczali legowiska swe i gniazda

odwieczne, idąc coraz głębiej szukać ciszy, pokoju i swobody.

Tu zimą pod kłodami i gałęzmi na łożu z suchych liści zasypiał niedźwiedź

nie budząc się aż z wiosną, bartnik gospodarz, o którym prawiono, że był dzikim człowiekiem, nie chcącym się przyznać do ludzkiej mowy, aby się uwolnić od pracy. Niedźwiedź był bohaterem wielu powieści. Prawiono o niedźwiedziach, co przywłaszczyły sobie dzieci i jak własne je karmiły, o niedźwiedziach, co chwytaly dziewczęta. Straszne bywało spotkanie z dzikim a rozjuszonym meszką, gdy spiąwszy się na łapy wyzywał myśliwca, aby się z nim wziąć za bary. Silniejszy od niego tur, nie tak obrotny, ciężki, pożądanym był także dla myśliwców łupem dla mięsa, skóry i cudownych własności wichru, który mu ciemię okrywał. Żubry zastawano często na zielonych łąkach wpośród lasu, ale biada była myśliwemu, gdy on go na drzewo zmusił uchodzić, bo je potem rozjuszony nieprzyjaciel tłukł

głową i rogami, dopóki go nie obalił i nie zgniótł napastnika. Łatwiejsze były za łosiem pogonie, za pierzchliwym jeleniem i kozami. Nie lękano się też wilka, jeśli nie był przemienionym człowiekiem, wilkołakiem, którego strzała nie brała, który miał rozum ludzki a drapieżność wściekłego zwierzęcia.

Na wszystkich tych mieszkańców puszczy czyhali mnodzy nieprzyjaciele nie licząc zwierząt drapieżnych, wzajem na siebie wyprawujących łowy krwawe.

Kneziowie, panowie, osadnicy, parobczaki szli z oszczepami, z łukami i procami, zastawiali sidła, kopali doły. Dzieci zaprawiały się na drobnym ptactwie, a wyrostki tęskniły za siłą, aby co rychlej pójść w zapasy ze straszniejszym zwierzem, które podpatrzyć, podkraść się do śpiącego, chwycić przebiegłością najmilszym było zwycięstwem.

Pomiędzy lasem, zwierzem a człowiekiem węzły były jeszcze silniejsze, znano się nawzajem lepiej. Puszcza była spizarnią dla ludzi. Trop na śniegu powiadał nie tylko o rodzaju zwierza, ale o jego rozmiarach, sile i charakterze.

Dzieci znały nory, pacholęta instynktem domyślały się legowisk. Wiedział każdy, o której porze ptacy do snu idą i wstają, kiedy ze zwierza nieopatrności można skorzystać, a kiedy się jego srogości najbardziej obawiać potrzeba. Daleki głos, ledwie pochwycony uchem, był naówczas dla ludu zrozumiałą mową, znaczył

godziny, przepowiadał pogodę, myśli wytłumaczył sobie, co był wilk głodny na polu i co ptaki w powietrzu śpiewały.

Zimą, gdy większa część wesołego ptastwa odleciała, a pozostałe musiało niespokojnie na skąpy żer pracować, w lesie bez tych głosów i pobudek martwo było i smutno. Śnieg zalegał doły, wieszał się na gałęziach, utrudniał pochody i zdradzał. Bojaźliwsze stworzenia jak przy opadaniu liścia tak w śnieżyce uchodziły z lasów, wygodnisie grzebali sobie doły, aby im w nich cieplej było. Wszyscy tęsknie spod tego całuna wyglądali wiosny. A dla człowieka to była pora łowów łatwych i obfitych, zwłaszcza gdy śniegi okryły się lodową skorupą, która ucieczkę zwierza czyniła trudną i niebezpieczną.

Owczesne łowy były istotnie jeszcze wyścigami o lepsze: zręczności, przebiegłości, siły. Często trzeba było życie stawić, myślą pracować, podstępny knować, ślady zacierać, postać zmieniać, aby nie być poznanym i łup swój pochwycić. Z dala sięgająca strzała niewielką była pomocą, drażniła raczej, niż zabijała. Dzida i oszczep a pocisk ostry właściwy oręż stanowił. Dzielnego oka i dzielnej potrzeba było dłoni, aby tura, zebra lub łosia obalić i niedźwiedziowi wydrzeć życie. W zdartą skórę stroił się myśliwy z dumą, bo ją często własną krwią okupić musiał.

Myśliwymi byli naówczas wszyscy, co wojakami byli, a najpiękniejsza część narodu garnęła się do rycerstwa. Rzadki dzień upłynął bez łowów i rzadko one tylko dzień jeden trwały. Najczęściej tygodnie w puszczech spędzano legając pod szałasami nocą, aby z brzaskiem być gotowym. Zapędzano się tak bez wieści często na nieprzyjacielskie ziemie i łowiec sam stawał się zwierzyną zmuszoną do walki lub uchodzenia przed przeważną siłą.

Posępnych dni kilka w beczynności spędziwszy u ogniska, król Bolesław ruszył nagle, nazajutrz oznajmując łowy. Śnieg był przyprószył właśnie, niebo obiecywało się pogodne, powietrze łagodne.

Szukał widocznie w tej rozrywce zapomnienia frasunku i rozpędzenia złych myśli: Stanęli mu do boku jego ulubieńcy, zwykle towarzyszący w tych wycieczkach, Sagan, łowczy pański, który miał zwierzchni dozór nad myśliwską czeladzią i psiarnią, i Radzisz, co nie miał sobie równego w rzucaniu oszczepem a tropieniu zwierza. Oprócz nich kilkadziesiąt głów dobranej młodzieży towarzyszyli panu. Sagan zwierzchnictwo miał nad wszystkimi.

Tuż niemal za miastem rozpoczynały się puszcze rozgałęziając na wsze strony, tak że raz w nie się zapuściwszy całą niemal ziemię przejechać było można nie wynurzając się z lasów. Wszystkie one wiązały się z sobą.

O brzasku dnia ruszono znad Cybiny, gdy w tumie pierwsze światła na jutrznię zapalano.

Król wydał rozkazy, aby lasami kierowano się ku Gnieznu. Domyślano się, że zarazem łowami rozerwać się pragnął i u grobu świętego Prusa apostoła pomodlić. Często on tam w chwilach ciężkich przybywał niosąc troski swoje, i dusznej szukając pociechy.

Zwykłą drogą, którą umyślnie wytrzebiono i rozkopano, gdy Otto III pieszo ją miał przebywać mil tylko sześć dzieliło Gniezno od Poznania, lasami i łowieckimi manowcami liczyć było można prawie tyle dwoje.

Sagan przy wyjściu z dworca, gdy król dosiadał bułanego, postrzegł od razu, iż łowy nie będą wesołe, pan był chmurnego oblicza. Orszak też jadący za nim trzymał się milcząco, ledwie śmiejąc szeptać między sobą. Przodem nieco wysłano czeladź i łowców ze psy, aby zwierza osaczywszy, na dany znak trąbką, napędzała na myśliwych.

Stępią król wyjechał za okopy. Tuż w prawo było miejsce, gdzie zwykle winowajców tracono. Bolesław cugle puścił bułanemu, a koń niepostrzeżenie zwrócił się ku prawej stronie. Tu śnieg szerokim płatem zamarzł czerwono, była to ścięta krwi kałuża. Koń królewski chrapnął i rzucił się w

bok gwałtownie, a oko Bolesława padłszy na drogę ujrzało na niej plamę krwawą, pobladł król, konia uderzył i jechał dalej. Dwór szeptał między sobą spoglądając z ukosa.

— Jaksów krew! — mówili po cichu.

Jeszcze posepniejszą, gniewliwszą stała się twarz królewska.

W puszczy już dzień się zrobił jasny, niebo jakby nie zimowe czystym się oblokło lazurem, świeciło słońce niby wiosenne, mróz zelżał. Wjechawszy między drzewa, wielką otaczające polanę, stanęli wszyscy. Sagan się tu zwierza spodziewał.

Jakoż nie czekano długo i na łąkę łosiów kilka wypadło, które zaledwie przystanąwszy na chwilę natychmiast nazad pierzchliwie się w puszcze cofnęły.

Jeleń jak strzała nie zatrzymując się przesadził przez polanę i zniknął, kilka kóz przemknęło bliżej, tak że pociskami dosięgnąć je mogła młodzież odbieżawszy i położyła ich dwoje. Król z konia się nie ruszywszy stał, patrzył i ręka mu nie drgnęła.

Początek ten łowów nie był bardzo szczęśliwy, co grubszy zwierz wszystek ująć zdołał. Wkrótce też Sagan, już się tu nic więcej nie spodziewając, dalej poprowadził. Orszak królewski podzielił się na kilka oddziałów, rozstąpił szerzej, objął przestrzeń znaczniejszą. Król Bolesław pozostał w jego środku przy boku mając Radzisa, który nie zwykł go był odstępować.

Pod jakąś niefortunną wróżbą rozpoczęte łowy i dalej się nie wiodły. Zwierz znajdował zawsze przesmyki, którymi pierzchał bezkarnie. Łowcy źle obejmowali knieje. Trafiano tylko na drobną zwierzynę, która nikomu nie robiła uciechy. Król, co się czasem był zwykł zapalać, teraz obojętny jechał i zimny.

Pięć godzin może po lesie tułając się szczęścia próbowano na próżno. Sagan kłął okrutnie, łajał wszystkich straszliwie, ale to szczęścia nie poprawiało. Choć próżnych wiader nikt przy wyjeździe nie widział, zaczynało się jakichś złośliwych domyślać czarów.

Czarom naówczas wiele przypisywano i siła nieczysta przeszkody stawiała często. Znużenie czuć się dawało silnie, głód i pragnienie dokuczały. Drużyna pańska chcąc poprawić łowy rozbiła się na wszystkie strony, rozpierzchła i pozbierać nie mogła. Król Bolesław został z Radziszem jednym i dwoma pacholętami tak chmurny, jak wyjechał z zamku, ale mocno znużony. Zdawał mu się to z twarzy czytać Radzisz i rozpoznawszy się w lesie, bo tu w całej okolicy każdą znał ścieżynę i niemal każde drzewo stare, nadbiegł do króla z wiadomością, że o kilkoro staj jest dworzec, w którym by spocząć i posilić się można.

Król głowę odwrócił, posłuchał go i dał znak przyzwolenia. Wzięto się zaraz we wskazanym przez Radzisa kierunku i po krótkiej przejażdżce z dala ukazał się stary dwór w wałach, opasany ostrokołem. Grodzisko to było w głębi puszczy mało komu znane i dostępne. Zwano je Komorą.

Czy przewodnik bolesławowski wiedział, do kogo należało, trudno

odgadnąć, król, choć dobrze każde niemal obronniejsze miejsce miał w pamięci wrazone, o

właścicielu Komory mógł zapomnieć.

Siedział tu jeden ze starych Jaksów, który za Mieczysława okaleczawszy na nogi w wojnie z Niemcami, z domu się dawno nigdzie nie ruszał i słychu o nim nie było. Co zresztą króla obchodzić mogło, kto na grodku był panem, gdy on nad każdym z nich był panem i władcą?

Wprost od lasu puszczono się ku wrotom. Zza wysokiego okopu i tynów

dworu tak jak nie widać było. Dwa słupy dymu wznosiły się tylko z ich środka.

Gdy Bolesław podjechał bliżej, Radzisz i pacholkiwie skoczyli przodem otwierać, a towarzyszy pański wrotnemu wnet oznajmił, iż król w gościnę przybywa.

Rzucili się od wrót ludzie do dworu jak popłoszeni. Król jechał bardzo powoli, tak że nim się przybliżył i wjechał do środka, już miała czas wieść o nim grodek obieć cały. Ogromny ruch widać było około dworu, lecz gdy w przedsieniu stanął król Bolesław, nikt na jego powitanie nie wyszedł — wedle obyczaju —

chleba i soli nie podano. Stała służba tylko, gospodarza i rodziny jego widać nie było.

Król jakby nie zważając na to, wszedłszy, skierował się ku świetlicy. I tę zastał pustą. Pałacy się ogień świadczył, iż niedawno byli tu ludzie, ale znikli.

Radzisz musiał sam panu gospodarzyć. Wyszedł razy parę, a król poznać mógł z jego zasępionej twarzy, iż nie wszystko tu było w takim porządku, w jakim się znaleźć spodziewano; coś niespodzianego, niemiłego maciło przyjęcie w tym domu. Bolesław jednak o nic nie spytał, zapatrzył się w ogień, zadumał. Dopiero gdy po dłuższej oczekiwania chwili służba poczęła na stół przynosić jadło i dzbany, król popatrzał uważnie. Uderzyła go niebytność gospodarza.

Słusznego wzrostu młody mężczyzna, postawy pięknej, oczu jasnych, ale ubrany ubogo, stał z boku. Zdawał się tylko czekać na pytanie i mężnie do odpowiedzi gotować. Twarz mu płonęła, to bladła.

— Kto tu gospodarzem? — zapytał król.

— Pan mój, stary Tomko Jaks — rzekł podniesionym głosem sługa.

— Nie ma go doma? — odparł król, któremu się brwi ściągnęły.

Na odpowiedź, dłużej teraz zbierał się zapytany...

— Był tu, miłościwy panie, ale się do lasu wynieść kazał zostawując dwór i sługi dla miłości waszej, a kazał mi rzec, gdybym pytany był, że należy do tego rodu, który krwi swej płacze, przeto się gościowi radować nie może.

Wszyscy pobledli słuchając tych słów mężnie i dobitnie wypowiedzianych przez śmiałego sługę, król ani nań spojrzął nawet, ani mu odpowiedział.

Lice jego zmieniło się nieco, pobladło, dłoń, w której kubek trzymał, zdrząła, czoło się pofałdowało, ale usta słowo wstrzymały.

Nie wstał jednak od tego stołu nieprzyjacielskiego, czując się i tu, i wszędzie jedynym panem i gospodarzem. Wzgardził doznaną obelgą.

Umyślnie może jadł powoli i długo, pił wiele, psom rzucał reszty usiłując się okazać bezpiecznym i obojętnym. Lecz Radzisz widział na wskroś, że w nim wrzało i gotował się gniew srogi burzyło się kryjomo wszystko.

Nie nadszedł jeszcze wieczór, lecz już do niego było blisko. Tu się właściwie nocleg należał zmordowanym, których za królem coraz więcej się pościągało i obozowało we dworze a podwórzach, ale wkrótce król dał znak do pochodu i sam ruszył z ławy ku przedsieniu, gdzie mu już przemienionego konia, bo jeden przez cały dzień dźwigać go nie mógł siodłano.

Na skinienie pana rzucili się wszyscy do swoich koni. Sagan, który się tu znalazł także, zapowiedział, że jelenia rogacza miano nie opodał na oku, niemal osaczonego, na króla z nim czekając tylko.

Tak wyruszyli z Komór. Nikt tu nie witał, nikt nie żegnał, służba nawet cofnęła się i znikła. Król też dobrego słowa nie rzekłszy za gościnę wyruszył nazad tak milczący a posepniejszy, niż przybył.

Jechali znowu ku lasom, Sagan prowadził.

Stał bór sosnowy przed nimi jak ściana czarna, wygodnie przezeń jechać było, bo nie miał podszycia. Ogromne sosny zgłuszyły pod sobą, co żyło. Ale tuż za nim zaraz rozpoczynały się inne drzewa, zaroślami objęte, gąszczami poprzerzynane. Sosny coraz były rzadsze, aż znikły zupełnie.

Kawał tego lasu przebywszy, gdy na dany znak uciszyli się wszyscy i czas jakiś w milczeniu jechali, na kraju polany porwał się jelen przeciw króla tak blisko, że Bolesław cisnąć mógł oszczepem. Jakoż cisnął nim ale kuty pocisk trafiając zwierza ośliznął mu się tylko po grzbiecie bezsilny. Jeleń pomknął rączo, a król, pomimo tuszy swej, czując świeżego konia pod sobą rzucił się pogonią za lekko ranionym zwierzem. Puścili się też towarzysze królewscy, kto jak mógł, zdołał i umiał.

Zachrzęszczały gałęzie, zatętnił bór, kilka krzyków słyszeć się dało; pod jednym z komorników koń się zaraz zwinął i padł z nim razem, ale na to nie zważano.

Król ścigał zwierza, konie pędząc bez miary, jakby na zwierzęciu i na wierzchowcu chciał inne gniewy spędzić i wylać je z siebie. Z okiem zapalonym, przygięty, miotając, co miał pod ręką. Bolesław ubiegł znaczny kawał drogi lasem, ciągle zmuszony kołować i wymijać drzewa, gdy jelen, który się coraz bardziej odsadzał, znikł mu z oczów nareszcie. Jakiś czas król biegł jeszcze, aż konia zasapanego i spienionego buchającego parą zatrzymał.

Otaczał go las głuchy, nikogo za sobą, nikogo nie postrzegł przy sobie, nigdzie szelestu i tętnienia słyhać nie było, tylko złowrogo wrony krakały nad starych dębów konarami. Zdawały się szydzić i grozić głosy dziwnymi, przekornymi.

Miał król na piersiach przywiezioną z Kijowa, misternie rzeźbioną trąbkę z kości słoniowej, złotem

sadzoną. Mógł ją do ust przyłożyć tylko, by dwór powołać do siebie, lecz czy że sam być wolał, czy o niej zapomniał, zwolniwszy koniowi kroku począł stępią jechać dalej noga za nogą, cugle purpurowe z rąk puścił i obojętnie rozglądał się dokoła.

Puszcza była dzika, gąszczami zarosła, niedostępna, poprzerywana

strumieniami w części zamrzniętymi, częścią oparzelistymi, u których mimo zimy jakby wieczną zieleniało wiosną. Kłody i powały przerzynały ją w różnych kierunkach. Na niektórych leżały nawały śniegu zbite i sterczały jak pagórki.

Mnogie ślady zwierza widać było wszędzie, nigdzie oznak konia i człowieka.

Ta pustynia o mroku, bo noc nadchodziła szybko, wcale znać króla

nawykłego wypraw nie trwożyła. Koniem przestał kierować i dał mu się obracać, jak sam chciał. Stworzenie to było nawykłe do paszy i swobody, do wędrówek po łąkach i puszczech. Jak tylko uczuło się swobodnym, głowę podniosło do góry, okiem bystrym rzuciło dokoła się rozpatrując, prychnęło, zarżało. Zdawało się, że koń rozumiał zbłąkanie się i osamotnienie pana i na pomoc mu ludzi przyzywał.

Stał, słuchał strzyżąc uszami, lecz nic mu wzajem nie odpowiedziało. Słysząc było głuche milczenie, cichym szumem gałęzi, jak tajemniczym szeptem przerywane.

Zostawiony sam sobie wierzchowiec królewski począł potem iść zwolna, nozdrzami zaczerpnął powietrza, aby ono mu coś po wiedziało, gdy nikt się nie odzywał. Jeszcze raz dokoła bystrymi potoczywszy oczyma śmiałym krokiem skierował się w stronę, gdzie się zapewne spoczynek znaleźć spodziewał.

Król sądził może, iż ślady jego konia pogoń za nim sprowadzić muszą jechał

więc spokojny, lecz mrok padał gęstszy coraz, w lesie był on wcześniejszym jeszcze, noc nadchodziła czarna.

Nieco przyspieszywszy kroku koń, jakby znał jakąś drogę niewidoczną, prowadził nią coraz śmieiej. Bolesław cale na to nie zdawał się zwracać uwagi, dokąd jedzie. W istocie inszej też rady nie było, tylko albo się w trąbkę ozwać do orszaku, a ta wśród ciszy wieczornej rozległaby się była daleko lub zdać na konia roztropność.

Stary kasztan królewski, który bułanego zastąpił, szedł wyszukując sobie drogę, mijając zawały, przeskakując oparzeliska, ciągle w jednym kierunku.

Czasami stawał chwilę i nozdrzami znowu badał powietrze potem szedł dalej krokiem pewnym, a coraz w miarę nadchodzącej nocy przyspieszonym. Mrok wieczorny zastąpiła już noc posępna. Śnieg tylko przyświecał nieco i wskazywał

drogę. Parę razy coś pierzchnęło na uboczach, coś zamruczało jak zwierz spłoszony, lecz kasztan nie uląkł się wcale. Z płaszczyzny na wzgórze zaczął

wstępować koń, choć mu z ciężarem, jaki dźwigał, iść było trudno. Król przypadkiem oko na dół spuściwszy na śniegu dostrzegł ślady stóp ludzkich świeże.

Puszcza ciągle gęsta, ku wierzchołkowi wzgórza cokolwiek jednak

przerzedzoną była. Spomiędzy pni grubych zdziwiony król dostrzegł słabe światółko. Koń zarżał w tej chwili, jakby je pozdrowiał. Wprędce też podbiegłszy kilka kroków stanął rozpatrując się dokoła. Bolesław dostrzegł maleńką ubogą lepiankę. Przez szpary okiennicy przerzynało się trochę blasku, ponad daszkiem dymu obłoczek lekki się unosił. Koń rżał ciągle, jakby nawoływał. Jakoż, nim król miał czas z konia zleźć, szmer dał się słyszeć u drzwi, uchyliły się one i głos odezwał się z nich pierwszy.

— Niech będzie pochwalony!

To powitanie chrześcijańskie równie jak krzyż było znamieniem wiernych wśród mnóstwa jeszcze skrytych i ukrywających się bałwochwalców. Ale wśród puszczy najmniej się go mógł król spodziewać, bo właśnie lasy były pogan schronieniem, w nich oni bezkarnie sprawowali swe obrzędy. Uroczyska zastępowały kontyny.

Usłyszawszy pozdrowienie to, król prędko i donośnym głosem odpowiedział

nań, zlął z konia zostawując go swobodnym i zbliżył się ku drzwiom lepianki. Tu dopiero mógł dostrzec, że witający go starcem był przygarbionym z długą brodą siwą. Czarna czapeczka okrywała mu głowę, wypełzła, ciemna, długa suknia, sznurem grubym ujęta w pasie, służyła za odzież całą.

Stary gospodarz nędznej chatki wśród ciemności mógł tylko rozeznać, że miał przed sobą podróżnego i jego konia, ale poznać go ani się domyśleć, kim był, nie było mu podobna.

— Podróżny jestem, rzekł zbliżając się król, zabłąkałem się w lesie, dajcie mi się ogrzać i spocząć u siebie.

Coś niewyraźnego odpowiedział staruszek, ale drzwi uchylił wąziuchne i niskie, a król, choć zgiąwszy się, wcisnął do małej sionki. Stąd drugie drzwi podobne, z prostych desek zbite wprowadziły go do wnętrza chaty.

Była to raczej nora jakiegoś biednego stworzenia niżeli mieszkanie

człowieka. Niezgrabnie i krzywo wzniesione ściany niskie, polepione gliną, malutką bardzo przestrzeń obejmowały. Za podłogę służyła uklepana na tok ziemia, kamieniami otoczony kilką polnymi słaby ogienek tlił się w kątku. Maleńki stolik przy drugiej ścianie spoczywał na dwu ledwie z kory obdartych pieńkach.

Przy nim chwiejąca się ławeczka stała oparta na kołkach w ziemię wbitych, a w rogu z liści suchych, nie pokryte niczym widać było posłanie liche jak barłóg, wyleżane i wąskie. Na jednej ze ścian uderzał oczy krzyż wielki, czarny, którego niższa część, widać pocałunkami wytarta, zbielała. Drugi krzyż mniejszy, cynowany stał na stoliku, a przy nim leżało, co miała najdroższego lepianka ta, co naówczas na równi ze złotem i drogimi kamieniami lub wyżej nad nie ceniono mała książeczka z kart

pergaminowych złożona, w ciężkich okładzinach drewnianych z zawiaskami srebrnymi. Widać było, że w chwili, gdy się koń królewski odezwał, modlono się na niej, leżała bowiem otwarta, a na kartkach przezierały malowane purpurą wielkie jej głoski.

Za królem wsunął się staruszek powoli ciekawymi mierząc go oczyma. Na piersiach jego wiszący krzyżyk, suknia, na której teraz król mógł dostrzec szkaplerz zakonny, dały mu w gospodarzu poznać duchownego. Zbliżył się więc głowę obnażywszy do pocałowania ręki jego.

— Pobłogosławcie podróżnemu, ojciec mój — odezwał się Bolesław

zdziwiony — pobłogosławcie naprzód, a potem powiedzcie mi, jakże się tu na tę puszcę i kiedy dostali?

Staruszek wpatrując się bacznie w gościa milczał długo westchnął potem.

— Pustelnikiem jestem — rzekł — życie zakonne świata się nie opowiada, przed ludźmi kryje. Tak samo przybyłem tu jak ci, którzy za wiedzą króla Bolesława niegdyś się osiedlili, jak błogosławieni męczennicy a bracia moi w regule świętego Romualda: Benedykt, Mateusz, Jan Izaak, Krystyn i ten, co ich przeżył, Barnaba. Czemuż mi się dziwujesz, synu mój? Azali my prosić potrzebujemy o to, ażeby się nam modlić dozwolono i Boga za grzechy ludzkie błagać i swoje? Jestli to winą, że nikt oprócz Barnaby i braci w Trzemesznie o mnie nie wiedział?

Król oglądał się ze zdumieniem i poszanowaniem razem.

— W takiej nędzy — rzekł — na takim bezludziu i wśród dzikiego zwierza, może dzikszych jeszcze pogan, których lasy są pełne, jakże wyżyć mogliście?

— Jak wszystko stworzenie, co żyje łaską Bożą — odparł starzec spokojnie.

— Czyż wiele potrzeba, aby żywot nędzny utrzymać? Czyż ta łaska, co

zwierza odgania trwoga, jak kołem czarodziejskim od pogan nie odgradza tej lepianki lepiej niż murem i rowami?

Ciągle ze zdumienia wyniść nie mogąc, król spoglądał oczom prawie nie wierząc. Oprócz opisanego sprzętu, wiaderko z wodą, dwa małe garnuszki, gliniana miska czarna, łyżka drewniana, grubo wyciosana, składały całe gospodarstwo pustelnika.

— Ale wy tu ani kościoła, ani ołtarza nie macie? — zawołał król. — Mylisz się, dziecko moje odparł uśmiechając się pustelnik. Na wielkie święta chodzę do braci świętego Augustyna do Trzemeszna, na dni powszednie ja sam sobie zbudowałem kapliczkę małą.

— Gdzież? — spytał król oglądając się dokoła i coraz większe okazując zdziwienie. — Gdzie? Przy chatce nie widać innej budowy?

— Chcecie ją widzieć? — spytał uradowany staruszek.

— Proszę was.

Pustelnik ruszył się ku ognisku; tu stała lampka gliniana, na pełniona jakąś tłustością, z zanurzonym w niej knotem. Zapaliwszy ją u ognia, pustelnik poszedł

w ciemny kąt izdebki poprzedzając króla. Tu na ziemi leżące podniósł drzwi, z opólków zbite. W głębi pod nimi widać było wschodków kilka wyżłobionych nieforemnie w glinie. Kaplica pustelnika była kryptą razem i katakumbą. Własnymi rękami powoli wykopał ją, ziemię na starych wynosząc plecach brat Antoni.

Z trwogą pobożną i zdumieniem król zaczął się za staruszką spuszczać powoli do krypty ciasnej. Nie szło mu to łatwo.

Podziemie było daleko obszerniejsze od izdebki na górze, z czystymi, równymi ścianami i rodzajem sklepienia, które na dwóch ciężkich pozostawionych słupach gliny się spierało. Pomiędzy nimi, z ziemi także i kamieni, po części drzewem rzeźbionym okryty, wznosił się prosty ołtarzyk z krzyżem pośrodku i dwoma lichtarzami drewnianymi. Na nim stał cynowy kielich maluczki, takąż przykryty patyną. Na słupach wisiały ubogie odzienia kapłańskie do mszy niezbędne: humerał, alba, pas, stuła (orarium), wreszcie ornat (paenula), nie świecące złotem ani jedwabiem i perłami, ale czyste i świeże, jak wszystko, co ojca Antoniego otaczało.

Ksiądz poszedł naprzód na chwilę przed swym ołtarzem uklęknąć. Król stał

też poruszając ustami, jakby się modlił.

— A tu — dodał gospodarz powstając z uśmiechem prawie wesołym — a tu, dziecko moje — wskazał na ołtarz — stoi przygotowane ostatnie łoże moje, w którym ja i teraz sypiam często.

Była to z prostych desek grubych zbity trumienka, wewnątrz liśćmi wysłana, o którą wsparte leżało wieko z wyciosanym na nim krzyżem.

Widząc pobożne króla zdumienie ożywił się staruszek poczuwszy w nim

duszę pobożną.

— Mam prawo się trochę pochwalić — dodał — boć to wszystko, co tylko tu widzicie dokoła, dziełem jest ręki mojej. Sam wykopałem powoli kryptę, sam ją sobie przystroiłem, ulepiłem chatynkę, wyciosałem sprzęty, a Bóg mi dał siłę skończyć tak, jakom pragnął, i cieszyć się tym trudem na chwałę Jego. Boć i tu, w tej głuchej puszczy brzmi teraz cześć Zbawiciela!

Wracali już z krypty do izdebki. Ojciec Antoni drzwi zamknął za sobą i lampkę zagasił.

— Siądźcie na ławie, jak możecie — rzekł do króla — albo lepiej legnijcie na liściach, które są suche. Twarde to łoże, ale rycerzem jesteście, jak widzę, i do niewygód nawykłym. Ognia wam naniecę. Niestety oprócz posłania i ogrzania, Bóg widzi, nie wiem, czym bym was mógł przyjąć i posilić.

— A czymże się wy sami karmicie? — zapytał Bolesław, coraz większą czią dla wesołego anachorety przejęty, którego usta tajemniczo się i łagodnie uśmiechały.

— Ja? — rzekł pustelnik. — Oto naprzód modlitwą i łaską Bożą, bo te żywią i zasilają najlepiej a potem już lada czym, jakąś prószyną. Trochę krup ugotowanych w wodzie, trochę korzonków wykopanych z ziemi, czasem rybka w strumieniu złapana. Mięsa nie jem od lat trzydziestu, chleb rzadko. Nawykłem do tego życia, za lepszym nie tęsknię. Widzicie, trzyma mnie Bóg łaską swoją.

Nic nie odpowiadając król go w rękę pocałował. Stary postrzegłszy, że ogień wygasa, wiązkę chrustu z sionki przyniósł i przyłożył. Usłuchawszy rady Bolesław zbliżył się do posłania i rzucił na nie czując znużonym.

Na głód i niewygodę mógłże się poskarżyć widząc to dobrowolne zaparcie się starca, tak surowego dla siebie?

Gdy król padł na ubogie posłanie, ojciec Antoni usiadł z boku na ławie przy stoliku.

— A wy skąd jesteście, dziecko moje? — zapytał.

— Ja od dworu króla jestem — rzekł Bolesław — wyjechaliśmy z nim dziś na łowy i obłąkałem się w lesie pędząc za zwierzem.

— Zaprawdę, niemałście się zabłąkali — odparł pustelnik. — Jest to, można rzec, samo jądro tej puszczy, dokoła moczarami i naturalnymi otoczone zasiekami, do którego się nawet dostać trudno. Zwierz tu czasem zagląda tylko, człowiek nigdy prawie. Dziady i czarownice stare boją się mnie, za większego od siebie mając czarownika, i nie napastują, choć nieopodal mają swe uroczyska, na których śpiewy, a podczas i pląsy odprawiają.

Zamyślił się staruszek i widocznie zafrasował spoglądając na leżącego.

— Jakże mi to żal, że was strudzonego, zgłodniałego, niczym pokrzepić nie mam. Ale zaprawdę!

To mówiąc wstał z ławy uradowany.

— Zaprawdę! Ojcowie z Trzemeszna dali mi do mszy świętej ze dwie flaszki wina! Starczy mi go na długo, bom oszczędny a dla siebie, krom mszy świętej, nie używam. Wina wam zagrzeję? Nieprawdaż?

— Dobrze, mój ojcze! wina mi zagrzejcie, a za każdą jego kroplę oddam wam dzbanek! - zawołał Bolesław uradowany. — W istocie osłabłym się czuję, bo tak jak wy ciała martwić nie zwykłem.

— O! nie bądźcie tak rozrzutni! — uśmiechając się pochwycił stary. — Cóż bym ja począł z takim zapasem? Nie miałbym go nawet gdzie pomieścić. I nużby mi to bogactwo tak mi się nie poszczęściło jak ów dar króla Bolesława dla mojej biednej braci, co ginęli za jego złota bryłę?

— A! — krzyknął zapomniawszy się na chwilę król i bijąc w piersi. — A ! ta nieszczęsna bryła złota do końca życia na piersi ciężyc mi będzie.

Zaledwie tych wyrazów domówiwszy Bolesław postrzegł, że się sam

zdradził, ale miał nadzieję, że go może pustelnik nie zrozumiał.

Ojciec Antoni stał patrząc nań spokojny, nie okazując wcale zdumienia, z uśmiechem swym łagodnym na ustach.

— Jesteś więc królem Bolesławem! — zawołał lekko skłaniając głowę. —

Cześć ci, królu pobożny! Rad jestem, że cię moje oczy oglądają. Synem jesteś tego, co światło wiary na ziemię tę sprowadził, opiekunem jej i krzewicielem. Bóg niech ci błogosławi.

Ręką zakreślił krzyż w powietrzu; król był w usposobieniu smutnym i

przerwał ojcu Antoniemu.

— Grzesznikiem tylko jestem większym niż inni! A nadzieja moja w

zasługach świętego męczennika Adalberta, iż mi on przebaczenie wyjedna.

— Wszyscy się modlimy za ciebie panie — odparł ojciec Antoni — bo

gdyby silna dłoń twoja nie trzymała pogan, których tu nad chrześcijan więcej jest jeszcze, padlibyśmy wszyscy ofiarą jak od dzikich zwierząt pożarci.

To rzekłszy stary pustelnik poszedł do kąta izdebki szukać wina, wypłukał

garnuszek, przyłożył do ognia gałęzi i zajął się pilno zagrzaniem napoju dla króla.

Nad ten czarny garnek innego nie było i Bolesław śmiejąc się do ust go przyłożył, a orzeźwiający napój wychyliwszy podziękował staruszkowi.

— Teraz — odezwał się — spokojnie, mogę czekać ranka. Biedny mój koń tylko o głodzie i chłodzie noc przebędzie.

W istocie dla kasztana miejsca tu nigdzie nie było ani paszy. Ukrywszy się od wiatru za ścianę stał smutny ze łbem spuszczone. Wkrótce jednak instynkt się obudził, począł grzebać nogami szukając pod śniegiem zeschniętej trawy.

Rozdział 8.

Sen nie brał króla.

Przybył tu z myślami czarnymi, podrażniony w drodze nowym dowodem

niechęci całego Jaksów rodu, gniewny i smutny dopiero widok tego dobrowolnego, ubogiego wygnańca, męczennika, spokojnego i niemal wesołego, kazał mu nieco o sobie zapomnieć.

Przyjęcie we dworze u Jaksów mogło daleko straszliwiej króla rozjątrzyć, gdyby przytomność umysłu Sagana nie zapobiegła najokropniejszej obrazie, jaką zagniewany stary Tomko zgotował.

Szczęściem w porę podsłuchawszy wydawane rozkazy, Sagan zagrażając

śmiercią sługom - wstrzymał ich wykonanie.

Tomko uchodząc ze dworu przed królem, z którym pod jednym dachem być nie chciał nakazał słudze, aby utoczywszy misę krwi z jagnięcia podał ją przed króla, mówiąc, iż mu ją stary Jaksza przysyła jako najmiłszą Bolesławowi potrawę.

Kto wie, co by się było stało, gdyby sługa ośmielił się spełnić, co mu surowo i pod groźbą przykazano. Gniew Mieszkowego syna, gdy raz wybuchł, straszny był i bezpamiętny. Dałby był głowę sługa, może by nawet dwór poszedł w popiół

i stary Tomko nie uniknął zemsty.

Samo nawet oddalenie się wzgardliwe starego Jaksy bolało już króla srodze, lecz ból ten tłumił w sobie.

W lepiance ojca Antoniego ustąpił gniew i uczucie obrazu czci dla

pobożnego staruszka.

Nie tylko króla, wszystkich niedawno nawróconych i pogan, to dobrowolne męczeństwo ciała, ubóstwo wesołe, chętne życia ofiary przejmowały zdumieniem, czią i trwogą. Więcej niż apostołstwo samo, nawracał żywot świętych zakonników, mężne na śmierć narażanie się apostołów, jak Wojciech święty, który rzuciwszy dostojęństwo biskupie, dwór cesarski i królewski, poszedł szukać męczeństwa jak korony. Tacy mężowie jak on nawracali w istocie tysiące, a trzymali przy wierze świeżo jej przyswojonych, na pół jeszcze dzikich ludzi.

Święty Wojciech, po zgonie nawet, był ojcem duchownym i Bolesława Wielkiego, i Ottona III, którzy go opłakać nie mogli. U grobu apostoła, ci co znali żywot jego niezmordowanego trudu i walki a poświęceń, czuli się nim pokrzepieni i utwierdzeni w wierze.

To samo wrażenie czynił na królu Bolesławie skromny mnich na nieznannej pustyni żyjący w krypcie własnymi wygrzebanej rękami, śpiący w trumnie, żywiący się korzonkami, oderwany od świata całego, oddany Bogu i modlitwie.

Człowiek ten zdał się już nie żyć na świecie, po którym stąpał jeszcze, ale już należeć do drugiego. Ciałem był na nim tylko, duszą w niebiesiech, za którymi tęsknił, przebywał. Godzina śmierci była dlań w istocie wybawieniem z ciężkiej ciała niewoli, powrotem do ojczyzny. Dlatego ziemską owa wielkość i potęgą króla a mocarza, którego miał przed sobą starzec, nie czyniła na nim wrażenia. Nawykł

był co dzień obcować duchem z Panem Zastępów, z Królem Królów, a biedny ziemski pan wydawał mu się prostym śmiertelnikiem, dźwigającym ciężar wielkiego posłannictwa na ramionach. I

przyjmował go tak, jakby był ugościł w lepiance zziębłego żebraka, głodnego zbłąkanego przechodnia.

Bolesław nawykły był do czci i hołdów, które mu jego duchowieństwo

składało, a choć on sam mu wielkie wszędzie okazywał poszanowanie, uderzonym być musiał tą prostotą i spokojem ducha świętego człowieka, co się majestatu jego nie lękał.

Z wyższością tych, co się wszystkiego wyrzekli na ziemi, ojciec Antoni przyjmował króla swojego, szanując w nim władcę, ale bałwochwalczo nie upadając przed nim. Ta duszna wyższość ubogiego człowieka nie pożądającego nic, uśmiechającego się własnej nędzy, w podziw króla wprowadzała. Każdy ruch, każde słowo starca się w nim odbijało. Leżał, spoglądał na krzątającego się jak na jakieś nadziemskie zjawisko.

Po rozmowie z Bolesławem pustelnik czas jakiś pomilczawszy wziął ze stołu otwartą księgę swoją.

— Miłościwy panie — rzekł — tyś królem ziemskim, ale dla ciebie służby Pana niebieskiego zaniedbywać się nie godzi. Mamy naszej modlitwy godziny, pójdę odprawić je i powrócę.

Staruszek zapaliwszy lampkę pospiesznie wszedł do krypty. Król pozostał

sam w myślach zatopiony.

Któż wie? Porównywał może spokojne życie tego nędzarza ze swoim, jego ukojenie wewnętrzne z tą walką, którą całe życie w piersi nosił. Świeże i dawne wypadki napełniały go trwogą w sumieniu. Mógłże znaleźć lepszego doradcę i powiernika nad tego świątobliwego człowieka, który w sądzie swym o ludziach i czynach nie mógł się żadnym powodować względem i stronnością dla nikogo, a patrzył tylko wiecznej sprawiedliwości.

Z podziemnej krypty słyhać było szept modlitwy i westchnienia. Dokoła szumiał las posepnie. Niekiedy żywiej wiatr puszczyć zamiatał i wdzierał się otworem dymnika do izdebki. Na kamieniach ogień dogorywał. Król leżał

zadumany, niemal rad będąc, że go opuściła drużyna, że na chwilę pozostał sam z sobą i pustynią.

Cichym krokiem nareszcie wrócił ojciec Antoni zasłaniając światło rękami, bo sądził, że król usypiał, ale Bolesław zobaczywszy go odezwał się żywo.

— Chodźcie, ojcze mój, nie bierze mnie sen, rad jeszcze chwilę spędzę z wami. Na sumieniu mi ciężko, na duszy mi smutno. Znacie wy życie moje?

— Ja? — zapytał ojciec Antoni — a skądżebym ja miał je znać? Tyle tylko wiem, iż synem jesteś wielkiego Mieszka i że dzieło jego nawrócenia i chrztu ziemi waszej przedłużacie na chwałę Bożą, że wznosicie kościoły, że złoćcie świątynie pańskie i opiekujecie się sługami Chrystusa. Cóż mnie może obchodzić więcej?

Modlimy się za was!

— Mój ojciec — począł podnosząc się z posłania Bolesław — dobrze

czyniecie modląc się za mnie, albowiem potrzebuję pomocy z niebios od Boga.

Ciężkie jest brzemię moje.

Westchnął Bolesław.

—Ciężki jest i był cały żywot mój — mówił — choć w nim jasne miałem

godziny. Grzechy moje i niepokój mój, chcę wyznać przed wami, ojciec i myśli moje tajemne. Wy mi powiecie najlepiej, jak ciężkie są winy i czy grzeszne mam pragnienia. Chcecie mi dać ucha, tak jakbym spowiedź ze skruchą składał przed wami?

— Miłościwy panie, czyńcie jako sumieniowi waszemu lepiej, jako duszy lżej. Wszakci za cud niemal uważać muszę, że was tu noc i obłęd przywiodły do mnie. Nie jestli to dziełem Opatrzności, która słabego i grzesznego chce uczynić lekarzem?

— I jam też myślał, ojciec mój — odrzekł król poruszony — nie darmo się tu znalazłem nie wiedząc o was ani szukać mogąc. Niech się więc wypowiadam przed wami, ciężar mi może spadnie z piersi.

Tu zamilkł król na chwilę, jakby myśli chciał zebrać, i cichym głosem począł

opowiadanie.

— Słyszałeś o ojcu moim, o macierzy mej. Doszły do ciebie ich imiona, ale znać ich nie mogłeś, ojciec. Wziąłem ciało męzne po rodzicu mym, a ducha gorącego po matce. Mieszko się urodził poganinem, a przeczuł światło i zapragnął

go. Matka moja wyszła z domu krwi. Stryja miała męczennikiem, ojca katem i pokutnikiem. Rycerski duch i w niej mieszkał, a śmiało biło serce, Szła za poganina, na pośmiewisko ludzkie, żyjąc z nim, aby go oświecić, Jej sprawą stanęły kościoły i lud przywdział szaty białe. Niewiasta była pogardzająca światem, bo w duchu swym silna.

Dzieckiem uczono mnie rycerstwa i razem przebiegłości. Otoczeni byliśmy wrogami, kraj nam kawałami odszarpywano, polowano na nas jak na zwierzęta dzikie. Na granicy zatknął rodzic mój krzyż jak tarczę przeciw niemieckiej napaści.

Poszedł się pokłonić cesarzowi, aby go przejednawszy miał czas się umacniać i zbroić.

Ja biłem się dzieckiem. Gdy dorosłem, ojciec mi mówił: Ziemię jednej mowy do jednej powinny należeć dłoni, albo Czesi, lub my nimi zawładnąć musimy. Od morza do Dunaju, jak szeroko brzmi słowo nasze, to musi być królestwo twoje, a mieczem i krwią je zdobywać trzeba. Cesarz niech sobie Zachód dzierży w przymierzu z nami, my z pomocą jego i kościoła wschodnie ziemie zagarnąć musimy. Trzeba wydrzeć, co zarwane, przywłaszczzone, oddarte, zjednoczyć i podbić. To dzieło twoje, ja granice myślą oborzę i ty je masz orężem żelaznym jak słupami obwarować. Zamki niech staną na rubieżach i strzegą ich...

Słuchałem dzieckiem tej mowy, do serca ją brałem, rosło to ze mną i pójdzie ze mną do grobu. Nie wypocząłem i godziny, spełniając przykazanie ojcowskie.

Ale i rodzic mój Mieszko, i ja ludźmi byliśmy, ojciec mój. Zmarła świętobliwa macierz moja, gdy ja miałem lat dziesiątek. Niemcom potrzeba było na miejscu czeskiej niewiasty swoją mieć u tronu. Pokazali starem urodziwą zakonnice w Kalwe, Odę, córkę markgraфа Dytmara, która wdziwała już była suknię i złożyła śluby. Skusili go do nowego małżeństwa. Duchowieństwo nie rzekło nic. Dali mu ją, aby przez nią o władnęli ojcem moim. Przybyła na zamek dumna macocha, gdy ja już miałem lat trzynaście, ale mi serca ojca nie odebrała.

Wprędce potem chodziłem już na wojnę. W domu mi było duszno.

Przybywało rodzeństwo nowe. Siostrę rodzoną miałem jedną, Sygrydę, którą za duńskiego wydano Swenona. Teraz z Ody przyszli po kolei Świętopełk, Władywój, Lambert, synowie mniszki. Słyszałem już, jak mówiono, że państwo podzielić się miało. Ojciec bijąc mnie po głowie powtarzał: To będą wojewody twoje, ty nad nimi panem i królem. Ale z oczu dzieci mniszki patrzyło, że mnie one słuchać nie zechcą. Starzał Mieszko, posyłał mnie w świat wojować, sam żonie posłuszny spokoju pragnął. Niemcom się kłaniał. Wracając z wojny, szeptano coraz częściej, że się państwo na braci musi podzielić. Znaczyło to rozbić je i pokrajać na sztuki jak mięso, aby wrogom łatwiej kawały połykać było. Niemce, co nam dali Odę, aby za nią okupem tysiące niewolnika swojego odebrać, czyhali na przyrodnią bracie, aby ich też z Niemkami poswatać, Niemki przy nich posadzać. I mnie zawczasu markgraфа Rygdaga córkę, przywieziono, którejem nie chciał, a żyć z nią musiałem. Ojciec panem był, woli jego słuchać była synowska rzecz.

Co matka moja posiadała, chwast począł ogarniać. Krzewiono wiarę, ale

państwo wcześniej, niż dorosło, już się padało. Cierpiałem posłuszny. Szedłem bić się na rubieże, a króla opasywano, aby czynił po ich woli.

Miał ojciec brata, Sydbora, a po nim dwu bratanków, Odyłona i Prybuwoja.

Ci mniszce się zawczasu kłaniali, jam się bił, a mnie tam moją ojcowizną zawczasu na kawały darto. Ojciec milczał.

Naznaczono państwo jedno dla Świętopełka, dla Władywója drugie, a dla Lamberta trzecie. Dwu synom Sydbora dano ziemie szerokie, aby też sobie w nich panowali. Gdym słuchając o tym milczał, bomci słowa rzec nie mógł, ojciec czasem poklepał po ramieniu i do ucha mi szeptał: Przy tobie będzie stolica, władza i zwierzchnictwo. - A dzieci mniszki patrzyły na mnie koso urągając i mnie, i stolicy. Milczałem.

Wiedział Bóg pewnie, co czynił, że mi dwór ojcowski obmierzył, bom od niego uciekał w bory i szukał nieprzyjaciela, wojować musiał i do wojny, którą cały żywot prowadzę, zaprawiał się.

Zmarł Mieszko, gdy mnie doma nie było. Wróciwszy zastałem go na marach, macochę znowu w sukni zakonnej, młodszych moich gospodarujących z nią i Niemcami w moim domu. Jam był starszym i pierworodnym przecie i głową rodu mojego.

Działy stały wolą ojca. Każdemu z synów kraj osobny, Świętopelkowi

Gniezno, dwie szerokie ziemie Odylonowi i Prybuwojowi. Macocha za młodszych na dwóch działach rządzić miała.

Ledwie, że mi Poznań oddano.

Jęknął Bolesław mówiąc to i dłonią w posłanie uderzył.

— Miałem ja dać rozpaść się temu, co ojciec własnymi krwawymi zlepił

rękami? Byłem starszym i wodzem, nikt mnie słuchać nie chciał, ja jeden za wszystkich stawać musiałem w obronie. Wróg targał, jak zapragnął. Lud do pogaństwa powracał, rozpręgało się wszystko. Rycerstwo tylko, z którym ja chodziłem na wojny, było ze mną.

Cierpiałem trzy lata, mój ojczy, patrząc, jak w gruzy się waliło Mieszkowe budowanie, a serce się krwawiło.

Słałem niejedną raz do macochy, ludzi mi dawajcie na obronę. Odprawiano posły moje niemal z urąganiem. Odylon i Prybuwoj nie ze mną, ale z tamtymi trzymali. Byłem sam przeciw pięciu i macosze.

Nadeszła godzina, gdy się cierpienie przebrało. Nocą naszedłem na zamek Ody, jej i dzieciom iść kazałem precz z mej ziemi, gdzie chcieli, do klasztoru, do swoich, do Niemców... Musiałem raz być panem w domu lub dach by mi zwalił się na głowę.

Szli precz ze złością i zemsty pragnieniem, Odylon i Prybuwoj powstali na mnie z orężem. Pokonałem ich obu, dostali się w ręce moje. Nieposłusznych mogłem dać pościnać, miałem litość, oślepić ich kazałem, aby szkodliwymi być nie mogli. Życiem im darowałem, choć wziąć je miałem prawo.

Mnich słuchając westchnął, król w piersi się uderzył.

— Mów, ojczy, winienemli? Byłemli okrutnym?

Ojczy Antoni milczał długo.

— Mów dalej — odezwał się po przestanku — mów dalej.

— Sam zostałem panem tego kraju całego, sam z myślą ojcowską.

Chrobackie ziemie trzeba było wydrzeć Czechom, stanąłem z Czechami do wojny, z Bolkiem Pobożnym, z krwią własną, ale kraj mi stał bliżej krwi. Od Rusi trzeba było odebrać zawojowane kraje, wołali mnie na Ruś. Węgry trzymały Słowaków, musiałem się bić z Węgrami. W Niemczech przyszły niepokoje, Serbów trzeba było od nich odbić do swoich. Nie było spoczynku. Miecza ani otrzeć, ni do pochew schować. Prusy podbijać słowem świętym poszedł apostoł Wojciech i zginął. Stał on najbliżej serca mojego, czcił go cesarz Otto III i ja i każdy, kto się zbliżył do niego, bo on

istotnie świętym był mężem.

— Wyście go znali! — zawołał pustelnik ręce składając. — A! Toście byli szczęśliwi!

— Prawdęście rzekli — dodał król. — Chrystus Pan żywym obrazem swoim uczynił go na ziemi i dlatego chciał, aby męczeńską śmiercią umierał.

— Po śmierci jeszcze dobroczyńcą był moim — mówił Bolesław z

uczuciem. — Przeprowadziłem święte zwłoki jego do Trzemeszna, a wkrótce potem do Gniezna. Rozpromieniała od nich świątynia nasza i rzuciła promienie na świat cały. Duch świętego apostoła przywiódł mi tu Ottona i uczynił go druham moim. U grobu Wojciecha podaliśmy sobie dłonie, koronę swoją włożył na skroń moją i rzekł mi naówczas: Panuj u siebie tak, jak ja w moim władam cesarstwie, a bądź Kościołowi wiernym i mnie sprzymierzeńcem wiecznym.

Otonowa bytność na mojej ziemi uświęciła ją, oswobodziła. On mnie uznał

bratem i druham swoim i cesarstwa swojego. Ale zawiścią zawrzały wszystkie markgrafy niemieckie i co żyło wrogię mnie i mojej ziemi. Czulem się silnym przeciw nim wszystkim, lecz nie byłem ni na chwilę bezpiecznym. Wstawało, com przytłumił, podnosiło się, co zawojowałem, szarpano mnie zewsząd, nęcano.

Byłem już Czech i Morawy panem! Ojcowska myśl spełniła się przeze mnie, widziałem ją już oczyma moimi, a teraz znowu niknie, gdy ciało słabnie, gdy duch gaśnie we mnie, a mroki zwątpienia opasują.

Mieszko, syn mój, dzielny jest, ale dłoń ma silniejszą od woli i rozkazywać nie umie. Com ja krwią polepił moją, wytrzyma czy rozpadnie się i pójdzie marnie, jak trup od robactwa zjedzony?

— Ojczy mój, powiedz mi, co czynić, aby dzieło utrwalić? Widzisz ty przyszłość?

— Synu mój — odparł mnich z pokorą — o przeszłości mów, o

teraźniejszości, nie tykaj tej zasłony, którą tylko dłoń Boża podnieść może sprzed oczów chrześcijanina. Przyszłość jest w ręku Boga.

— Mnie koniec bliski — odezwał się król — co będzie po mnie? Nim on

nadejdzie nawet, zdołamli ja utrzymać, co zdobyłem? Maż się mój gmach rozsypać w gruzy i proch? Nieprzyjaciele milczą, a rosna. Czekaają pory, a gromadzą złość swoją, aby większą była, patrzą, bym osłabł...

Zamilkł Bolesław, a wkrótce dodał znowu.

— I teraz, mamli ja na sumieniu krew tych ludzi, winnych zabójstwa? Dwaj rycerze znacznego rodu zamordowali na drodze wiozącego kupię bogatego człowieka niewinnego. Skazałem ich na śmierć. Ród ich i powinowaci zwracają się przeciw mnie. Surowym byłem, ubłagać się nie dałem, przykładu na możliwych zuchwalców potrzeba było, aby nie rzezono, że rycerzom moim czasu pokoju łupić i zabijać wolno bezkarnie. A nie mówisz Zakon nasz: oko za oko, ząb za ząb?

Tak — odezwał się pustelnik — mówił to Zakon stary, dopóki nie przyszedł

Pan światłości, Słowo wcielone i nie rzekł natomiast: przebaczej nieprzyjaciołom, jako pragniesz, abym ja ci twe winy przebaczył.

— Nie byli to nieprzyjaciele moi — odparł król — kochałem ich, druhami byli mi i towarzyszami. Lecz cóżem czynić miał sędzią będąc przeciwko zakonowi ludzkiemu, który śmiercią za śmierć karze? Miałem szczerzyć tych, co się nie litowali niewinnemu dla chciwości bogactw jego?

Pustelnik ze spuszczonej oczyma mrucał coś, jak gdyby od mawiał modlitwę.

— Nie jesteś winnym — rzekł po namyśle — niech spadnie brzemień z serca twojego, a jeśli powstaną na cię nieprzyjaciele twoi, śmiało podnieś się przeciwko nim, bo zakon ludzki tarczą twoją. Nie ty sądziłeś i karałeś, ale zakon sędzią był i katem.

— Królu mój — dodał pustelnik — jako sędzia najwyższy czystym jesteś.

Jako chrześcijanin i ojciec ludu twojego mogłeś uczynić miłosierdzie, niech ci to powie serce twoje.

Długo milczał Bolesław, spuścił głowę i podparł ją na dłoni patrząc na wygasające ognisko i nie mówiąc słowa. Potem jakby ocucony nagle zawołał.

— Miłosierdzie uczynić mogłem, ojcze mój, winienem może, iż krew

zburzyła się we mnie, a nie powstrzymałem jej! Żałuję uczynku mojego, żal mi ludzi tych.

Pustelnik usłyszawszy te wyrazy podniósł ręce obie i cicho zamruczał jakby rozgrzeszenia słowa.

— Niech ci Bóg wszechmogący odpuści winy twoje.

Tak skończyła się boleściwa spowiedź królewska, ale nie przerwała

rozmowa, nie rozjaśniło się lice Bolesława, ciężar jakiś pierś mu tłoczył.

— Kończy się żywot mój rzekł i dobiega do kresu swojego, a nie mam

pociechy tej, abym utrwalał widział, co ręce ojca i moje podniosły. Stoi państwo szerokie, jak łup na pastwę dzikiego zwierza czyhającego dokoła. Truje to dni moich ostatek. Zaledwie zwłoki

moje obok ojcowskich położą, podniosą się ci, co nauczyli się mnie trwożyć. Widzę ich zastępy dokoła. Ruś, Czechy, Ugry, Niemcy, Prusacy i Pomorze. Synowie Ody mogą się obudzić, wrogów jest dosyć, a naprzeciw nich jeden Mieszek, wojak, ale nie wódz, rycerz, a nie wiem, czy król?

W snach i na jawie widzę losy państwa po zgonie i boleje dusza moja, jak Chrystus w Ogrójcu, maź paść i rozszarpanym być kraj mój, dzieło moje, wielkość i potęga?

— złożył król ręce. — Świętobliwy człowiecze — zawołał — westchnij do Boga, aby spuścił na cię światło i powiedz mi przyszłość.

— Nie żądajcie ode mnie tego, czego ja wam dać nie mogę — odparł

staruszek — a gdyby ono było w mocy mojej, nie dałbym dla dobra waszego. Nie chce Bóg, abyśmy wiedzieli losy przyszłe, albowiem kto je przeczuwa, ten krwawym zlewa się potem i słabnie dusza jego. Wiesz, królu, z Pisma świętego, które ci czytają kapłani twoi, jakie były państw wielkich i potęg ziemskich losy.

Jestli co trwałego na ziemi? Ostoż się co na niej przeciw wyrokom niezmiennym?

Mężowi przystało czynić, co mu Bóg przy kazał i w sprawiedliwość jego wierzyć, a poddać się woli pańskiej.

To mówiąc powstał mnich, jakby znudzony chciał uniknąć pytań i odpowiedzi.

— Uśnij, gościu mój — dodał — ja pójdę do mojej trumny i spocznę także.

Potrzebujesz spoczynku i ukojenia. Niech Bóg ci je ześle.

Posłuszny król Bolesław skłonił głowę i zabierał się wyciągnąć na posłaniu, a że u boku miał miecz poświęcony, który go nie opuszczał nigdy, jął pasa zwalniać, aby go mógł przy sobie złożyć.

Oko pustelnika padło na rękojeść, którą król całował, i ciekawie się na niej zatrzymało. Wyrażone na niej były misterne znaki czterech ewangelistów, ów tetramorfon mistyczny, który zawieszano naówczas po wszystkich kościołach, malowano we wszystkich księgach i szanowano jako symbol

zgodnego świadectwa prawdy.

Widząc, iż ojciec Antoni spogląda na miecz, który trzymał w rękę, Bolesław podniósł go tak, iż od lampki, którą mnich dla wyjścia do krypty zapalił, światło padło na rzeźby od rękojeści. I przeczytać mógł mnich imiona Boże, tajemnicze, stojące wypisane na niej i wyrazy, które im towarzyszyły. "*Quicumque haec nomina Dei secum tulerit, nullum periculum ei omnino nocebit. Amen*".

(Ktokolwiek imiona te Boże nosić będzie przy sobie, żadne niebezpieczeństwo mu nie uszkodzi. Amen).

Z poszanowaniem przypatrywał się ojciec Antoni królewskiemu mieczowi, którego cudowna siła zdała się w istocie spoczywać w Bożych imionach, a nie w rozmiarach żelaza; głownia bowiem jasna i ostra, na której jednej stronie znaczne szczyby widać było, niewielką była. I nie nadaremnie miecz małym został

uczyniony, lecz aby potwierdzał, co stało na nim wypisane, że nie żelazo siłę daje, ale Bóg i słowo jego.

Gdy opatrzywszy ojciec Antoni do rąk króla wrócił mieczyk jego, odezwał się Bolesław patrząc nań z poszanowaniem.

—Nie skłamał ten napis, ojcze mój, a jeśli mnie widzicie żywym, pewniem to winien błogosławieństwu temu, jakie ten dar cudowny przyniósł mi z sobą. Nie opuszczał on mnie nigdy, w żadnej przygodzie i po tysiącokroć wypróbowaną została moc jego niepożyta.

— Jestli to dar Ottona? — spytał mnich nieśmiało.

— Zaprawdę świątobliwym mężem był cesarz Otto III — rzekł Bolesław —

lecz sędzę, że ten, z czyich go rąk otrzymałem, czystszy nad niego i nad wszystkich był ludzi śmiertelnych.

Pustelnik spojrział zdziwiony wielce.

— Stare to mojego życia dzieje — odezwał się król wpatrując w pobożne wizerunki rękojeści. — Miecza tego rodowód cudowny, a jakom go dostał, nie wiem nawet i to tylko powiem wam, ojcze mój, co sam wiem.

— Jest temu lat wiele ciągnął dalej król, żył jeszcze ojciec mój, wprawiałem się naówczas wyrostkiem będąc do wojny, ale mi na nią jeszcze chodzić nie dawano. Prosiłem się na próżno i wrywałem... W podwórku z koniem, oszczepem i mieczem musiałem wojować z pachołkami, których stawiano jak cieniaki, aby mi wroga udawali. Niejednemu z nich naówczas w gorączce młodzieńczej krwawo się dostało, niejednen kaleką na całe życie wyrwał mi się z rąk lub długo leczyć musiał.

Dochodziłem lat osiemnastu, gdy na ostatek gorącym prośbom moim dał się ojciec ubłagać. Dziwna rzecz, pomagała mi w tym macocha Oda, namawiając ojca, aby w pole mnie puścił, gdy druga młodzież już w tym wieku na wojny chodziła. Starego wojewodę dał mi król za opiekuna, szliśmy na granicę przeciwko Pomorcom, z którymi nigdy stałego nie było pokoju. Padłem do nóg Mieszkowi dziękując, dosiadłem konia i z całym oddziałem ruszyliśmy nad wieczór znad Cybiny ku granicom. Mając pierwszy raz w życiu prawdziwej wojny i boju zakosztować, niecierpliwy byłem nad miarę i nagliłem starego, pod którego rozkazy mnie oddano. Noc i dzień byłbym do granicy biegł, gdyby mi dozwolono, ale baczny wódz posyłając naprzód szpiegi szedł zwolna i ostrożnie. Na noc rozbijano namioty i musieliśmy spoczywać.

Pierwszy nocleg i obozowisko po wyjściu naszym z Poznania, żeśmy się dla niepoznaki lasami

przerzynali, przypadło też na po lanie wśród puszczy. A była wiosna piękna i noc najkrótsza, tak że na sen się kłaść nawet nie zdawało godziwym. Przecież stary mnie zmusił lec prosząc i zaręczając, że po krótkim spoczynku sam mnie zbudzi. Myślałem kładąc się, iż pewnie oka nie zmrużę, aliści zaledwie głowę pochyliłem, ogarnął mnie sen twardy, głęboki, dziwny tym, że mi się zdało, iż wszystko widzę i słyszę, co się działo dokoła, a ruszyć się ani ust otworzyć nie mogłem.

Widziałem w mroku namiot i leżącego nie opodal wojewodę, i chodzącą

przed namiotem straż, słyszałem rżące konie i szmer ludzi, i naszczekiwanie psów obozowych, i śpiewy ranne ptastwa w sąsiednim lesie. Spałem mocno, jakby z otwartymi oczyma i za ostrzonym słuchem; a w duszy miałem jedno tylko to, żeby mi Bóg dał z pierwszej walki wyniść z chlubą i zwycięstwem. Frasował się duch mój na samą myśl, iż sromotnie możemy być zmuszeni uchodzić albo, przeważną siłą zgnieci. Modliłem się o to zwycięstwo, gdy wśród modlitwy ujrzałem przed uchylonym płótnem namiotu jakby jasność dnia. Zdało mi się, żeśmy zaspali i że weszło słońce zawstydzić nas, chciałem się zerwać z posłania, lecz byłem jakby skępowany i przykuty do skóry, na której leżałem. Ruszyć się nie mogłem.

Jasność u wnijscia namiotu wnet w sam środek jego się wcisnęła i oświeciła go.

Przez zamknięte powieki widziałem najdrobniejszy sprzęt i w kątach nawet złożony oręż nasz błyskał od tej jasności. Oczy moje zdziwione, dopiero oswoiwszy się z nią, dojrzały białego młodzieńca z włosami złotymi,

promienistego, piękności nadzwyczajnej. Czując w nim jakieś zjawisko cudowne zerwać się chciałem i upaść przed nim, aby mu cześć oddać, lecz ciało było jak kamienne, nie władałem nim.

Widziałem, jak wolnym krokiem szedł ów młodzian promienisty wprost ku miejscu, w którym leżałem, i stanął nade mną, w rękach białych trzymał on oto ten miecz i patrzył na mnie z uśmiechem. Naówczas stanęło wyraźnie w myśli mej, iż powinienem był prosić o miecz ten mający mi zapewnić zwycięstwo i otrzymać go.

I zacząłem wołać z błaganiem wielkim domagając się miecza, na który chciwie patrzyłem, a młodzieniec promienny patrzył na mnie z uśmiechem dobrotliwym, ale go z rąk nie puszczał. I trwała ta moja modlitwa tak długo, iż z wysiłku cały oblałem się potem, a gdy mi i słów brakło już, młodzieniec pochylił się nad łóże moje i miecz u boku mojego położył mówiąc: Na wiary i sprawiedliwości obronę.

Czułem jakby oddech jego wonny nad sobą, duszę moją ogarnęła radość

niewysłowiona i z krzykiem obudziłem się.

Młodzieńca nie było przy mnie, namiot stał w ciemności, słaby brzask zaledwie poczynającego się dnia wpadał przez uchylone nieco płótno.

Spostrzegłem dopiero, że wszystko to snem było. Krzyk tylko mój przez sen zbudził starca śpiącego nie opodal, który upamiętywać mnie i do uspokojenia zachęcać począł.

Żał mi się stał wielki ze snem razem straconego miecza, gdy ręce

wyciągnąwszy po ciemku rękojeść jego uczułem właśnie w tym miejscu, gdzie śnił, że został złożony. Z podziwem zacząłem wołać o światło i domagać się go natychmiast. Straż, która około namiotu czuwała, pobiegła do pogaszonych w obozie ognisk i przyniesiono zapalone łuczywo.

Miecz cudowny! ten sam, który we śnie widziałem, miałem w ręku. Skąd i jakim sposobem zjawił się on przy mnie, nikt nie umiał wytłumaczyć.

Pocałowałem go i przypasałem natychmiast, a staremu towarzyszowi

opowiedziałem widzenie moje. Nie dowierzano mi. Pytano straży, która stała u namiotu, azali nie widziała kogo wchodzącego.. Pacholek wyznał, że wprawdzie nie postrzegł nikogo, lecz w namiocie świeciło coś, jakby w nim zapalono pochodnie, i głos mój słyszał wyraźnie.

— Od tej chwili — ojciec mój dokończył król — miecz ten nie opuszczał

mnie nigdy. Błogosławieństwu, z nim przyniesionemu mi, winienem moje szczęście w bojach, zwycięstwa i szeroko rozlegające się dziś państwa granice.

Nic nie odpowiadając pustelnik skłonił głowę i już miał odchodzić do swej krypty, gdy daleki szum puszczy zdał się nagle jakby rosnać, wzmaczać i zmieniać nagle w głosy dziwne. Ojciec Antoni przysłuchując się temu zatrzymał w miejscu.

Koń królewski stojący pod ścianą gwałtownie rzeć zaczął. Bolesław podniósł

się z posłania. Łomot jakiś i wrzawę wyraźniej coraz słyszać było w lesie. Stadoli zwierza biegnące jakimś popłochem czy burza łamała w puszczy gałęzie?

— Ludzkie głosy słyszę! — zawołał pustelnik zwracając się do króla.

— Jeżeli macie obawę jaką — rzekł Bolesław — znijdźcie do kaplicy

waszej, ja się nie lękam niczego.

— Ani ja o siebie — odparł pustelnik — raczej o was, miłościwy panie.

Zamilkli przysłuchując się baczniej, aż królowi rozjaśniło się lice. Wstał z posłania, przybliżył się ku oknu, odsunął okiennicę, którą było przywarte, i dobywszy róg, co na piersi wisiał, zatrąbił. Przez otwór blask bił z podwórza i okrzyk wesoły odpowiedział głosowi trąbki. Chatę otaczał orszak króla, który go szukając długo po lesie śladami konia nareszcie dobił się na górę.

Radość między dworem była niezmierna; niemniejsza też musiała być i obawa, aby król gniewnym nie był, iż go tak nieopatrnie opuścili wszyscy.

Wnet też do drzwi lepianki począł się dobijać Sagan i Radzisz i weszli uznojeni. Saganowi zdało się, iż najlepiej uczyni, gdy nie czekając wymówek i wyrzutów z żalem wystąpi i pokłoniwszy się do

ziemi jął wołać.

— Miłościwy Panie! Litościście nie mieli nad sługami swoimi! nie

chcieliście odezwać się do nas i dać nam znak! Jak poszaleli bładziliśmy po puszczy. A że każdy niemal pojedynczo się wyrwał w inną stronę, zamiast śladów waszych, miłościwy panie, własneśmy uganiali.

Westchnął Sagan, król się uśmiechał.

— Nic się złego nie stało! — rzekł, wskazując na staruszka dodał: —

świętego męża, co mi dał schronienie, powitajcie!

Poszli tedy ręce jego całować urzędnicy królewscy.

Ojciec Antoni, który się tu czuł więcej zawadą niż pomocą, wycofał się do podziemia. Służba pańska zakrzątnęła się zaraz około posłania, ognia i co królowi potrzebnym w sakwach się znalazło. W małej lepiance ledwie dwu ze starszyny pozostać mogło, reszta położyła się dokoła obozem dla spoczynku, dopóki nie rozedniało. Wkrótce uciszyło się dokoła i król twardym snem znużony, usnął.

Otworem stało wniście do podziemia i ledwie na brzask ukazało się w nim światelko, gdyż ojciec Antoni jutrznię i modlitwy odmawiał po cichu. Król podniósł się dopiero, gdy rozedniało, i spuściwszy się do kapliczki wraz z Saganem i Radziszem mszy świętej ojca Antoniego wysłuchał.

Czas było sposobić się do dalszej drogi i Bolesław też, gdy mu dano znać, iż konie były gotowe, zbliżył się do ucałowania ręki pustelnika.

— Ojcze mój — rzekł — nie może to być, ażebym stąd odjechał nie

zostawiwszy po sobie pamiątki ni śladu; powiedz mi, proszę cię, co chcesz, abym dla ciebie lub tutaj na chwałę Pańską uczynił? Zbuduję kościół, choć zaprawdę takiego jak wy, gdybym nie wiem ile złota dał nie potrafię wznieść.

— Uczynicie jedno dla mnie — odparł pustelnik — abyście mi dali dożyć dni moich nie odmieniając tu nic, nie przysparzając mi niczego. Przypomnijcie sobie, panie miłościwy, los braci mojej, którąście obdarzyć pragnęli! Wprawdzie daliście jej największe dobro, bo możność przelania krwi za wiarę świętą.

Król ręce złożył nie dając mu dokończyć.

— Niech Bóg was szczęśliwie prowadzi — dodał ojciec Antoni — niech

błogosławi na każdym kroku, niech pociesza i ukaja.

To mówiąc schyloną króla głowę pobłogosławił pustelnik i idąc z nim

przeprowadził za próg lepianki.

Z kolei cały dwór królewski przyszedł po błogosławieństwo staruszka i orszak ruszył już o dniu jasnym w dalszą ku Gnieznu drogę, z której się w bok zbito.

Dnia tego już tylko młodzież za zwierzem się puszczała. Bolesław do łowów nie miał ochoty ani do rozmowy.

Z południa natrafiono na osadę Rybniki zwaną, nad jeziorkiem położoną, w której ubodzy tylko osadnicy mieszkali. Ci na widok pańskiego orszaku strwożeni, jak tylko się z dala ukazał, rozpierchnęli się na wszystkie strony i gdzie kto mógł, pochowali, co króla zagniewało. Widział bowiem w tym dowód, że drużyny pańskie po kraju wędrujące musiały biednemu ludowi ciążyć, gdy taką przed nimi miał obawę. Chaty stały otworem, gdy przybył Bolesław, ale żywej duszy nigdzie nie znaleziono. Do najprzestronniejszej z nich wprowadzono króla, który surowo przykazał, ażeby czeladź nie ruszyła nic i nie czyniła szkody najmniejszej. W

istocie trudno też było plądrować wśród tej nędzy, jaka tu panowała.

Lepianki osadników niewiele były lepsze i przestrzeńsze od tej, którą sobie sklecił ojciec Antoni, i dostatek w nich nie był większy. Najprostszy sprzęt drewniany, trochę sieci i przyrządu rybackiego, gdzieś kawałek chleba czarnego się znalazł. Ludzie żyli tu w większej części i z ryb, i rybami, które w jeziorze się poławiały.

Z rozkazu pańskiego w każdej z ubogich chat, które zajmował dwór, złożono na stole jakiś mały datek za gościnę i gdy konie wytchnęły, król puścił się już prostą drogą do Gniezna, gdzie się ku wieczorowi stanąć spodziewał, u grobu matki i świętego apostoła. Śnieżna zamieć, która się zerwała, gdy z Rybników wyruszono, opóźniła wprawdzie podróż, ale czasu zostało dosyć zawsze, aby celu przed nocą doścignąć.

Już zmierzchało, gdy w dali ukazał się krzyż kościoła i wały zamkowe. Król, który dla grobu świętego Wojciecha miał cześć nadzwyczajną, zobaczywszy dach katedry i zamię nad nim, z konia zsiadł, pieszo, wedle zwyczaju, robiąc resztę drogi. Cały też dwór, idąc za przykładem pańskim, szedł jakby pobożnym pochodem pątników ku kościołowi w milczeniu. Niektórzy po cichu odmawiali modlitwy.

Już się zbliżano do wałów zamek i katedrę otaczających, gdy mimo zawiei śnieżnej ujrzano we wrotach stojącego człowieka z chłopięciem, który zdawał się go prowadzić. Poznał widać Bolesław z dala tego ślepcę i na twarzy jego wyraziło się niewysłowione uczucie, jakimś wywołane wspomnieniem.

Stojący ów we wrotach mężczyzna z oczami krwawymi, w których źrenic

nie było, z długimi włosami siwymi, które mu na ramiona spadały, z rozwianą brodą wpół białą, na pół żółką, w tułub barani odziany, z kijem w rękę, spierał się na ramieniu chłopaka i zdawał stać przeciw burzy i wiatru, jakby mu one miłe były i pożądane. Z głową podniesioną do góry napawał się tą za wieją i chłodem, wciągając usta szeroko otwartymi powietrze.

Wyrostek, który ślepego prowadził, zoczywszy orszak królewski z dala i poznawszy go, musiał chcieć nazad na gród go odciągnąć i z drogi sprowadzić.

Widać było upartą walkę między chłopcem, który go ciągnął za poły, i starcem, co się opierał chcąc w miejscu pozostać. Spostrzegłszy to Sagan chciał się puścić przodem, ażeby panu niemiłego oszczędzić widoku, wejrzenie króla go

wstrzymało. Na próżno przewodnik usiłował ślepego nakłonić do ujścia, ten chwycił się wrót, u których stał, i uderzywszy wyrostka uparcie jak wkuty w nich pozostał.

Był to stary Odylon, ów oślepiiony niegdyś z Bolesława rozkazu, który dni resztę na zamku gnieźnieńskim dożywał. Ilekroć tylko mógł jak żywy wyrzut i przypomnienie stanąć przed Bolesławem, Odylon zawsze mu się nastęczał. Miał

jakieś przeczucia, gdy król przybywał do Gniezna, czuł zbliżanie się jego i czasem dni parę stawał we wrotach, dopóki się go nie doczekał i nie zatrzał mu życia godziny. Nie obawiał się on już cięższego losu nad ten, jakiego doznał, nie lękał się gniewu ani śmierci, czuł rozkosz jakąś, gdy się mógł Bolesławowi ze swą nędzą pokazać i szyderskim głosem go przywitać. Przez litość nie zamykano go i nie czyniono mu nic, aby króla od tego widoku uwolnić. Bolesław, srogi dla innych, dla tego nieszczęśliwego miał politowanie, osobliwie od śmierci Prybuwoja, który zmarłszy przed kilku laty zostawił go na świecie samego z jego ciemnością i szalem.

Wiedział już dwór królewski, co tu czekało Bolesława, i ludzie się, nie chcąc być świadkami spotkania, bocznymi furtami udali do zamku, król sam wolnym krokiem nie chcąc okazać obawy poszedł wprost na ślepego. Odylon, choć usłyszeć nie mógł nadchodzącego, po przerażeniu chłopca, na którym się opierał, domyślił

się zbliżającego i krzyknął:

— Witaj, miłościwy panie! witaj! — skłonił głowę szydersko. — W progu grodu zawsze stoi sługa wasz wierny z pozdrowieniem. Dawnoście nie oglądali go, a on was, jeszcze dawniej, bo od tej godziny, gdy mu oczy ze łba wyjęto.



Dobrzeście uczynili, miłośniwy panie, żeście mu wzrok odjęli, nie było na co patrzeć, a o wielkości waszej dosyć słuchać, aby się jej dziwować!

Śmiał się ślepiec. Bolesław nie odezwawszy się słowa pominął go. Szelest jego kroków usłyszawszy przy sobie Odylon obie ręce wyciągnął, jakby go chciał

pochwycić lecz król już minął starca i szedł wprost do kościoła, który był otwarty, a że dano znać natychmiast duchowieństwu, już ono też we drzwiach na przybywającego oczekiwało z krzyżem i wodą święconą.

Za Bolesławem, mimo oporu chłopca, który prowadzić go nie chciał, rzucił

się natychmiast ślepy ku kościołowi, aby i tam u grobu apostoła stanąć na oczach Jan Matejko – Bolesław Chrobry przed Złotą Bramą w Kijowie

królowi.

Mrok panował w katedrze, oświecanej tylko naprędce rozpalonym światłem, gdy Bolesław wchodził do niej. Za filarem kruchty, w sukni czarnej, mniszej, przytulony, w cieniu ukryty stał mnich, któregośmy widzieli w celi księdza Petrka.

Stał i oczyma rozognionymi spoglądał na wchodzącego, a wejrzenie to zdawało się płonąć ogniem i ciskać pioruny.

Gdy król Bolesław wprost ode drzwi skierował się do grobu świętego

apostoła, aby przy nim uklęknąć, z jednej strony stanął mnich mierząc go nienawistnym wzrokiem, z drugiej, za słupem przyparty, nie dając się od niego oderwać, zatrzymał się, gwałtem do kościoła wdarłszy, Odylon. Obu ich jednak nie mógł widzieć król, który z głową pochyloną pobożnie słuchał nuconego powolnie przez duchowieństwo śpiewu na cześć apostoła.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO